

PISMO O NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

BIULETYN

IPN

CENA 8 ZŁ (W TYM 8% VAT) ■ NR 6 (235) CZERWIEC 2025



**ŚWIADKOWIE
WIARY
STRAŻNICY
OJCZYZNY**

SPIS TREŚCI

ŚWIADKOWIE WIARY, STRAŻNICY OJCZYZNY

Adam Hlebowicz – Świadkowie wiary, strażnicy Ojczyzny 3

Obchodzony w Kościele katolickim Rok Jubileuszowy nawiązuje do 2025 rocznicy narodzin Chrystusa. Po raz pierwszy podobny jubileusz został ogłoszony w 1300 r. przez papieża Bonifacego VIII. Początkowo owe „święte lata” odbywały się co 100 lat, następnie w roku 1343 r. okres ten został skrócony do 50 lat przez papieża Klemensa VI, a ostatecznie do 25 lat w 1470 r. przez Pawła II. Odtąd co ćwierć wieku kolejni następcy św. Piotra ogłaszają rok święty, rok jubileuszowy.

Ks. Karol Wojtyła – Apostoł. Jan Tyranowski (1900–1947) 22

Krzysztof Brzechczyn – Miłował Boga i Polskę.

Bp Juliusz Bursche (1862–1942) 36

Anna Zechenter – „Miała serce wrośnięte w ludzi”

Hanna Chrzanowska (1902–1973) 51

Kinga Hałacińska – Mateczka z Auschwitz

Stanisława Leszczyńska (1896–1974) 69

Katarzyna Helik – Człowiek wielu pasji. Feliks Koneczny (1862–1949) 79

Ks. Andrzej Zwoliński – Kleryk konspirator Tadeusz 87

Stanisław Koller – Pokora jako odmowa istnienia poza Bogiem. Wspomnienie

z wojska o Tadeuszu Isakowiczu-Zaleskim 96

Ks. Adam Banasik –
Z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim
w Fundacji im. Brata Alberta 108

KOMENTARZE HISTORYCZNE

Joanna Lubecka – Przegrani.
Niemcy pod okupacją 114

8 maja 1945 r. o godz. 22.30 Niemcy podpisały
akt bezwarunkowej kapitulacji; o 23.01 zostały
wstrzymane wszelkie działania zbrojne.
W tym momencie władzę w pokonanych
Niemczech przejęła Sojusznicza Rada Kontroli,
która zarządziła 4 strefami okupacyjnymi.
Taki stan rzeczy trwał przez 4 lata –
aż do powstania 2 państw niemieckich.

SYLWETKI

Wacław Leszczyński – Farmaceuta,
który oddał siły Rzeczypospolitej
Wacław Manduk (1872–1944) 126

Mariusz Solecki – „Kola” – polski partyzant
Zbigniew Manyś (1926–1945) 137

KSIĄŻKI

Tomasz Szturo – Przeciw potędze
zamkniętych oczu
Rzecz o Józefie Mackiewiczu 148

*Sam jeden i inni. Wrocławskie odczytania
twórczości Józefa Mackiewicza,*
red. Małgorzata Misiak, IPN, Warszawa 2024, 280 s.

Paweł Kosiński – Opowieść
o przyjaźni i odwadze 156

Simone Trieder, Lars Skowronski,
Cela nr 18. Historia odwagi i przyjaźni,
przedmowa Helga Hirsch, przekład Grażyna Werner, IPN,
Warszawa 2025, 240 s., wkładka zdjęciowa 56 s.

Kolegium:

dr Wojciech Frazik, Adam Hlebowicz,
dr Kazimierz Krajewski,
dr hab. Mariusz Krzysztofiński,
dr Marcin Majewski, dr hab. Filip Musiał,
dr hab. Piotr Niwiński, Jan M. Ruman,
dr hab. Krzysztof Sychowicz

Redaguje zespół:

Wojciech Butkiewicz – sekretarz redakcji
(tel. 22 5818813,
wojciech.butkiewicz@ipn.gov.pl),
Jakub Gołębiewski (jakub.golebiewski@ipn.gov.pl),
Kinga Hałacińska (kinga.halacinska@ipn.gov.pl),
Romuald Niedzielko – zastępca redaktora naczelnego
(romuald.niedzielko@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelny
(jan.ruman@ipn.gov.pl),
Anna Zechenter (anna.zechenter@ipn.gov.pl),
Piotr Życieński – fotoreporter

Sekretariat:

Maria Wiśniewska
(maria.wisniewska@ipn.gov.pl)

Projekt graficzny, projekt okładki i łamanie:

Katarzyna Dziedzic-Boboli

Korekta: Beata Stadryniak-Saracyn

Adres do korespondencji:

ul. Kurtyki 1, 02-676 Warszawa

Kolportaż:

Tel. 22 544-57-19
(joanna.pszczola@ipn.gov.pl)

Druk:

Drukarnia Leyko Sp. o.o.

Na okładce:

S. Urszula Ledóchowska, Petersburg 1907 r.
Fot. Wikimedia Commons

ADAM HLEBOWICZ

ŚWIADKOWIE WIARY, STRAŻNICY OJCZYZNY

Obchodzony w Kościele katolickim Rok Jubileuszowy nawiązuje do 2025 rocznicy narodzin Chrystusa. Po raz pierwszy podobny jubileusz został ogłoszony w 1300 r. przez papieża Bonifacego VIII. Początkowo owe „święte lata” celebrowano co 100 lat, następnie w roku 1343 r. okres ten został skrócony do 50 lat przez papieża Klemensa VI, a ostatecznie do 25 lat w 1470 r. przez Pawła II. Odtąd co ćwierć wieku kolejni następcy św. Piotra ogłaszają rok święty, rok jubileuszowy.



■ PRZEKAZANIE PAPIEŻOWI PAWŁOWI
VI OBRAZU O. MAKSYMILIANA KOLBEGO
W PODZIĘCIE ZA BEATYFIKACJĘ, 1971 R.
DRUGI Z LEWEJ KARD. STEFAN
WYSZYŃSKI, DRUGI Z PRAWEJ
KARD. KAROL WOJTYŁA.
FOT. ARCHIWUM NIEPOKALANÓW

C

elem owych wydarzeń jest pogłębienie życia duchowego wiernych, ich nawrócenie oraz odnowienie więzi z Bogiem. To także znakomita okazja do tego, żeby przypomnieć lub wydobyć z ukrycia postaci ważnych osób świeckich i duchownych, które potrafiły łączyć swoją głęboką wiarę w Boga z umiłowaniem polskiej Ojczyzny.

To oczywiście wybór subiektywny, takich ludzi są setki, może tysiące. Ich życiorysy powinny i mogą być dla nas inspiracją. Niektórzy z opisanych tutaj byli wśród nas tak niedawno.

OJCIEC JÓZEF MELCHIOR FORDON (1862–1927)

Urodził się 5 sierpnia 1862 r. w Grodnie jako jedyne dziecko Jakuba i Felicji z domu Łukowicz. Pierwsze nauki pobierał od matki, dzięki której poznał zasady i prawdy wiary.

W domu panowała atmosfera religijna i patriotyczna. Józef od najmłodszych lat chciał zostać księdzem. Po ukończeniu w rodzinnym Grodnie gimnazjum wstąpił w 1883 r. do seminarium duchownego w Wilnie. Wcześniej przez rok pracował w aptece, co się bardzo przydało w czasie jego dalszej działalności. 2 sierpnia 1887 r. przyjął w Kownie święcenia kapłańskie, po czym został proboszczem parafii w Strubnicy k. Grodna. Jak pisze jego biograf o. Albert Wojtczak OFM: „od początku ugruntował zasady swego po-



■ O. JÓZEF MELCHIOR FORDON.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

stępowania z wiernymi: bezinteresowność, modlitwa, umartwienie, gorliwość w spełnianiu obowiązków”. Wzorem do naśladowania stał się dla niego św. Antoni Padewski.

W latach 1893–1903 był proboszczem w Dąbrowie Grodzieńskiej (nazwa obowiązująca do 1961 r., ob. Dąbrowa Białostocka). Tutaj założył Bractwo Trzeźwości, a także Stowarzyszenie Służek Maryi, w którym kobiety mieszkały przy swoich rodzinach, a jednocześnie wspomagały jego prace katechetyczne wśród dzieci i młodzieży. W tym okresie wzmożonej rusyfikacji ziem polskich Fordon przyczynił się do budowy nowego murowanego, 3-nawowego kościoła parafialnego; dzięki swoim umiejętnościom dyplomatycznym otrzymał wszystkie stosowne pozwolenia. Proboszcz i jego mieszkańcy obawiali się, że nowa świątynia zostanie im zabrana, a oni będą musieli wrócić do starego, drewnianego kościoła. Ksiądz uniemożliwił jednak przejęcie przez władze carskie kościoła z przeznaczeniem go na cerkiew: rozebrał wraz z parafianami w ciągu jednej nocy (z 4 na 5 maja 1902 r.) stary kościół w Dąbrowie.

Pomagał chorym, ofiarując im za darmo lekarstwa lub je wykupując. Do dziś w Dąbrowie trwa pamięć o ks. Fordonie, ma on tutaj swoją ulicę, są także 2 murale z jego wizerunkiem.

Za swoją niepokorną działalność na początku 1903 r. ks. Fordon został przeniesiony jako proboszcz do parafii MB Anielskiej w Grodnie; stał się opiekunem dawnego klasztoru franciszkańskiego, w którym mieścił się dom poprawczy dla księży uznanych przez władze za niebezpiecznych dla państwa rosyjskiego. Rozwinął dzieła charytatywne w parafii, wspomagał swoimi pieniędzmi sieroty. Skargi miejscowego gubernatora już po 2 latach doprowadziły do odwołania księdza z grodzieńskiej placówki. Przeniesiony został do parafii Wszystkich Świętych w Wilnie (największej w tym mieście), gdzie pełnił funkcję proboszcza w latach 1905–1909. Nadał dużo uwagi poświęcał biednym. Zorganizował stołówkę domową, postawił w świątyni specjalny kosz, do którego parafianie składali produkty żywnościowe dla ubogich. Cały swój majątek rozdawał potrzebującym, prowadził życie bardzo skromne. Spożywał tylko suchy chleb razowy i prawie nie jadł mięsa. W mniejszych miejscowościach, które należały do rozległej parafii, budował lub remontował zniszczone świątynie. Tak stało się w Białej Wace, Porudominie i Rudominie. W 1907 r. na skutek nacisków władz rosyjskich musiał opuścić Wilno.

W 1910 r. podjął decyzję, za zgodą administratora diecezji, o wstąpieniu do zakonu franciszkanów konwentualnych; 2 października 1910 r. w Krakowie przyjął habit

i obrał imię zakonne Melchior. Po odbyciu nowicjatu złożył pierwsze śluby zakonne. Następnie powrócił do diecezji wileńskiej. Pod koniec 1913 r. został skierowany ponownie do Grodna, gdzie był wikarym we franciszkańskiej parafii, w której dawniej pełnił posługę proboszcza. Do 1918 r. nie mógł nosić publicznie habitu franciszkańskiego.

W czasie I wojny światowej wykazał się bohaterską postawą, uratował przed rozstrzelaniem 13 strażaków, których 4 września 1915 r. żołnierze niemieccy oskarżyli o szpiegostwo na rzecz wycofujących się z Grodna wojsk rosyjskich. W grupie aresztowanych strażaków było 6 katolików, 3 prawosławnych oraz 4 wyznawców judaizmu. Wstawił się za nimi u niemieckiego oficera, rękując własnym życiem za ich niewinność. Oficer zgodził się na to, stwierdził, że jeśli okaże się prawdą, że strażacy byli szpiegami rosyjskimi, wtedy Fordon zostanie rozstrzelany.

Po odzyskaniu w 1918 r. przez Polskę niepodległości franciszkanie powrócili do Grodna i mianowali o. Melchiora gwardianem tamtejszego klasztoru. Duchowny żył w bardzo skromnych warunkach. Przyczynił się do remontu zniszczonego klasztoru grodzieńskiego. Nadal pomagał ubogim, w tym również Żydom, którzy stanowili prawie połowę ludności miasta. Pewnemu Żydowi ofiarował nawet własne buty, zdejmując je wprost ze swoich nóg. Nie zawsze jego postawa pełna miłosierdzia znajdowała zrozumienie wśród ludzi. Zarzucano mu brak roztropności, zbytne popospolitowanie się z tłumem, przesadne umartwianie się. Gdy trzeba było udzielić pomocy, nie wahał się wesprzeć prostytutki, złodzieja czy chorego na tyfus. Podczas kapituły zakonnej w kwietniu 1920 r. został mianowany gwardianem odzyskanego klasztoru w Wilnie; dotarł tam w maju tegoż roku. W lipcu zbliżyły się do miasta oddziały bolszewickie i wielu kapłanów i zakonników musiało opuścić te tereny. On pozostał, pełniąc posługę duszpasterską w parafii św. Jana. Kapituła prowincjalna w sierpniu 1921 r. wybrała go na definitora w kustodii warszawskiej z rezydencją w Grodnie.

Od 1922 r. był współpracownikiem o. Maksymiliana Marii Kolbego OFM Conv., późniejszego męczennika i świętego, który przeniósł z Krakowa do Grodna wydawanie pisma „Rycerz Niepokalanej”. Fordon był w tym okresie, aż do swojej śmierci, spowiednikiem i kierownikiem duchowym o. Maksymiliana – który nazywał go „świętą duszą”.

W 1924 r. zachorował na gruźlicę oraz na astmę, które uniemożliwiły mu prowadzenie intensywnej działalności duszpasterskiej. W ostatnim okresie swojej posługi cały czas spędzał w konfesjonale; był wymagającym spowiednikiem. Zmarł w opinii świętości 27 lutego 1927 r. w Grodnie. Jego pogrzeb 2 marca był obok wcześniejszego o 17 lat

pogrzebu Elizy Orzeszkowej, największą manifestacją religijną w mieście nad Niemnem. Uczestniczyli w nim katolicy, prawosławni oraz osoby wyznania mojżeszowego.

Z inicjatywy ojców franciszkanów podjęto próbę wyniesienia go na ołtarze, gorącym zwolennikiem jego beatyfikacji był o. Kolbe. Wojna i okupacja sowiecka spowodowały, że przez wiele lat było to niemożliwe. Po zmianach ustrojowych podjęto kolejną próbę, po czym 12 stycznia 1996 r. Stolica Apostolska wydała zgodę na rozpoczęcie tego procesu. W 2003 r. odbyła się ekshumacja oraz przeniesienie ciała księdza z cmentarza miejskiego do sarkofagu w kościele MB Anielskiej w Grodnie. 21 grudnia 2018 r. papież Franciszek uznał heroiczność cnót sługi Bożego Melchiora Fordona, otwierając drogę do jego beatyfikacji.



■ KOŚCIÓŁ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH W WILNIE. FOT. WIKIMEDIA COMMONS



■ S. URSZULA LEDÓCHOWSKA W PETERSBURGU, 1907 R.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

SIOSTRA URSZULA LEDÓCHOWSKA (1865–1939)

Urodziła się 17 kwietnia 1865 r. w Loosdorf w Austrii jako drugie z dzieci Antoniego Ledóchowskiego i Józefiny Salis-Zizers. Była jednym z dziewięciorga rodzeństwa, z którego życie zakonne wybrały także dwie jej siostry i brat. Wujkiem Urszuli był kardynał i prymas Polski Mieczysław Halka-Ledóchowski. W 1874 r. rodzina przeniosła się do Sankt Pölten, gdzie Julia otrzymała wykształcenie o profilu humanistycznym. W 1883 r. Ledóchowscy wrócili do Polski i kupili dom w Lipnicy Murowanej, w pobliżu Krakowa.

Gdy Julia miała 19 lat, wstąpiła do klasztoru Urszulanek w Krakowie. Po nowicjacie złożyła śluby zakonne i przyjęła imię s. Maria Urszula od Jezusa. Pracowała jako nauczycielka i wychowawczyni w szkole prowadzonej przez zakonnic. W 1904 r. została przełożoną klasztoru krakowskiego. Otworzyła pierwszy w Polsce internat dla studentek, zorganizowała dla nich Sodalicję Mariańską oraz kursy światopoglądowe prowadzone przez wybitnych teologów. W 1907 r. wraz z 2 siostrami wyjechała do Petersburga, aby objąć kierownictwo internatu dla dziewcząt przy polskim gimnazjum parafii św. Katarzyny. Ledóchowska szybko zdobyła serca dziewcząt. W 1908 r. filia klasztoru krakowskiego stała się autonomicznym domem urszulanek z własnym nowicjatem, a matka Urszula jego przełożoną. W Karelii, należącej wówczas do Rosji, w 1910 r. powstała szkoła z internatem dla dziewcząt, zorganizowana przez matkę Urszulę według najnowszych idei pedagogicznych.

Wybuch wojny w 1914 r. spowodował wydalenie matki Urszuli, jako obywatelki austriackiej, z Rosji. Wyjechała do Szwecji, a następnie do Danii. Wspólnie z wyjeżdżającymi kolejno z Petersburga siostrami zorganizowała szkołę języków dla skandynawskich dziewcząt, potem m.in. ochronkę dla sierot po polskich emigrantach. Jednocześnie uczestniczyła aktywnie w życiu katolickiej diaspory w Skandynawii. Podjęła współpracę z Komitetem Pomocy Ofiarom Wojny, założonym w Szwajcarii przez Henryka Sienkiewicza. Z ramienia Komitetu wygłosiła w krajach skandynawskich kilkadziesiąt odczytów po francusku, niemiecku, szwedzku, angielsku – poświęconych dziejom narodu polskiego, prawu polskiego narodu do niepodległości. Pisała artykuły w tamtejszej prasie, spotykała się z wybitnymi osobistościami ze świata nauki, sztuki, polityki, religii – wszędzie będąc doskonałym ambasadorem Polski, budząc sumienie politycznej Europy. Sama skromnie oceniała swoje działania: „Cóż mogę zrobić ja, słaba kobieta, dla mojej Ojczyzny? Zyskać dla niej sympatię, miłość, uznanie, zapewnić jej przyjaciół. Oto moje pragnienie i cel tych konferencji”.

W 1920 r. dzięki ofiarności norweskiego konsula został kupiony majątek w Pniewach w Wielkopolsce. Tu osiedliła się petersburska wspólnota urszulanek po kilkuletniej wędrówce.

Powstał dom macierzysty szarych urszulanek. Wkrótce potem Stolica Apostolska dała pozwolenie na przekształcenie wspólnoty klasztoru petersburskiego



■ MATKA URSZULA LEDÓCHOWSKA, 1936 R.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

w apostołskie Zgromadzenie Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego. Zakon szybko się rozwijał. Powstały domy i dzieła w Polsce, m.in. na Kresach Wschodnich, we Włoszech i Francji. Matka Urszula formowała siostry do umiłowania Boga, do życia w prostocie, pokorze, a jednocześnie w służbie innym, zwłaszcza dzieciom i młodzieży. Uśmiech, pogodę ducha i dobroć uważała za szczególnie wiarygodne świadectwo więzi z Chrystusem. Uczyla, że świętość jest dostępna dla każdego. Urszula Ledóchowska jest autorką licznych medytacji na temat wiary i modlitwy. Jedną z jej książek jest duchowy podręcznik *Medytacje biblijne*. Jako pedagog Urszula Ledóchowska wydała także kilka książek dla dzieci.

Zmarła 29 maja 1939 r. w Rzymie w opinii świętości. 20 czerwca 1983 r. w Poznaniu Jan Paweł II beatyfikował Urszulę Ledóchowską. W 1989 r. zachowane od zniszczenia ciało bł. Urszuli zostało przewiezione z Rzymu do Pniew i złożone w kaplicy domu macierzystego. 18 maja 2003 r. w Rzymie polski papież ogłosił matkę Urszulę Ledóchowską świętą.



■ RAFAŁ MARCELI BLÜTH. ZDJĘCIE
Z KSIĄŻKI TOMASZA SZAROTY *ZAPOMNIANA
EGZEKUCJA. NATOLIN, LISTOPAD 1939*
(WARSZAWA 2021).

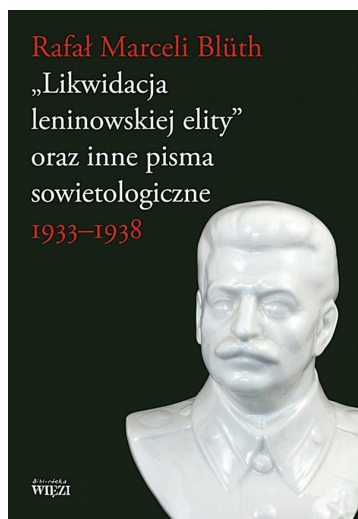
RAFAŁ MARCELI BLÜTH (1891–1939)

Urodził się 19 sierpnia 1891 r. w Warszawie w rodzinie Kelmana i Estery z Lindenfeldów. Uczył się w Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców miasta Warszawy, z której w 1905 r. został relegowany za udział w strajku szkolnym. W latach 1911–1914 studiował na Wydziale Chemii Technicznej Politechniki Lwowskiej. Jednocześnie od 1913 r. uczęszczał jako wolny słuchacz na wykłady polonistyczne doc. Juliusza Kleinera na Politechnice i Uniwersytecie Lwowskim. W 1915 r. przeniósł się na Uniwersytet Warszawski, gdzie kontynuował studia, początkowo na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym,

a od 1917 r. – Filozoficznym. W 1915 r. wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej. Trzy lata potem wraz z oddziałem żandarmerii POW dostał się do Milicji Ludowej, stamtąd przeniesiono go do Biura Prasowego w Naczelnym Dowództwie Wojska Polskiego, a w 1920 r. do II Oddziału Ministerstwa Spraw Wojskowych. W 1920 r. uczestniczył w pracach Czołówki Oświatowej Wojska Polskiego. Za udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

Po wojnie, w 1921 r. ukończył studia. W tym też roku przeszedł na katolicyzm i stał się formalnym członkiem Kółka – grupy młodych konwertytów skupionych wokół ks. Władysława Kornilowicza. Debiutował w 1922 r. w miesięczniku „Czyn”. W 1925 r. na łamach „Bluszczu”, „Przeglądu Warszawskiego”, „Przeglądu Współczesnego” i „Tygodnika Wileńskiego” ogłosił pierwsze prace dotyczące Adama Mickiewicza oraz artykuły z zakresu rusycystyki. W latach 1927–1928 pracował jako referent w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gdzie przygotowywał raporty o sytuacji wewnętrznej w ZSRS, z czasem stając się jednym z najlepszych polskich sowieto-

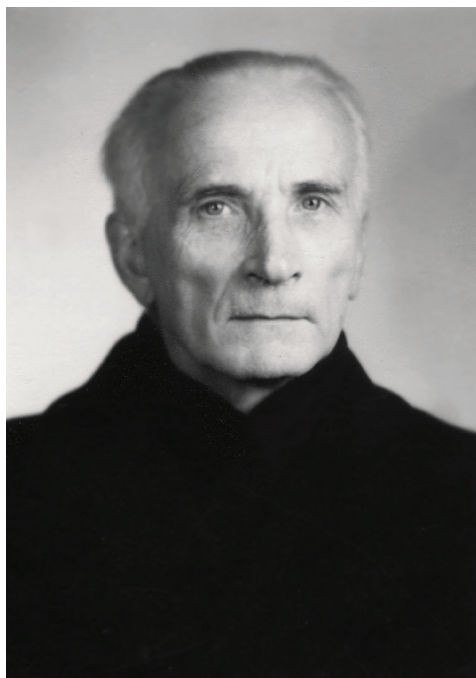
logów okresu międzywojennego. Współpracował też z „Głosem Prawdy” i „Polską Zbrojną”, specjalizował się w literaturze rosyjskiej i sowieckiej oraz twórczości Josepha Conrada. W latach 1929–1931, dzięki staraniom prof. Wacława Borowego, przebywał w Paryżu na stypendium Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W 1932 r. otrzymał Krzyż Niepodległości. W tym też roku rozpoczął stałą współpracę z pismem „Droga”, w którym publikował obszerne sprawozdania z życia polityczno-społecznego ZSRS i Niemiec (1932–1934, 1936–1937), a następnie objął w „Roczniku Literackim” dział pt. *Literatura rosyjska* (1933–1939). Jako jeden z pierwszych w Polsce opisywał procesy moskiewskie, teksty te do dzisiaj zachowały walory świeżości. W 1933 r. na podstawie pracy składającej się z kilku niezależnych rozpraw połączonych wspólnym tytułem *Mickiewicz w Rosji* uzyskał doktorat w zakresie rusycystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był członkiem zespołu redakcyjnego kwartalnika religijno-kulturalnego „Verbum”, związanego z ks. Kornilowiczem i Laskami; na ła-



mach „Verbum” ogłaszał artykuły literackie i społeczno-religijne. Pismo, choć istniało zaledwie kilka lat, odegrało istotną rolę w formowaniu nowej katolickiej inteligencji.

W 1938 r. ożenił się Elidą Marią Szarotą, germanistką i romanistką. Jego syn Tomasz Szarota, znany współczesny historyk, urodził się już po śmierci ojca.

Aresztowany przez gestapo 4 października 1939 r., został rozstrzelany w jednej z pierwszych publicznych egzekucji 17 listopada 1939 r. w Natolinie. W 1971 r. jego zwłoki odnaleziono, zidentyfikowano i pochowano na cmentarzu parafialnym przy ul. Wałbrzyskiej w Warszawie.



■ KS. JAN ZIEJA.
FOT. AIPN

KSIĄDZ JAN ZIEJA (1897–1991)

Urodził się 1 marca 1897 r. we wsi Ossa (pow. opoczyński) w ubogiej rodzinie chłopskiej. Był synem Michała i Konstancji z Kmiecików. W 1906 r. rozpoczął naukę w Szkole Podstawowej w Lelowie, a następnie uczęszczał do prywatnego Gimnazjum gen. Pawła Chrzanowskiego w Warszawie, a potem do państwowego Gimnazjum św. Stanisława Kostki. Był harcerzem. W 1915 r. został członkiem Narodowego Związku Chłopskiego. W tym samym roku wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Sandomierzu. W 1919 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk biskupa sandomierskiego, ks. Mariana Józefa Ryxa.

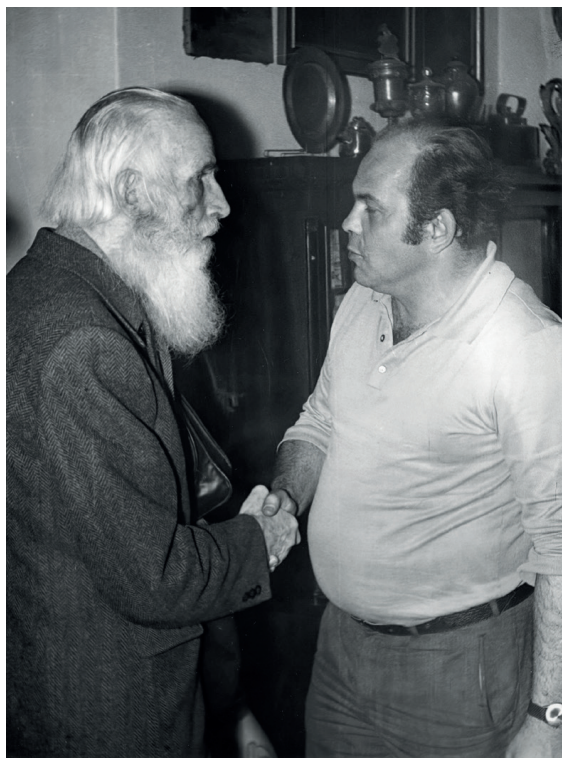
Jako kapłan był człowiekiem zafascynowanym Ewangelią, radykalnym w jej głoszeniu. Nie potrafił pójść na żaden kompromis tam, gdzie chodziło o wierność Chrystusowi i Ewangeli. Od jesieni 1919 r. studiował teologię na Uniwersytecie Warszawskim. Po wybuchu wojny polsko-bolszewickiej zaciągnął się ochotniczo do wojska, w którym pełnił funkcję kapelana. Otrzymał przydział do 8 Pułku

Piechoty Legionów. Doświadczenia wojenne uczyniły go radykalnym pacyfistą szukającym nowych dróg walki ze złem oraz niesprawiedliwością. W 1920 r. powrócił na studia, które ukończył w 1923 r. Następnie przeniósł się do Lasek k. Warszawy, gdzie uczestniczył w tworzeniu Zakładu dla Ociemniałych. W kolejnych latach pełnił posługę duszpasterską m.in. w Radomiu, Zawichoście, Kozienicach i Łahiszynie k. Pińska. Był kapłanem ordynariusza pińskiego oraz dyrektorem Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej. W latach 1932–1934 studiował judaistykę na Uniwersytecie Warszawskim.

Po ataku Niemiec na Polskę we wrześniu jako kapłan był z 84 Pułkiem Strzelców Poleskich. W październiku 1939 r. dostał się do niemieckiej niewoli. Od 1941 r. pełnił obowiązki kapłana Komendy Głównej AK oraz Batalionów Chłopskich. W 1942 r. został naczelnym kapłanem Szarych Szeregów. Jako członek Rady Pomocy Żydom „Żegota” prowadził aktywną działalność na rzecz pomocy ludności żydowskiej prześladowanej przez Niemców. W 1944 r. w szeregach Pułku Armii Krajowej „Baszta” brał udział w Powstaniu Warszawskim. W czasie walk został ranny, a następnie umieszczony w obozie przejściowym w Pruszkowie, skąd został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec.

W 1945 r. trafił na Pomorze, gdzie prowadził działalność duszpasterską w Słupsku i okolicach. Zajmował się m.in. kobietami zgwałconymi przez żołnierzy Armii Czerwonej, stworzył Dom Samotnej Matki i Dziecka. Był jednym z pomysłodawców wybudowania pierwszego w powojennej Polsce Pomnika Pamięci Powstania Warszawskiego w Słupsku, w tym celu ks. Jan Zieja sprowadził uszkodzone cegły ze śladami kul i odłamków ze zniszczonej Warszawy. Uroczyste odsłonięcie i poświęcenie pomnika odbyło się 15 września 1946 r. W 1949 r. wrócił do stolicy. W latach 1950–1959 był rektorem kościoła Wizytek w Warszawie. Pracował także w Drohiczynie, gdzie wykładał w Wyższym Seminarium Duchownym.

W okresie PRL ks. Zieja zaangażował się w działalność opozycyjną. W 1956 r. został przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Repatriantom. Do legendy przeszły jego kazania. Jedno z najbardziej znanych kazań wygłosił we wrześniu 1953 r. w kościele Wizytek po internowaniu prymasa Stefana Wyszyńskiego. Ogłosił wówczas, że wszystko to stało się za zgodą biskupów. Skrytykował ich następującymi słowami: „Opuszcili Wyszyńskiego wszyscy, pozostał mu tylko Niemiec i pies”. Ksiądz Zieja nawiązał do postawy ks. Adalberta Zinka, z pochodzenia Niemca, oraz



■ KS. JAN ZIEJA I JACEK KUROŃ.
FOT. AIPN

psa o imieniu Baca, który szczekał i gryzł oprawców prymasa. Drugie słynne kazanie ks. Zieja wygłosił 17 września 1974 r., w 35-lecie agresji sowieckiej na Polskę. W warszawskiej katedrze św. Jana mówił on o pojednaniu polsko-rosyjskim, a także o prawie do samostanowienia narodów litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego.

W 1976 r. ks. Zieja był jednym z założycieli Komitetu Obrony Robotników, w którym pełnił obowiązki przewodniczącego Rady Funduszu Samoobrony Społecznej. Łączył ludzi o bardzo różnych poglądach. Był aktywnym publicystą, napisał wiele artykułów i książek. Za swą działalność został

uhonorowany m.in. Krzyżem Walecznych oraz Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta. Zmarł 19 października 1991 r. w Warszawie, pochowany został na cmentarzu w Laskach.

SIOSTRA JANA ZOFIA BRUDZIŃSKA (1899–1993)

Urodziła się 11 stycznia 1899 r. w Warszawie z ojca Leona i matki Marii z Piekarskich. Jej rodzicielka zmarła, kiedy córka miała kilka miesięcy, odtąd jej wychowaniem zajmowali się ojciec i siostra matki Ludwika. W swoich wspomnieniach dotyczących roku 1905 napisała: „Wielki pochód narodowy żądający od moskiewskiego gubernatora wypuszczenia Polaków więzionych na Pawiaku. Ojciec niósł mnie na rękę. [...] Zobaczyłam wielki krzyż i po raz pierwszy polski sztandar z białym orłem na amarantowym polu. W tym krzyżu, w tym orle, we łzach ojca zobaczyłam, zrozumiałam

Polskę”. W 1915 r., po wybuchu I wojny światowej, wraz z wieloma warszawiakami została ewakuowana w głąb Rosji. W Samarze zdała maturę i na apel Komitetu Wychodźstwa Polskiego i Polskiej Macierzy Szkolnej wyjechała dobrowolnie do pracy w polskiej szkole w Siergiejewsku na Syberii. Stamtąd została przeniesiona do pracy w Domu Sierot Wychodźstwa Polskiego w Samarze, gdzie zachorowała na złośliwą malarię. Musiała zmienić klimat – wyjechała do polskiej szkoły w Satanowie na Podolu za Zbruczem. Tam zorganizowała pierwszą polską szkołę na ziemiach oderwanych od Polski po rozbiórce 1772 r. Przez kilkanaście lat pod władzą bolszewicką oddawała się tej pracy. W tym czasie 3-krotnie przeprawiała się z przez graniczną rzekę

Zbrucz, odwiedzała rodzinę w Warszawie, a potem tą samą drogą wracała do swoich uczniów. Bliskim trudno było zrozumieć i zaakceptować jej decyzje o powrocie.

Na Podolu wychowała nowe pokolenie polskich pedagogów. Na zjeździe nauczycieli w Żytomierzu w 1928 r. wystąpiła w obronie duchowości i patriotyzmu polskich dzieci i za to została aresztowana w następnym roku i osadzona w więzieniu. Trzymano ją w Płoskirowie, Kijowie i Charkowie. 27 czerwca 1930 r. została skazana na 5 lat więzienia, a potem na zesłanie. Jednak po liście napisanym do Józefa Stalina z prośbą o powrót do Polski zgodę taką, o dziwo, bodaj jako jedyna starająca się, otrzymała.

Po przyjeździe do Polski w grudniu 1935 r. zgłosiła się do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża w podwarszawskich Laskach. Znała już wcze-



■ ZOFIA BRUDZIŃSKA Z CIOTKĄ LUDWIKĄ
ŚWIDERSKĄ W SAMARZE, 1917 R.
FOT. PIEKARSCY.COM.PL



■ S. JANA BRUDZIŃSKA.
FOT. PIEKARSCY.COM.PL

śniej matkę Różę Czacką i jej dzieło. W zakonie przyjęła imię Jana. Już na Ukrainie sowieckiej na skutek tyfusu zaczął się bardzo pogarszać jej wzrok. Kiedy wstępowała do zakonu, ledwie już widziała. Pierwszą profesję złożyła 15 sierpnia 1939 r.

Siostra Jana, mimo całkowitej utraty wzroku, w czasie Powstania Warszawskiego opatrywała rannych żołnierzy z Grupy Kampinos, którzy zawitali do prowadzonego przez siostry zakonne szpitala w Laskach. Po wojnie pracowała jako wychowawczyni, nauczycielka i katecheta niewidomych dzieci. Była pedagogiem obdarzonym praw-

dziwą charyzmą, gdziekolwiek przyszło jej pracować. Wielu uczniów nie orientowało się, że jest osobą pozbawioną wzroku. Miała doskonały słuch i fenomenalną pamięć. Od 1950 r. pracowała jako katecheta w parafiach na Lubelszczyźnie.

W końcu lat 50. odnowiła swoje kontakty ze Wschodem. Odszukała dawnych uczniów albo ich dzieci. Pomimo utraty wzroku wyjeżdżała na tereny ZSRS z misją apostolską. Incognito, w stroju świeckim, wraz z towarzyszącą jej siostrą zakonną. Bywała w Satanowie, Gródku, Lwowie, Żytomierzu, jeździła do Moskwy. Wiadomo, że tworzyła w krajach ZSRS ukryte domy zakonne. Każdorazowo przemyciała na Wschód Pismo Święte, różańce i medaliki. Wszystko zmyślnie ukryte, często obłożone w komunistyczną prasę. Spotykała się z ludźmi niewidomymi na Ukrainie. Złożyła obietnicę prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu, że będzie milczała na temat tych wypraw. Ostatni raz była na Wschodzie w wieku 91 lat, w 1990 r.

Zmarła 11 maja 1993 r. w domu zakonnym franciszek w Żułowiu (pow. krasnostawski), pochowana została na cmentarzu parafialnym w Kraśniczynie.

TERESA STRZEMBOSZ (1930–1970)

Urodziła się 11 września 1930 r. w Warszawie. Cóрка Adama, z zawodu adwokata, i Zofii z Gadomskich. Była jednym z trojaczków, miała braci, późniejszych profesorów, Adama, prawnika, prezesa Sądu Najwyższego, przewodniczącego Trybunału Stanu, oraz Tomasza, historyka, przewodniczącego Rady Naczelnej, a następnie honorowego przewodniczącego Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Za ich młodych lat to ona była liderką rodzeństwa.

Od 1937 r. uczyła się w prywatnej szkole im. Andrzeja Małkowskiego w Warszawie. W czasie okupacji niemieckiej kontynuowała naukę w żeńskiej szkole im. Gepnerówny. W Powstaniu Warszawskim w 1944 r. wraz z matką pielęgnowała chorych w szpitalu w Milanówku. To wówczas zrodziło się jej powołanie społeczne i medyczne. Po powstaniu zaopiekowała się dziećmi Bolesława Piaseckiego, których matka zginęła. Po przejściu frontu przeniosła się do Krakowa. Od września 1945 r. uczyła się tam w IX Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Józefa Marii Hoene-Wrońskiego, zaangażowała się wtedy w akcję pomocy Polakom przesiedlonym z Kresów Wschodnich.

W sierpniu 1946 r. rodzina Strzemboszków osiedliła się w Józefowie pod Warszawą. Od tego roku Teresa uczyła się w Samorządowym Gimnazjum i Liceum w Falenicy. W parafii w Józefowie jako nastolatka powołała Akcję Charytatywną i Krucjatę Eucharystyczną oraz organizowała konferencje i katechizowała dzie-



■ TERESA STRZEMBOSZ.
FOT. DOMENA PUBLICZNA



■ POMNIK TERESY STRZEMBOSZ
W CHYLICZKACH. FOT. DSMCHYLICZKI.PL

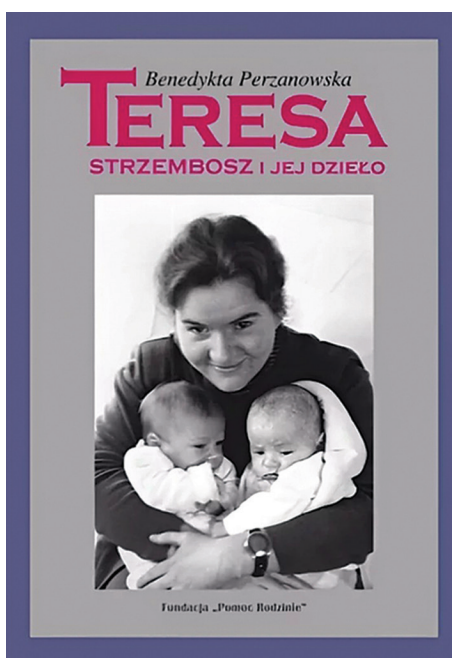
ci. W 1950 r. uzyskała maturę, mimo zdanego bardzo dobrze egzaminu wstępnego nie została przyjęta do Akademii Medycznej ze względów politycznych. Łącznie starała się o przyjęcie na tę uczelnię 7-krotnie. Wyjechała wtedy do Wrocławia, gdzie studiowała przez rok w Instytucie Katolickim na Wydziale Kultury Chrześcijańskiej. W 1951 r., po następnej nieudanej próbie dostania się do Akademii Medycznej, została słuchaczem 2-letniej Szkoły Felczerskiej w Warszawie. Jako jedna z dwóch najlepszych absolwentek została skierowana do Akademii Medycznej bez egzaminów, jednak podjęcie studiów i tym razem jej uniemożliwiono. W latach 1953–1957 pracowała jako felczer na Oddziale Internistycznym Szpitala Powiatowego i w Pogotowiu

Ratunkowym w Otwocku. W tym okresie poświęciła się profilaktyce prostytucji. W 1956 r. zorganizowała w Warszawie konferencję, na której wygłosiła referat „Deprawacja dziewcząt – prostytucja”. Po uchwaleniu przez Sejm PRL w roku 1956 ustawy aborcyjnej zainicjowała duszpasterstwo służby zdrowia dla ratowania życia dzieci zagrożonych aborcją i krzewienia wiedzy o naturalnym planowaniu rodziny. W grudniu tegoż roku zorganizowała ogólnopolską pielgrzymkę służby zdrowia na Jasną Górę, w czasie której prymas Stefan Wyszyński wygłosił pierwsze po wyjściu z więzienia kazanie. W kilku miejscach w Polsce organizowała rekolekcje zamknięte dla lekarzy, położnych i pielęgniarek. To była wyraźna kontra w stosunku do tego, co propagowały władze komunistyczne. W roku 1957 została powołana

Komisja Duszpasterstwa Lecznictwa przy Episkopacie Polski w celu objęcia opieką duszpasterską służby zdrowia w całym kraju. Wówczas Teresa rozpoczęła organizowanie w terenie poradnictwa rodzinnego, co miało ogromne znaczenie wobec antyrodzinnej polityki państwa. W czerwcu 1958 r. zorganizowała Dom Samotnej Matki w Chylicach. Z jej inicjatywy wiele zgromadzeń zakonnych otworło swoje domy dla udzielenia pomocy samotnym matkom.

W 1959 r. utworzyła w Warszawie Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy, którego została kierownikiem. Podobne placówki powołała w Białymstoku, Bydgoszczy, Gliwicach, Katowicach, Krakowie i we Wrocławiu. Adopcja porzuconych dzieci stała się jednym z filarów jej działalności. Od 1960 r., gdy nasiliły się represje wobec lekarzy niedokonujących aborcji i współpracujących z poradnictwem naturalnego planowania rodziny, rozpoczęła szkolenie doradców życia rodzinnego dla osób o innych zawodach i skoncentrowała się na pracy z rodzinami. Doskonale wiedziała o tym, że w rodzinie jest fundament silnego narodu. Przekonała kard. Wyszyńskiego o konieczności powołania duszpasterstwa rodzin i zorganizowania poradnictwa rodzinnego w strukturach parafialnych. Efektem tych działań było funkcjonowanie w 1970 r. sieci 800 poradni rodzinnych w 23 na 25 diecezji polskich. Placówki te zatrudniały ok. 3,5 tys. doradców. Przez całe swoje krótkie życie była liderką, animatorką, osobą, która wiedziała, czego chce od siebie i innych. O swojej pracy, a właściwie powołaniu tak pisała: „To takie wielkie szczęście – możliwość służenia człowiekowi – a właściwie Bogu w ludziach”.

Teresa Strzembosz zmarła 8 czerwca 1970 r. w Warszawie wskutek choroby nowotworowej w wieku 40 lat, została pochowana na cmentarzu Powązkowskim.





BOHDAN SKARADZIŃSKI
FOT. LUBIMYCZYTAC.PL

BOHDAN SKARADZIŃSKI (1931–2014)

Urodził się 5 stycznia 1931 r. w Osowcu nad Biebrzą w rodzinie Jana i Alicji z Chrzanowskich. W lipcu 1944 r. Bohdan z matką przyjechali na lotnisko do Podkowy Leśnej i tu zastało ich powstanie. We wrześniu podjął naukę w konspiracyjnym gimnazjum kierowanym przez Stanisława Tynelskiego. W Podkowie wstąpił do harcerstwa.

W czasie powojennej nauki w Liceum im. Rejtana był przywódcą podziemnej organizacji młodzieżowej. W 1952 r. w czasie studiów w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (ob. Szkoła Główna Handlowa) został aresztowany, następnie skazany na karę

10 lat pozbawienia wolności. Więziony we Wronkach i w Raciborzu, wyszedł na wolność w 1956 r. Trzy lata później ożenił się z Zofią Ryś, po ślubie zamieszkali w Podkowie, mieli 2 dzieci: Jana i Hannę. W latach 1959–1980 był pracownikiem Biura Studiów i Projektów Inżynierii Miejskiej w Warszawie. W 1963 r. ukończył studia w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, w 1976 r. doktoryzował się na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1965–1967 przebywał na kontrakcie w Bagdadzie, w latach 1979–1980 w Trypolisie.

Od 1959 r. współpracował z miesięcznikiem „Więź”, gdzie pisał na tematy historyczne. Wraz ze Zdzisławem Szpakowskim prowadził dział „Z problemów najnowszej historii Polski”. Od 1970 r. był członkiem kolegium redakcyjnego pisma, w latach 1981–1983 zastępcą redaktora naczelnego, następnie członkiem rady redakcyjnej. W latach 70. został członkiem warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Po 13 grudnia 1981 r. był współzałożycielem i prezesem Komitetu Pomocy Bliźniemu przy parafii

św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej, jednym z najbliższych współpracowników tamtejszego proboszcza ks. Leona Kantorskiego. Organizował parafialne spotkania o tematyce historycznej, na których był również prelegentem. Skaradziński zainicjował cykl „Spotkań z autorem”, w których w latach 1982–1987 wzięło udział ok. 100 intelektualistów, działaczy opozycji, ludzi kultury. Skaradziński i Jan Jarco zainspirowali odprawienie Mszy św. pojednania polsko-ukraińskiego 3 czerwca 1984 r. Skaradziński publikował w pismach drugiego obiegu, m.in. „Tygodniku Wojennym”, „Niepodległości”, „Bazie”, „Tygodniku Mazowsze”, „PWA”, „Karcie”. Pod pseudonimem Kazimierz Podlaski napisał książkę *Białorusini, Litwini, Ukraińcy*, wydaną przez podziemny „Przedświt” w 1984 r., która otrzymała Nagrodę Kulturalną „Solidarności”. W 1987 r. opublikował *Polski rok 1919*, tym razem pod pseudonimem Jan Brzoza. W wolnej Polsce w 1993 r. opublikował dwutomowe *Polskie lata 1919–1920*, a w 2007 r. książkę *Uwaga na Wschód*. Za całokształt twórczości Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich uhonorowało go nagrodą im. Bolesława Prusa. Bohdan Skaradziński zmarł 4 maja 2014 r. i pochowany został na podkowieńskim cmentarzu.

BIBLIOGRAFIA

- Brudzińska J.Z., *Via Crucis. Wspomnienia*, Warszawa 2001.
Brudzińska J.Z., *Zaślubiona Wschodowi. Wspomnienia*, Częstochowa 2008.
Kornat M., *Rafał Marceli Blüth, czyli o potępieniu obydwu totalitaryzmów*, [w:] *Niepiękny wiek XX. Profesorowi Tomaszowi Szarocie w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, Warszawa 2010, s. 47–69.
Moskwa J., *Niewygodny prorok. Biografia ks. Jana Ziei*, Kraków 2020.
Perzanowska B., *Teresa Strzembosz i jej dzieło poradnictwa rodzinnego w Polsce*, Łomianki 2010.
Sujak E., *Charyzmat zaangażowania. Życie Teresy Strzembosz*, Warszawa 1988.
Święta Urszula Ledóchowska – kobieta w Kościele i społeczeństwie, red. M. Krupecka, W. Misztal, Kraków 2015.
Trzy czwarte stulecia z Bohdanem Skaradzińskim, rozmawia Zofia Broniek, „Podkowieński Magazyn Kulturalny” 2007, nr 54/55; 2008, nr 56/57; 2009, nr 60 i 61/62.
Wojtczak A., *Kapłan według Serca Bożego – Ojciec Melchior Fordon*, Niepokalanów 2023.



Adam Hlebowicz (ur. 1962) – historyk i dziennikarz, pracownik Biura Edukacji Narodowej IPN. Autor książek: *Kościół w niewoli. Kościół rzymskokatolicki na Białorusi i Ukrainie po II wojnie światowej* (1991); *Katolicyzm w państwie sowieckim 1944–1992* (1993); *Wielkie Księstwo Pana Boga i okolice* (2004); *Biło-żółta Ukraina* (2009); *Kaliningrad bez wizy* (2012); *Grażyna Lipińska* (2020); *Podróż na Wschód* (2021) i in.



■ JAN LEOPOLD TYRANOWSKI, OK. 1940 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

KS. KAROL WOJTYŁA**APOSTOŁ****JAN TYRANOWSKI (1900–1947)*****PAMIĘCI JANA***

Było to w pierwszym roku wojny. Już w lutym księża salezjanie prowadzący parafię św. Stanisława Kostki na Dębnikach w Krakowie urządzili wielkopostne rekolekcje, zwracając przy tym szczególną uwagę na stanowe nauki dla młodzieży męskiej. Ujawszy zaś takim sposobem znaczną jej część, zapowiedzieli, że odtąd co sobotę odbywać się będą w kaplicy ochotnicze zebrania dla tych wszystkich, których zajmują zagadnienia religijne. Zebrania te ściągały stale około 20–30 młodych ludzi w wieku 16–25 lat. Wykładowca, znany biblista, ks. Jan Mazerski, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego (zginął w Powstaniu Warszawskim) – był świetny, a miejsce zebrań, kaplica, bynajmniej nie przeszkadzało mu wzywać uczestników do dyskusji, nawet do wygłaszania referatów, przez co oczywiście cała rzecz stawała się bardziej pociągająca.

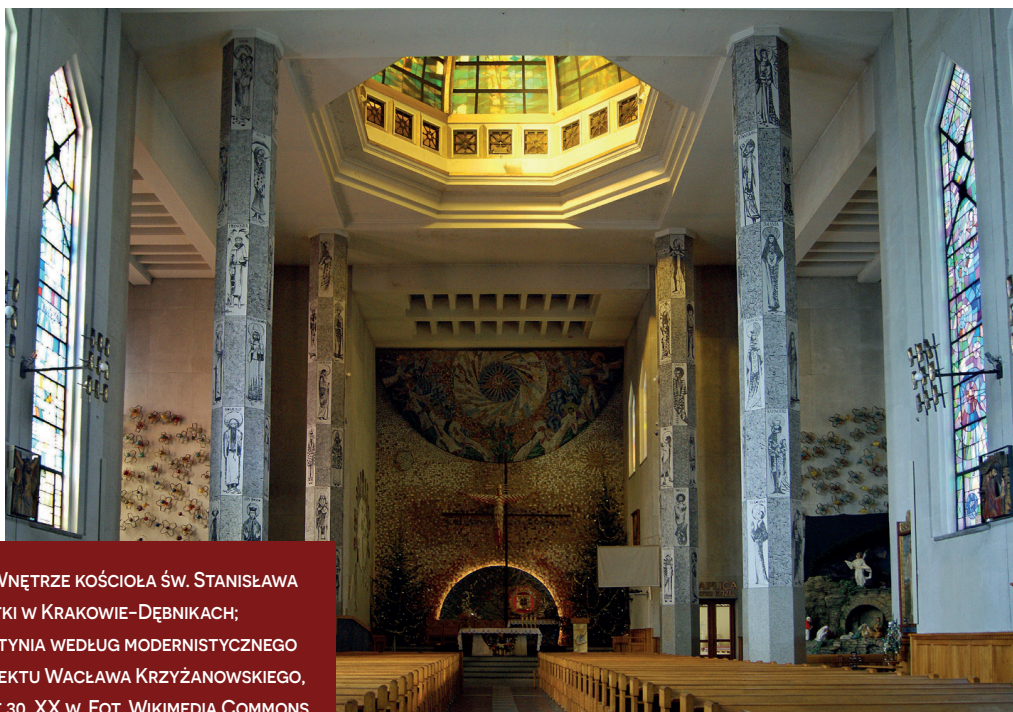
Wtedy to po raz pierwszy dał się poznać dębnickiej młodzieży człowiek, o którym mówić będą niniejsze wspomnienia.

Będziemy go nazywać imieniem Jan.

1

Wspominanie Jana z różnych względów wydaje nam się konieczne. I dlatego, by odświeżyć tę postać tym, co ją znali, i dlatego, by innym dostarczyć materiału do myślenia nad sposobami twórczej, apostołskiej pracy katolickiej. Jan bowiem wśród owego zespołu, który w jakiś czas później musiał dla różnych powodów rozpieczętnąć się, odegrał szczególną rolę: stał się w pełnym znaczeniu tego słowa apostołem. Kiedy pierwszy i drugi raz zabierał głos na zebraniu koła wiedzy religijnej, wszyscy młodzi odnieśli się do niego raczej z dużym zastrzeżeniem. Przyczyniała się do tego nie tylko widoczna na zewnątrz różnica wieku (włosy Jana były już wówczas dobrze szpakowate, chociaż miał zaledwie 40 lat), przyczyniał się do tego daleko bardziej sam sposób ujmowania zagadnień, zbyt dewocyjny – zdawało się – zbyt katechizmowy, nic a nic oryginalny. Tak więc pierwsze spotkania z Janem wytworzyły między nim a nami raczej pewne oddalenie. Odczuli to zdaje się zwłaszcza ci, którzy potem stać się mieli najbliżsi mu. Że zaś pierwsze zetknięcie wypadło na oko tak niepomysłnie, temu nie należy się dziwić. Przychodziliśmy przecież do siebie z całkiem przeciwnych stron, nic o sobie nie wiedząc; młodzi prócz tego nie przeczuwali nawet, że w obrębie religii, którą z zapałem każdy wyznawał, mogą istnieć takie możliwości, dla człowieka żyjącego z niej, jakie ukazał nam właśnie Jan.

Z tą chwilą jednak rozważanie nasze domaga się pewnych uwag dotyczących samego sposobu czy też metody ujmowania tych wspomnień o Janie. Wspominanie bowiem tego człowieka nie jest rzeczą łatwą: nie da się pojąć jako zwyczajne zestawienie samych wydarzeń z jego życia. Wydarzenia nie wyraziły nam Jana. Czyny zewnętrzne nie zdołałyby nigdy powiedzieć nam wszystkiego o nim. Jeśli bowiem każde zetknięcie z jakimś człowiekiem pozostawia w nas pewne ogólne doświadczenie, to i tutaj o takie właśnie kilka lat trwające doświadczenie Jana musimy oprzeć cały ciąg naszych o nim sądów i mniemań. Obraz Jana bowiem urastał w nich od sylwetki starszego pobożnego pana do osobistego przeświadczenia o tym, że mieliśmy do czynienia z kimś rzeczywiście świętym. Tak to wewnętrzne doświadczenie Jana przeszło przez wszystkie nasze opory i zastrzeżenia, aby odbić w nas w sposób niezatarty jego osobowość. O tę to właśnie chodzić będzie w niniejszych wspomnieniach, o to jego człowieczeństwo tak dogłębnie przeobrażone, którego



■ WNETRZE KOŚCIOŁA ŚW. STANISŁAWA
KOSTKI W KRAKOWIE-DĘBNIKACH;
ŚWIĄTYNIA WEDŁUG MODERNISTYCZNEGO
PROJEKTU WACŁAWA KRZYŻANOWSKIEGO,
Z LAT 30. XX W. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

daleki tylko odbłask nosiły na sobie jego uczynki i słowa. Zarówno bowiem pierwsze, jak i drugie musiały się zrazu wydać zupełnie przeciętne każdemu, kto w jakiś sposób nie został wciągnięty w orbitę wewnętrznego życia Jana. Tak. Jan nie mógł być poznawany od zewnątrz, musiał zostać równocześnie doświadczony i sprawdzony dogłębnie.

Nasza droga do Jana była tym trudniejsza, że przynosił on ze sobą ujęcie życia zupełnie nam dotąd nieznanne. I ku temu nowemu życiu chciał pociągnąć swych słuchaczy. Tego nowego ujęcia życia był apostołem i nauczycielem. Oto istota rzeczy: był apostołem. Miał sobą zaświadczać o prawdzie tego, co głosił.

2

Ale czy naprawdę trzeba się było naprzód do Jana przekonać, zanim się przyjęło to, z czym do nas przychodził? Przecież Jan głosił po prostu prawdę o pełnym nadprzyrodzonym życiu człowieka, które jest całkowitym wykorzystaniem bogactw naszej wiary. Prawdy te znało się już przedtem z katechizmu, z książek, z kazań. Czyż Jan rzeczywiście głosił coś nowego? W tym właśnie rzecz, że Jan nie głosił, nie nauczał urzędowo, Jan w całym tego słowa znaczeniu pracował nad duszami. Chodziło mu o to, by te dusze wchłonęły ponownie prawdy religijne, i to nie od strony zakazów i ograniczeń; chodziło mu o wydobycie z zasobów nadprzyrodzonych, o których wie-

dział, że istnieją w duszach, rzeczywistej postaci nadprzyrodzonego życia ludzkiego, życia, które przez łaskę staje się uczestnictwem w życiu Boga.

Na tym polegał właściwy trud jego przedsięwzięcia. Proszę wyobrazić sobie tych młodych ludzi, którzy raczej sądzą Jana dość sceptycznie, z których każdy nosi w sobie duży jak zawsze w tym wieku zapas poczucia swej samowystarczalności i – zarozumiałości. I każdy zadaje sobie pytania: czego ode mnie chce ów człowiek? Co mu we mnie nie wystarcza? Bo wkrótce jasne się stawało, że Jan czegoś od nich chce, właśnie od ich życia, od ich przekonań, uczuć i nastawień. W dodatku niełatwo było zrozumieć od razu, czego chce. Prawda o nowym, o pełnym życiu wewnętrznym, która stanowiła własność Jana, dla nich była zupełnie nieznana. Nie chodziło tu o wykład, o dowiedzenie się czegoś, chodziło właśnie o odmianę życia i nastawień. Ależ przecie to życie zdawało się dotąd zupełnie dobre, nieomal doskonałe, przede wszystkim od zewnątrz nienaruszalne, niedostępne dla żadnych narzuconych wpływów, a już najmniej ze strony jakiegoś dewota. Każdy z nas uporczywie sprawdzał na Janie prawdę jego słów, z trudem ustępował ze swych zastrzeżeń rozumowych, uczuciowych i wszelkich innych. Była to praca długotrwała, w której procesy łaski wyzwalały się w młodych duszach i spełniały się w nich przez obcowanie z samym wewnętrznym życiem tego prostego, dobrego człowieka. To życie wewnętrzne leżało jak ciężar poza jego słowami, ono tłumaczyło całe jego postępowanie, ono przykuwało do Jana wbrew wszystkim zastrzeżeniom i oporom. Raziły nas nieraz słowa, nie dlatego, żeby były jakieś nieodpowiednie, ale że były nieoryginalne, miłość własna cierpiała, przeczuwając tę różnicę poziomów, jaka dzieliła jego i nasze życie wewnętrzne. Ale wśród tego samo doświadczenie Jana stopniowo narastało przez nieustanne obcowanie z jego wewnętrzną prawdą. On ukazywał Boga dużo bardziej bezpośrednio, aniżeli kazania i książki, on dowodził, że o Bogu można się nie tylko dowiadywać, że Bogiem można żyć. A przede wszystkim on zaskakiwał nas niejako faktami. Niewątpliwie bowiem między tym, co głosi apostoł, a tym, co głosi ktokolwiek inny, zachodzi ogromna różnica. Przede wszystkim zachodzi różnica w postawie i możliwościach słuchacz-o odbiorcy. Apostołowi musi chodzić – i chodzi – o zaczątkową bodaj, wewnętrzną odmianę słuchacza. A ta odmiana nie jest li tylko wnioskiem narzuconego rozumowania, lecz procesem łaski, procesem niewspółmiernym do żadnych słów. Przy tym o ileż trudniej przekonać tam, gdzie chodzi nie tylko o przyjęcie prawdy, ale o odmianę swego ja, o pewne wyjście z siebie.

Otóż właśnie tu było coś w Janie, co robiło wrażenie, że ten człowiek jakby przenosił procesy łaski. Powtarzam: zaskakiwał faktem dokonanym. Spoza wszystkich oporów, zastrzeżeń, uprzedzeń do jego słów, do jego sposobu wyrażania się czy spisywania pewnych uwag o życiu wewnętrznym (które w rzeczywistości raczej było przepisywaniem gotowych ustępów z ksiązek duchownych) – wyłaniała się ta jakaś konieczność ulegania jego wewnętrznej prawdzie i naśladowania tego życia, którym on sam żył i którego był apostołem. Teolog powie, że wnioskowanie jest o tyle niepoprawne, o ile apostołski wpływ jednostki może być skutkiem charyzmatów, łask darmo danych, które same przez się nic nam jeszcze nie mówią o samej świętości danego człowieka. Ale apostołstwo Jana nie było masowe, Jan najwięcej czynił przez osobiste rozmowy i konferencje, podczas których nie wykladał, nie nauczał, ale wszystkiego dokonywał tym jakimś ciężeniem swego życia wewnętrznego.

3

Któż to bowiem był ów Jan? Powiedziano już wyżej, że był apostołem. Apostołstwo pojmuje się jako społeczne przedłużenie i rozszerzenie kontemplacji, jako przeniesienie jej skutków na innych. Otóż Jan był co prawda człowiekiem głęboko skłonny do kontemplacji, ale niewiele nosił w sobie skłonności działacza, mówcy itp. Owszem, całą sferę zewnętrznego działania zdawał się raczej uważać za zakres konieczności i obowiązków. Całe jego życie od wczesnej młodości dowiodło, że stronił od ruchu, od zetknięcia z ludźmi. Przecież dlatego właśnie zmienił w młodości swój zawód: będąc z wykształcenia urzędnikiem rachunkowym, opuścił swą pracę, wołąc pozostać krawcem w pracowni swego ojca. Ojciec zresztą w ostatnich latach już nie pracował, krawiectwo przeszło na własność młodszego brata Edwarda. Kręgu rodziny dopełniała staruszka matka. W tych warunkach znajdował dla siebie Jan potrzebną ciszę i oderwanie od świata, które po okresie doświadczenia i namysłu wydało mu się jego właściwym powołaniem. Chodziło tutaj o to odosobnienie się z Bogiem, którego społecznej wartości, poza chrześcijaństwem, nikt nie docenia. W chrześcijaństwie zaś tłumaczy je nauka o Mistycznym Ciele Chrystusa.

Dlaczego Jan nie wstąpił po prostu do zakonu? Nieraz pytano go o to. Odpowiedzi jego nie były nigdy całkiem wystarczające. Zdaje się jednak, że Jan wytworzył sobie obraz życia zakonnego jako ogromnie trudnego i uciążliwego, pełnego odpowiedzialności. Dość na tym, że odosabiając się, pozostał jednak w świecie. Życie jego przybrało tutaj postać głębokiej ascezy, w której szczegóły nie podobna wchodzić. Istnieje cały

szereg danych wskazujących, że Jan nie pominął żadnego ze środków, aby ujarzmić swe ciało. Można wręcz podejrzewać, że je nadwężył. Głównym jednak żywiołem jego życia wewnętrznego było rozmyślanie. Nie oznaczało ono dlań wyłącznie rozumowego rozbioru prawd Bożych, czystego ich przemyślenia. Chodziło o rozmiłowanie się w rozmyślanym przedmiocie – nie o suche ćwiczenie umysłu, ale o pełne ćwiczenie ducha.

W jaki sposób te wysiłki (które w pewnych okresach dochodziły do 4 godzin rozmyślenia dziennie) przeprowadziły Jana poza sferę rzeczywistości dotykanej, w jaki sposób spotkał się w nich z niepojętą i niezgłębianą rzeczywistością Boga – to pozostanie już na zawsze jego wyłączną tajemnicą. Tym, którzy się z nim zetknęli, wolno o tym sądzić jedynie ze skutków, po owocach. Rozmyślanie było dla Jana przede wszystkim szukaniem Boga wprost, w samej Jego transcendencji, nie zaś stopniowym zdobywaniem nadprzyrodzonego widzenia świata stworzonego takim, jakim wyszedł on z tajemnicy Wcielenia. Cała ta ostatnia strona była zdaje się w wewnętrznym życiu

■ KS. JAN MAZERSKI (U DOŁU, PIERWSZY Z PRAWYJ) WŚRÓD UCZESTNIKÓW I ZJAZDU BIBLISTÓW POLSKICH W KRAKOWIE, PRZED WEJŚCIEM DO BUDYNKU UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO, 1937 R. FOT. NAC





Jana jakby mniej rozbudzona. Miłość do Chrystusa Pana, który był Bogiem, była mu raczej pomostem do wejścia w samą transcendentną rzeczywistość Bożą, niż nadprzyrodzoną odmianą widzenia świata. To wyjście naprzeciw Boga dokonywało się wśród wewnętrznych cierpień. Możemy znów o tym sądzić na podstawie częstych wypowiedzi Jana. Jeśli w ogóle nie lubił mówić o sobie, to do tych spraw powracał często. Widoczne było, że stanowiły one największe wydarzenia jego życia.

A teraz wyobraźmy sobie tę chwilę, kiedy Jan został wezwany do apostołstwa. Został wezwany, sam bowiem przy swoim usposobieniu samotniczym nie byłby nigdy chyba ku niemu wyszedł. Nie miał zupełnie temperamentu działacza, nie wyobrażał sobie, że zdoła na kogoś wpływać. (W ogóle był typem, którego pełna wartość społeczna mogła zostać wydobyta jedynie w obrębie takiej zasady, jaką jest Mistyczne Ciało). Spowiednikowi tak się tłumaczył: „Ależ ja nie umiem mówić...” – „Nic nie szkodzi” – odpowiadał tamten – „Pan Bóg ci dopomoże. Nie bój się”. I Jan odważył się. Trzeba się wczuć koniecznie w ten fakt, wtedy zrozumiemy, że na to naprawdę potrzeba było w danych warunkach dużej nadprzyrodzonej odwagi. Różnił się przecież tak bardzo od tych ludzi, nad którymi przyszło mu pracować. Szedł tak odmienną od nich drogą. Nie umiał mówić ich językiem, myśleć ich pojęciami, a przede wszystkim ta różnica poziomów wewnątrz! Trzeba się było rzeczywiście zniżyć i zacząć się uczyć rzeczy, które uznawał za bezwartościowe, za zbyteczne. Ale w jaki sposób spotka się ich życie wewnętrzne, ich skromne pojęcie o Bogu, z dojrzałym owocem jego kontemplacji? Wyczuwał jednak, że chodzi tym razem nie o co innego,



■ KAROL WOJTYŁA W KLASIE MATURALNEJ, STOI PIERWSZY PO LEWEJ. FOT. ARCHIWUM EUGENIUSZA MROZA

ale o wtajemniczenie ich w to właśnie. Przecież już przed wojną pracował w Akcji Katolickiej; był sekretarzem, spełniał swe obowiązki z tą niezwykłą dokładnością, jaką można było stwierdzić na każdym kroku, chociażby śledząc kształt i przejrzystość jego pisma. Ale wtedy był jeszcze tylko urzędnikiem apostołstwa. Nie dojrzał jeszcze najwidoczniej do apostołskiego ujawnienia tego, co nagromadził w sobie, nie zdobył się na razie na śmiałość, osobiste i współmierne ujęcie apostołstwa.

To miało stać się teraz. Jan rozumiał, że go do tego wzywa Bóg. Musiał to być jednak dla niego daleki i trudny skok. Wyczuwało się, zwłaszcza z początku, że Jan niejako stroni od tych, do których się zbliża, że chętnie by odszedł od nich i zamknął się z Bogiem w swoim wnętrzu. Tylko kto wie, czyby Go wtedy tam jeszcze odnalazł tak jak dawniej?

4

Zdajemy sobie teraz łatwo sprawę, że to, co Jan przynosił swoim młodym przyjaciołom, stanowiło dla nich prawdę dotąd zupełnie nieznaną, nieprzeczuwaną nawet. Jeśli kiedyś przeczucie takiej prawdy życia budzić się mogło przy czytaniu jakiejś ascetycznej książki, np. dobrego żywota jakiegoś świętego czy powieści Georges'a Bernanosa,

to mijalo się je wręcz z przerażeniem. Tak bardzo sama myśl, samo przeczucie jakiegoś głębszego życia według Ewangelii wydawały się nadludzkie. Ewangelia ma przecież dla życia ludzkiego tyle głębin, które w danym razie wydać się mogą prawdziwymi przepaściami. To się wyczuwa nawet podświadomie, czytając ją. Samo już zetknięcie z nią jest nie tylko pociągające, zachwycające, ale budzi w zwyczajnym człowieku jakiś wewnętrzny odruch samoobrony. Od pierwszej bowiem chwili zobowiązuje samymi możliwościami, samym widnokresem tego życia, które ukazuje.

Jeśli sobie z tego zdamy sprawę, wówczas bardzo łatwo znajdziemy się w samej cięciwie tego napięcia, które wytwarzało się między Janem a młodymi jego towarzyszami. Jan bowiem przynosił pewną postać życia według Ewangelii, jedną z wielu możliwych, tę właśnie, która jemu była przeznaczona. Próba ta w swoim rodzaju była wykończona. Jan różnił się od swych towarzyszy tym właśnie, że odważył się zapaść w te głębin, w te pozorne przepaści, które oni dotąd omijali z drżeniem. A teraz Jan usiłował ich tam sprowadzić, do pewnego stopnia narzucał się za przewodnika.

Czy przynosił ze sobą jakiś wypracowany system apostolski lub wychowawczy? Przypuszczam, że nie. Ów system miał sobie dopiero sam wypracować w ciągu swej kilkuletniej działalności. Przynosił tylko stanowcze zamierzenie: trzeba innych wprowadzić właśnie tam, dokąd ja sam się dostałem. To był punkt wyjścia, a przyłączyła się do tego zamiaru ogromna nieustępliwość: nie pozwolę się sprowadzić niżej. Wiedział przecież, że wszelka praca społeczna postępuje według pewnej wypadkowej. I to było drugie znamię konieczne jego zamierzenia: postanowił wziąć odpowiedzialność za całą wypadkową swego apostolstwa. Czy to osiągnął i w jaki sposób – tym właśnie wypadnie z kolei zająć się w miarę szczegółowo.

Co chciał dawać – a jeszcze przedtem: co mógł dawać? – Przygotowania ani filozoficznego, ani teologicznego w ścisłym znaczeniu nie posiadał (dopiero w ostatnich dwu latach życia zajął się tym przedmiotem w sposób bardziej teoretyczny, korzystając z urządzonych w tym celu kursów katechetycznych dla świeckich). To, co posiadał, było prawie wyłącznie owocem życia wewnętrznego, stanowiło zasób tej doświadczalnej wiedzy o Bogu, która narasta w nas czasem wręcz niewypowiedzianie w miarę, jak potęguje się nadprzyrodzone życie wewnętrzne. Otóż Jan zasób tej wiedzy posiadał w obfitości. Ma ona jednak to do siebie, że uchyla się spod czysto rozumowych i pojęciowych ujęć i w ten sposób staje się prawie niedostępna dla rozumowego przekazywania. Jan w dodatku nie czuł się zbyt wymowny, cała ta

niewypowiedziana wiedza wewnętrzna onieśmiałała go do reszty. Szukał tedy książek, podręczników, gdzie by mógł znaleźć kościec pojęciowy oraz słowny wyraz tego, o czym chciał mówić. Spowiednik wskazał mu kiedyś Adolphe’a Tanquereya. Przypuszczam, że mógłby to być równie dobrze jakikolwiek inny podręcznik. Wystarczyło, że Jan znalazł tam odpowiednie nazwy dla tych rzeczywiście, które znał już przedtem doskonale z doświadczenia.

Ale o tych rzeczach nie tylko mówił. Zresztą łatwo było rozpoznać, że mówi słowa cudze, wypisane z książek, umysłem krytycznym zdawało się to wręcz śmieszne, cała ta scholastyczna rozpiętość podziałów, podawana na pamięć lub z zapisków. Jan tych rzeczy po prostu udzielał. Znów to wyjście poza znaki i symbole, spotkanie bardziej bezpośrednie z jego wnętrzem, uchwycenie samej rzeczywistości.

Jan wtajemniczał w Boga. To była znamienita część jego metody: w ogromnym stopniu samorzutna czy samorodna, mało wypracowana. Trudno zapomnieć rozmów z Janem. Jedna taka ciągle trwa w pamięci, kiedy ten prosty człowiek, który skarżył się przed spowiednikiem na braki wymowy, do późnych godzin nocnych mówił o tym, kto to jest Bóg, a raczej – co to jest życie z Bogiem. Nie czytał wtedy obcych słów z kartki, mówił sam od siebie. Było to jakoś w lipcu i dzień powoli wygasał, słowa Jana stawały się coraz bardziej samotne w opadającym mroku, coraz też głębiej zapadały, wyzwalając w nas te ukryte głębiny ewangelicznych możliwości, które dotąd omijało się z drżeniem.

Był to apostoł Bożej wielkości, Bożej piękności, Bożej transcendencji. Tego nauczył się od swego głównego przewodnika: był nim św. Jan od Krzyża. Bóg w nas jest nie po to, abyśmy Go zacieśniali do wąskich granic naszego ludzkiego ducha, Bóg w nas jest po to, aby nas wyrwać z nas samych w stronę swojej nadprzyrodzonej transcendencji.



■ KAROL WOJTYŁA JAKO
STUDENT UNIwersYTETU
JAGIELLOŃSKIEGO,
KRAKÓW, JESIEŃ 1938 R.
FOT. DOMENA PUBLICZNA



■ FRANCISCO DE ZURBARÁN, ŚW. JAN
OD KRZYŻA, 1656 R. FOT. WIKIMEDIA

To był też główny cel usiłowań Jana. W tym był najmocniejszy, najwyraźniejszy, najbardziej przekonujący, najbardziej apostołski. Bóg jest w nas. Jan o tym wiedział. Nieraz można go było spotkać w pobliżu Wisły albo po prostu zastać we własnym domu, kiedy wyjaśniał młodym słuchaczom istotę cnót boskich, sposoby rozmyślenia czy też tajemnicze dary Ducha św. Teoretycznie były te wykłady niedoskonałe; skąd płynęła ich właściwa siła, to już wiemy z poprzednich roz-

ważań. Jeśliby teraz przyszło pokrótce ująć styl apostołski Jana, wówczas należałoby stwierdzić, że nie chciał on być li tylko wychowawcą dobrych po prostu ludzi, moralistą czy psychologiem. Przedmiot swego apostolstwa ujmował Jan daleko bardziej teologicznie. Był rzeczywiście wychowawcą-teologiem. Wiedział o nadprzyrodzonych darach złożonych przez łaskę w głębi dusz i chciał być wychowawcą tej wewnętrznej boskości w człowieku, chciał ją odkryć i uświadomić każdemu ze swych młodych towarzyszy. Chciał pomóc rozwinąć ten zasób, wlany człowiekowi, a jednak ciągle zdobywany.

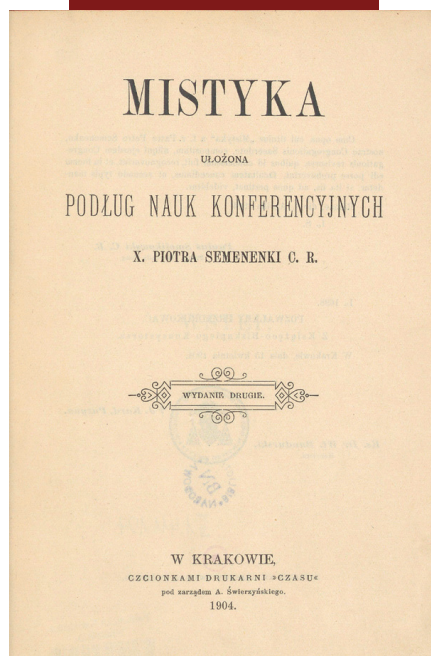
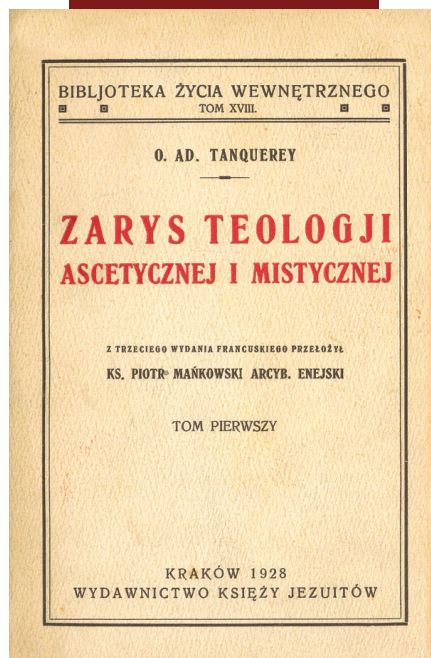
Nigdy ściśle rozróżnienia, które Jan odczytywał ze swych ascetycznych notatek, nie wydadzą tego wszystkiego. Nigdy on sam nie zdołał zapewne obliczyć (choć tak bardzo lubił nawet w tych rzeczach przejrzyste rozliczenia, podziały i stopniowania – dawny nawyk buchaltera) – otóż nie zdołał obliczyć tych odmian, które opracowywał, z którymi współpracował.

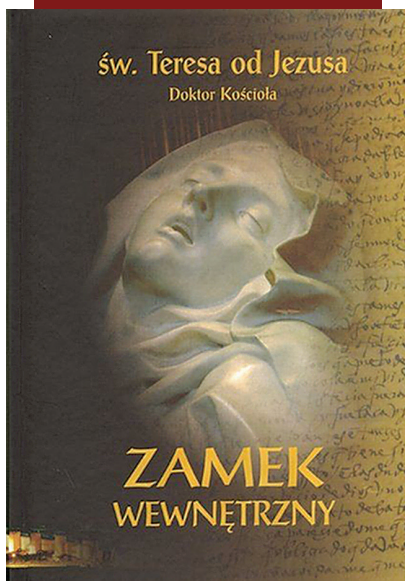
Jego miłość do ludzi była dziwna, zaskakiwała jakąś dziwną swoją bezwzględnością. Często zdawał się jakby pozbawiony wszelkiej czysto ludzkiej tkliwości czy też zrozumienia dla pewnych czysto ludzkich ideałów. Nie przechodziło to nigdy w jakąś złośliwość czy szorstkość, raczej uderzało jako linia jego życia wewnętrznego. I odkrywało się w tym raz jeszcze jego wewnętrzną prawdę: Bóg jest Dobrem niewspółmier-

nym, jedyną bezwzględną miarą dobra i zła ludzkich losów. Nie należy się zbyt rozklinać nad człowiekiem w porządku dóbr przemijających. Całą miłość należy zwrócić ku zapewnieniu mu Dobra Bożego.

Z takich założeń wynikała cała autentyczność apostolskiej działalności Jana. Chodziło mu o osiągnięcie jakościowe, nie ilościowe. Właściwą zaś jakością, którą wypracowywał, było naśladowanie Chrystusa, była nadprzyrodzona „metanoia”: odmiana człowieka. Rozpoczął tę pracę z wieloma. Któż z nas wykorzystał go w pełni? Były okresy, kiedy „szkoła” Jana liczyła około stu młodzieńców w wieku mniej więcej 14–25 lat. Księża z parafii św. Stanisława Kostki na Dębnikach powtarzali z uśmiechem: – „Patrzcie go, ot krawiec” – a potem dodawali: – „Sama chwała Boża mieszka na Różanej” (nazwa ulicy, przy której znajdował się dom Jana). – Wytwarzał się w „szkole” Jana pewien system współzawodnictwa, sama ilość młodzieńców (Jan osobno prowadził starszych i młodszych, opierając zwłaszcza kierownictwo tych pierwszych na osobistych konferencjach) przyczyniła się do pewnej eliminacji. Jan nie był społecznikiem, nie chodziło mu o ilość. Został posłany do tych, którym stał się wewnętrznie potrzebny.

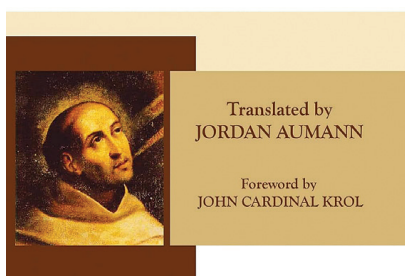
Należałoby jeszcze pokrótce ocenić ów system apostolski Jana. Trzeba koniecznie przyjąć od niego cały szereg zasad jako koniecznych dla wszelkiej działalności apostolskiej. Taką będzie przede wszystkim zasada owego wtajemniczania, sama zasada pracy jakościowej, oraz to, co jeszcze należy uzupełnić: powierzenie prowadzonym przez siebie młodzieńcom samodzielnych zadań apostolskich (tj. zadań Jan nie powierzał, one się same narzucały. Jan tylko pod





POPE JOHN PAUL II

FAITH
ACCORDING TO
ST. JOHN OF THE CROSS



■ WZNOWIENIE ANGIELSKIEGO
WYDANIA DOKTORATU KAROLA
WOJTYŁY DOKTRYNA WIARY
WEDŁUG ŚW. JANA OD KRZYŻA

te zadania podkładał całą życiową ich treść, chroniąc przed spłyceniem, a uwydatniając właściwą w tym wszystkim postać życia łaski). Cały ten zrąb jest w pełni do przyjęcia. Co do samego jednak przedmiotowego kierunku jego działalności, wydaje się, że Jan zbyt podkreślał pewne oderwanie od życia, rozumiane zbyt bezwzględnie. Nie miał np. pełnego widzenia takich nadprzyrodzonych zagadnień, jak małżeństwo, twórcza praca zawodowa, społeczna czy kulturalna. Chrześcijaństwo jest dużo odważniejsze względem życia niż je naświetlał, i korzystając z zasadniczego zrębu jego apostołskich osiągnięć, trzeba koniecznie uzupełnić go pod tym względem. Da się to zresztą uczynić bez trudu.

5

Ostatnim doświadczeniem Jana była dla nas jego choroba i śmierć. Ale przedtem jeszcze kilka szczegółów o nim samym.

Otóż człowiek ów to nie fikcja czy symbol, to postać ściśle historyczna. Nazwisko jego brzmiało: Tyranowski. Jan Tyranowski. Mieszkał w Krakowie, na Dębnikach, ul. Różana 15. Urodził się w 1900 r., umarł w marcu 1947 r. Dane dotyczące jego wykształcenia i zawodu zostały już przytoczone poprzednio. Sama rodzina stanowiła typowe krakowskie przedmiejskie środowisko drobnomieszczańskie. Ojciec i brat Edward umarli jeszcze przed śmiercią Jana, matka zaś wtedy, gdy i on sam walczył już ze śmiercią na łóżku szpitalnym. Warto może podkreślić, że Jan w całym swoim zewnętrznym sposobie bycia, a więc np. w sposobie noszenia zegarka, w pewnych wyrażeniach i w ogóle we wszystkich tych drobiazgach, które w całym stylu życia uwidaczniają środowisko, nie od-

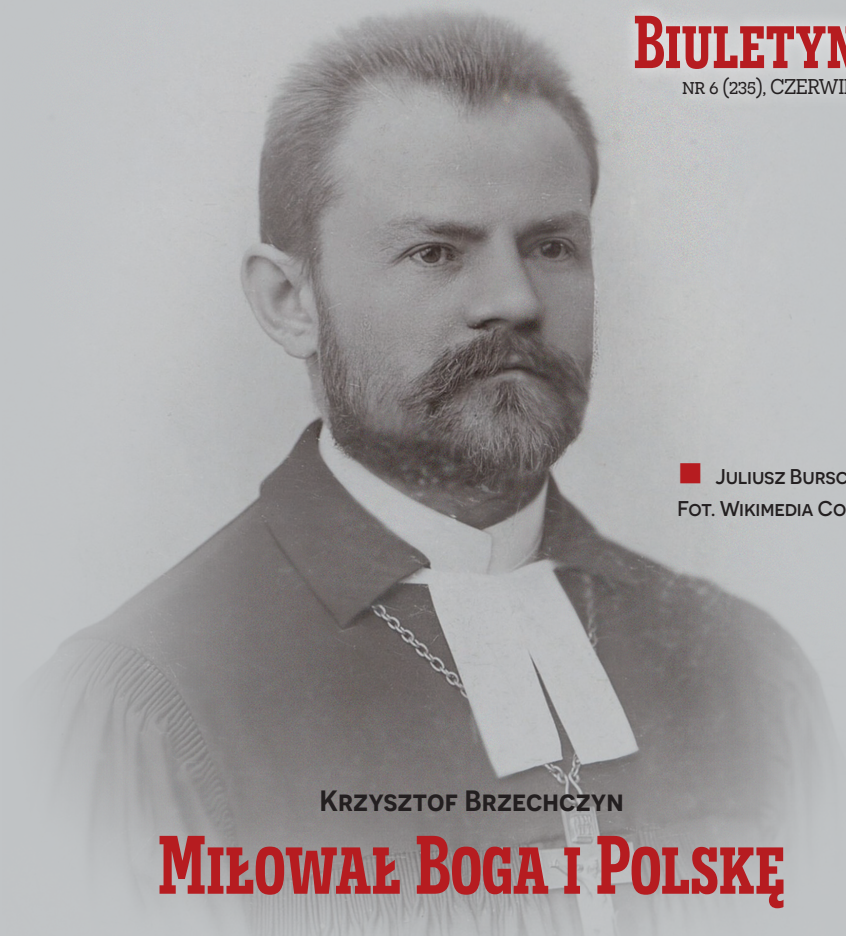
różniał się odeń zupełnie. Cała różnica kryła się wewnątrz; stamtąd też wszystkie te zwyczajne i codzienne przejawy otrzymywały szczególne zabarwienie. W samym życiu wewnętrznym opierał się Jan początkowo na *Mistyce* o. Piotra Semenienki. Głównymi jednak mistrzami stali się dlań później: św. Jan od Krzyża i św. Teresa od Jezusa. Byli dla niego nie tylko mistrzami, oni dosłownie pozwolili mu odkryć siebie samego, wytłumaczyli mu i uzasadnili własne jego życie.

Śmierć Jana była doprawdy pewną formą wyniszczenia wyrównującego, ku której Jan świadomie szedł, której pożył, o którą się modlił. A więc: którą wybrał. Nie znaczy to, aby się jej równocześnie po ludzku nie lękał, aby jej boleśnie nie przeżywał. Owszem, był on właśnie z gatunku tych ludzi, którzy bardzo mocno przeżywają każdy ból. Przeżywają bowiem niejako na dwóch poziomach. Skarżył mi się przecież jeszcze w początkach swej długiej, rok trwającej choroby, że nie może się obejść bez środków uśmierzających, że nie ma dość siły, aby przyjąć chorobę w całym jej okrucieństwie. A było to rzeczywiście coś jakby stopniowe i doszczętne wyniszczanie. Zaczęło się od zakażenia ręki nieodpowiednio leczonej. Zakażenie spędzono przedtem z całego organizmu penicyliną. Długo leczono samo ramię. W końcu jednak musiano je odjąć. Zakażenie jednak wróciło, przerzuciło się na nogi, na wewnętrzności, ropa zalała wewnętrzny narząd słuchowy. Na trzy dni przed śmiercią Jan zupełnie ogłuchł. A jednak wśród tego wszystkiego był ciągle, mimo bólów, pogodny i uśmiechnięty, wręcz promienny. Nie wiedział zapewne, że taką właśnie drogą pójdzie jego ostateczne wyniszczenie, choć wiedział, że w jakiś sposób musi ono przyjść. Oczekiwał go w głębokim pokoju.

Artykuł pierwotnie opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” 1949, nr 35.



Karol Wojtyła (1920–2005) – papież Jan Paweł II, święty Kościoła katolickiego. Filozof, teolog, pisarz. Autor książek: *Doktryna wiary według św. Jana od Krzyża* (doktorat, 1948); *Brat naszego Boga* (dramat, 1950); *Miłość i odpowiedzialność* (1960); *Przed sklepem jubilera* (1960); *Osoba i czyn* (1969); *Aby Chrystus się nami posługiwał* (1979); *Poezje i dramaty* (1980); *Mężczyznę i niewiastę stworzył ich. Odkupienie ciała a sakramentalność małżeństwa* (1986); *Przekroczyć próg nadziei* (1994); *Dar i tajemnica* (1996); *Tryptyk rzymski* (2003); *Pamięć i tożsamość* (2005); 14 encyklik, m.in. *Redemptor hominis* (Odkupiciel człowieka), *Dives in misericordia* (O Bożym miłosierdziu), *Laborem exercens* (O pracy ludzkiej), *Redemptoris Mater* (Matka Odkupiciela), *Veritatis splendor* (Blask prawdy), *Fides et ratio* (Wiara i rozum).



■ JULIUSZ BURSCHED, OK. 1905 R.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

KRZYSZTOF BRZECHCZYN

MIŁOWAŁ BOGA I POLSKĘ

BP JULIUSZ BURSCHED (1862–1942)

„Co za wielkie rzeczy Pan wśród nas uczynił. Przewyższając one najśmielsze nasze marzenia, przekraczając granicę dociekań ludzkich: trony padły, państwa się rozsypują, a natomiast zmartwychwstaje Polska niepodległa i zjednoczona”

Z listu Juliusza Burschedo do Franciszka Michejdy¹

Był protestantem, patriotą i wielkim zwolennikiem polskiej niepodległości. Ten niezwykle człowiek poświęcił całe życie na walkę o sprawy, które uważał za słusne.

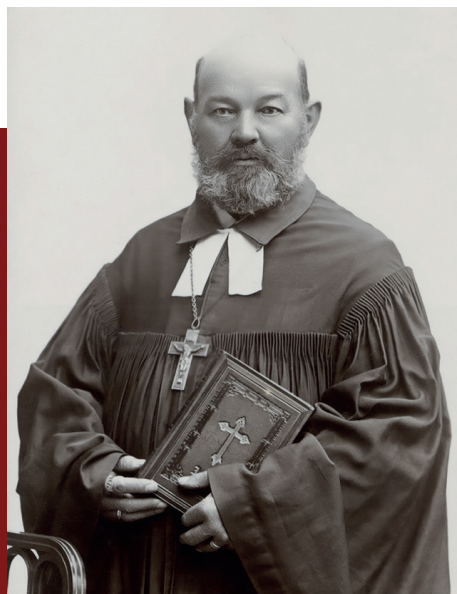
¹ List generalnego superintendenta J. Burschedo do ks. F. Michejdy z 18 listopada 1918 r., cytuję za: E. Alabrudzińska, *Juliusz Bursched (1862–1942) – zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce*, Toruń 2010, s. 70.

P

rzodkowie Juliusza Burschego wywodzili się z Bawarii, lecz na początku XVII w. przeprowadzili się do Saksonii. Dziadek – Johann Bursche (ur. 1803) – ok. 1825 r. wraz z rodziną osiedlił się w Turku, gdzie założył warsztat tkacki. W 1831 r. przyszło na świat najstarsze dziecko Burschów – Ernest, potem czworo kolejnych.

Na początku lat 50. XIX w. w woj. kaliskim wybuchła epidemia cholery, która zdziesiątkowała ludność. Nie ominęła też Burschów – w 1852 r. umarł Johann, rok później jego żona Matylda oraz czworo ich dzieci. Ocalał tylko Ernest, który w tym czasie uczył się w Gimnazjum Gubernialnym w Piotrkowie Trybunalskim. Pomimo przeciwności losu Ernest (zabezpieczony spadkiem rodziców) ukończył w latach 1854–1858 studia teologiczne w Dorpacie (ob. Tartu w Estonii) i w 1858 r. został pastorem zboru ewangelicko-augsburskiego w Kaliszu. Trzy lata później ożenił się z młodszą o 8 lat Matyldą z domu Müller, a 19 września 1862 r. urodził się im syn Juliusz. W 1866 r. rodzina osiadła w Zgierzu, gdzie Ernest Bursche – aż do swojej śmierci w 1904 r. – był pastorem parafii ewangelicko-augsburskiej. Juliusz miał siostry: Marię i Emilię, oraz braci: Ernesta, Adolfa i Emila. W 1875 r. zmarła matka Juliusza, a 4 lata później

jego ojciec ożenił się z Matyldą z domu Harmel, z którą miał kolejnych sześcioro dzieci: Edmunda, Alfreda, Henryka, Zofię, Aleksandra i Teodora. Było ich więc w sumie dwanaścioro, a różnica wieku między najstarszym a najmłodszym wynosiła 31 lat.



ERNEST WILHELM BURSCH, OJCIEC JULIUSZA, 1898 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

SERCEM ZA POLSKĄ

Pod koniec XIX w. w Królestwie Polskim (zw. ówczynie Krajem Nadwiślańskim) mieszkało 9,4 mln osób, w tym 407 tys. Niemców. Zdecydowana większość ludności niemieckiej (prawie 90 proc.) była wyznania ewangelicko-augsburskiego, a ok. 10 proc.



■ UNIwersytet w DORPACIE, 1860 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

należało do Kościoła katolickiego. Polacy natomiast stanowili 7,6 proc. wyznawców Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Polonizacji ulegały w pierwszej kolejności kręgi niemieckiej inteligencji i przemysłowców oraz ci, którzy zawodowo mieli na co dzień styczność z Polakami. Polonizacji luteran sprzyjała polityka władz Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Królestwie Polskim, zalecająca używanie w parafiach języka polskiego w liturgii i życiu wewnętrznym.

Artykuł w „St. Petersburger Zeitung” tak opisywał stosunki narodowościowe w Kongresówce: „Przodkowie zaś teraźniejszych ewangelików w ogóle, a pastorów w szczególności, byli to w znacznej części wychodźcy cudzoziemscy, potomkowie których złączyli się i żyli ze społeczeństwem tutejszym, porzuciwszy wszelką łączność z dawnym swym pochodzeniem (za wyjątkiem religii). Ta siła asymilacyjna Polaków pochłaniająca pierwotną narodowość przybyszów, nie zmniejsza się bynajmniej z biegiem czasu, przeciwnie, po dziś dzień obcy coraz więcej ulegają temu na pozór zagadkowemu magicznemu urokowi, jaki wywierają na nich kraj i krajowcy. Potomkowie cudzoziemców, którzy dopiero w połowie tego wieku osiedlili się w tym kraju, często już nie znają języka ojców swych i uważają się na wskroś za Polaków”².

² Autorem jest „F.P. z Warszawy” (*Z prasy*, „Zwiastun Ewangeliczny” 1898, nr 3, s. 65).

Temu magicznemu urokowi polskości uległ również Juliusz Bursche. Odtworzenie jego stanów ducha jest trudne, ponieważ w czasie II wojny światowej wszystkie jego osobiste notatki i dokumenty zostały zniszczone. Gdy rozpoczynał naukę w VI Gimnazjum Męskim w Warszawie, nie znał prawdopodobnie jeszcze języka polskiego, gdyż w domu mówiono po niemiecku. Po zdaniu matury w 1880 r. rozpoczął studia z teologii ewangelickiej na uniwersytecie w Dorpacie dzięki stypendium rządowemu w wysokości 25 rubli miesięcznie. Działal w teologicznym kole naukowym i korporacji akademickiej „Polonia”, przyjaźnił się z Marianem Zdziechowskim.

W 1898 r. Bursche opublikował w „Zwiastunie Ewangelicznym” wieloodcinkowy artykuł poświęcony zagadnieniom narodowości i wyznania. Według niego poczucie narodowe jest przede wszystkim kwestią świadomego wyboru. Pisał: „Naród więc to nie przypadkowo zebrany tłum, lecz pewien odłam ludzkości, pewna społeczność ludzi, którzy się za jedność uważają i jako jedność czują. Nie obyczaje wspólne i nie jedność pochodzenia tworzą naród, ale myśl, którą pewna masa ludzi przyjęła za wspólny cel swojej działalności. Pojęcie narodowości zasadza się na osobistym poglądzie samych członków danego narodu”³. Jednakże tworzywem, z którego świadoma wola przynależności narodowej wyrasta, jest tradycja, język i obyczaje. Na początku XX w. Bursche tak charakteryzował Mazurów: „Smutne panują stosunki na Mazowszu Pruskim; z jednej strony widzimy lud prosty w uspieniu pod względem narodowym, nie zdający sobie sprawy z tego, że jest polsko-ewangelickim”⁴. Bursche oddzielał też zdecydowanie kwestię przynależności religijnej od narodowej, co było w społeczeństwie polskim (i nie tylko) przełomu XIX i XX w. rzeczą nader rzadko spotykaną.

Elżbieta Alabrudzińska pisała, że Juliusz Bursche wrócił z niemieckojęzycznego uniwersytetu dorpackiego jako człowiek identyfikujący się z polskością. Świadczyły o tym, pisane piękną polszczyzną, jego listy do ks. Edmunda Hermana Schultza, współredaktora „Zwiastuna Ewangelicznego”. Nauczył też posługiwania się literackim językiem polskim swoją żonę i doprowadził do tego, że wszystkie jego dzieci jednoznacznie identyfikowały się z polskością⁵.

³ J. Bursche, *Narodowość i religia*, [w:] *Juliusz Bursche – myśl, działalność i dziedzictwo*, red. A. Łupienko, Warszawa 2023, s. 87.

⁴ J. Bursche, *Mazurom ku przestrodze*, [w:] *Juliusz Bursche – myśl, działalność i dziedzictwo...*, s. 96.

⁵ E. Alabrudzińska, *Juliusz Bursche (1862–1942) – zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego...*, s. 18–19.



■ JULIUSZ BURSCH, 1885 R. FOT. POLONA.PL

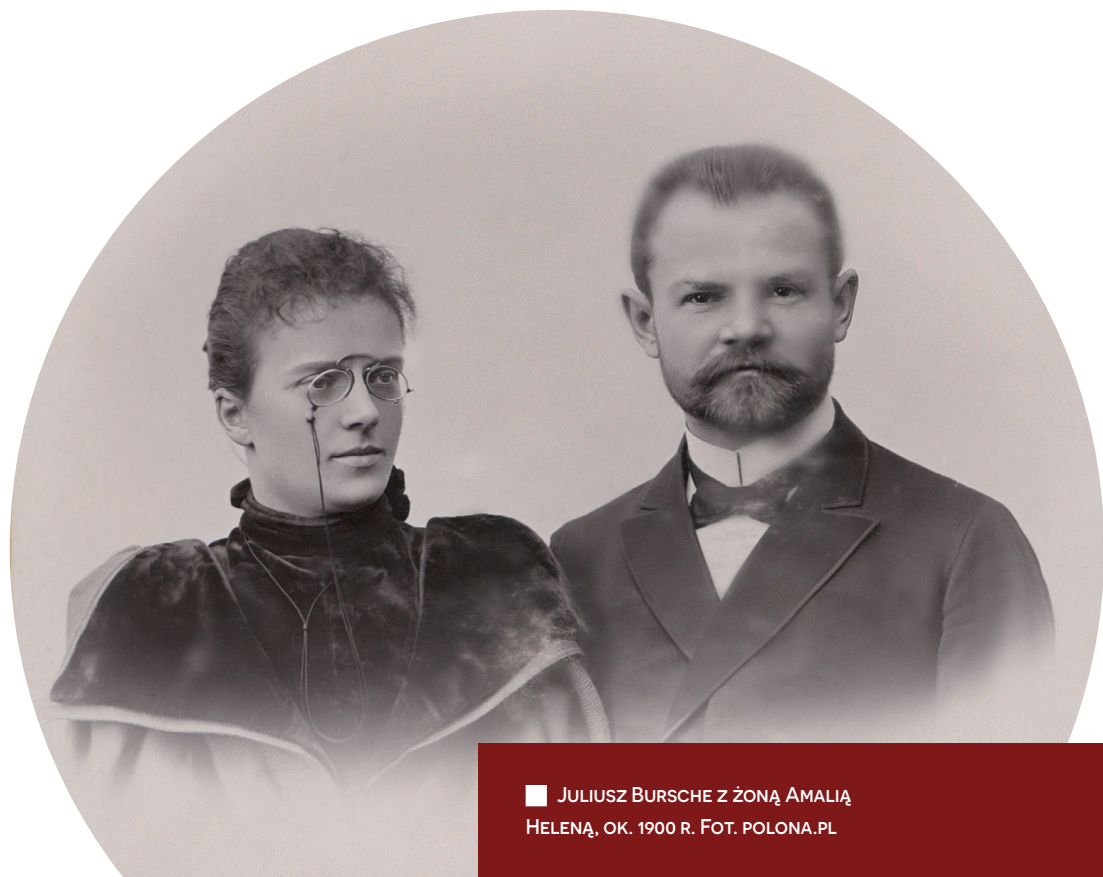
PIERWSZY PASTOR

Po ukończeniu studiów Bursche odbył 10-miesięczny wikariat w warszawskiej parafii Świętej Trójcy, a 6 września 1885 r. został proboszczem parafii w Wiskitkach k. Żyrardowa. Jesienią 1885 r. zawarł ślub z Amalią Heleną z domu Krusche, siostrą kolegi z okresu studiów w Dorpacie. W Wiskitkach przyszły na świat ich dzieci: Helena i Stefan. W 1888 r. przenieśli się do Warszawy, gdzie Juliusz objął etat drugiego pastora. Tam urodziły się: Maria, Julia i Aniela. W 1898 r. Bursche został pierwszym pastorem parafii ewangelickiej i wtedy też wznowił wydawanie „Zwiastuna Ewangelicznego”, którego został redaktorem naczelnym. Jego staraniem w latach 1903–1905 wyszedł w języku polskim dwutomowy *Zarys dziejów powstania i upadku reformacji w Polsce* autorstwa hr. Walerego Krasińskiego. W 1910 r. nastąpiło otwarcie luterkańskiego Gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie.

W 1904 r. Juliusz Bursche został generalnym superintendentem Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Królestwie Polskim. Był zwolennikiem podtrzymywania kontaktów z polskimi środowiskami ewangelickimi z innych zaborów, a to oznaczało otwarcie się na język i kulturę polską. Spotykało się to z oporami tych kręgów wyznawców, którzy chcieli, aby Kościół ewangelicko-augsburski – za cenę izolacji – był narzędziem podtrzymywania języka niemieckiego. Efektem dyskusji stało się przyjęcie podczas synodu pastorów w październiku 1905 r. uchwały wprowadzającej narodowościowe równouprawnienie: „Synod (pastorów) stoi na stanowisku *suum cuique*: Żyd dla Żydów, Grek dla Greków. Pastor powinien stać ponad narodowościami; nie jest on politykiem, lecz duszpasterzem. Zadaniem jego nie jest ani germanizacja, ani polonizacja, lecz wierne głoszenie Ewangelii, przy czym w miarę możliwości musi okazać się sprawiedliwym wobec każdej narodowości”⁶. Temu przesłaniu Bursche był wierny przez wszystkie lata swego życia.

W 1902 r. kupił dom w Wiśle na Śląsku Cieszyńskim, gdzie każdego roku od początku lipca do początku września spędzał z rodziną wakacje. Wybuch I wojny światowej zastał ich właśnie w Wiśle, czyli na terenie Austro-Węgier, które znalazły się w stanie wojny z Rosją. Powrót do Warszawy zajął im kilka miesięcy. Juliusz

⁶ Cyt. za: B. Krebs, *Państwo, Naród, Kościół. Biskup Juliusz Bursche a spory o protestantyzm w Polsce w latach 1917–1939*, Bielsko-Biała 1998, s. 21.



■ JULIUSZ BURSCHĘ Z ŻONĄ AMALIĄ
HELENĄ, OK. 1900 R. FOT. POLONA.PL

wracał przez Budapeszt, Bukareszt i Odesę i dotarł w październiku 1914 r., jego żona Amalia Helena w listopadzie.

Po wybuchu wojny polityka władz rosyjskich wobec mniejszości niemieckiej zmieniła się radykalnie: uznawani za potencjalnych szpiegów i dywersantów Niemcy byli wysiedlani w głąb Rosji, a ich majątki konfiskowano. Prześladowania objęły również Polaków wyznania ewangelickiego. Bursche organizował pomoc dla ewangelików obu narodowości, a w marcu 1915 r. wysłał do cara specjalny memoriał. Nie otrzymał odpowiedzi, za to w czerwcu 1915 r. został zdjęty z funkcji i deportowany z rodziną w głąb Rosji.

W lipcu 1917 r. udało mu się dotrzeć do neutralnej Szwecji, gdzie oczekiwał na zezwolenie władz niemieckich na powrót do Kongresówki. Jednak generał-gubernator Hans von Beseler zwlekał z udzieleniem zgody, gdyż chciał niemieckim wyznawcom i pastorom zagwarantować przewagę w Kościele. Ostatecznie zezwolono Burschemu na przyjazd w lutym 1918 r.

W NIEPODLEGŁEJ

W niepodległym państwie bp Bursche działał na rzecz przyłączenia do Polski obszarów zamieszkałych przez polskich ewangelików; starał się o uporządkowanie struktury organizacyjnej kościołów ewangelickich, zwalczał antypolską działalność Ewangelickiego Kościoła Unijnego na arenie międzynarodowej. Prowadził działania w kwestii regulacji statusu prawnego Kościoła ewangelicko-augsburskiego i walczył z wpływami ideologii narodowosocjalistycznej wśród niemieckiej części duchowieństwa luterńskiego.

W listopadzie 1918 r. Bursche nawiązał współpracę z przedstawicielami Kościoła ewangelicko-reformowanego, tworząc komisję, która miała przygotować materiały na zbliżającą się konferencję w Wersalu o położeniu polskich ewangelików na Mazurach (Mazowszu Pruskim) i Górnym Śląsku. Pod koniec listopada 1918 r. odbyło się pierwsze publiczne zebranie komisji, w którym wziął udział Wojciech Korfanty. Uchwalono wówczas rezolucję, w której domagano się przyłączenia do Polski bez plebiscytu Mazur, Górnego Śląska i Śląska Cieszyńskiego. Pod koniec stycznia kierowany przez Romana Dmowskiego Komitet Narodowy Polski zaprosił Burschego do udziału w konferencji w Paryżu. Po spotkaniu z Józefem Piłsudskim i Ignacym Paderewskim Bursche wraz z prof. Józefem Buzkiem i Wawrzyńcem Puttkamerem udał się 5 lutego do Paryża, gdzie przebywał do 11 marca 1919 r. Tam rozmawiał z członkami delegacji Francji, USA i Wielkiej Brytanii, przekazując przygotowane dokumenty i przekonując o potrzebie włączenia w obręb państwa polskiego spornych terenów. Jednak rozstrzygnięcia konferencji wersalskiej w kwestii zachodniej granicy nie były dla Polski korzystne – przyłączono Wielkopolskę i Pomorze (bez Gdańska), a przynależność Mazowsza Pruskiego oraz Górnego Śląska miała zostać przegłosowana w plebiscycie.

Bursche zaangażował się przede wszystkim w plebiscyt na Mazurach. Już w kwietniu 1919 r. konsystorz Kościoła ewangelicko-augsburskiego wydał *Odezwę do Braci Mazurów* i założył Zrzeszenie Plebiscytowe Ewangelików Polaków, które prowadziło agitację na rzecz głosowania za przynależnością do państwa polskiego. Plebiscyt odbył się 11 lipca 1920 r., w trakcie trwania ofensywy bolszewickiej, i przyniósł niekorzystne dla Polski rozwiązania.

18 listopada 1918 r. Bursche napisał list do ks. Franciszka Michejdy, zwierzchnika Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego na Śląsku Cieszyńskim zawierający

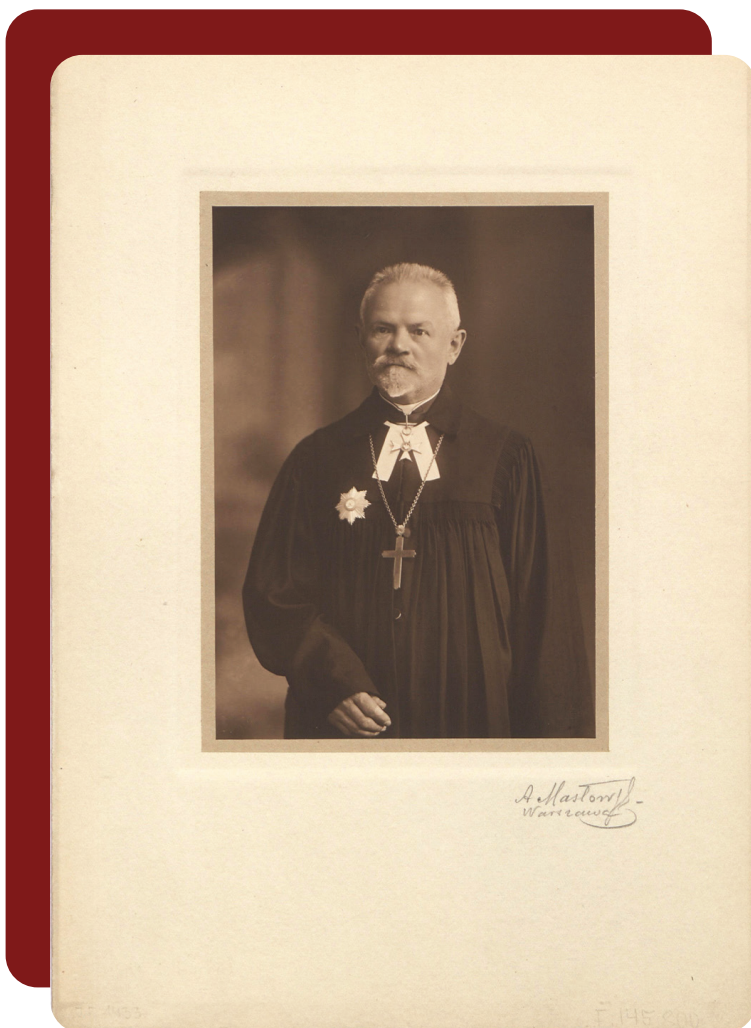
propozycję połączenia obu kościołów: „Mamy tu w Kongresówce inteligencję polsko-ewangelicką, ale brakowało nam ludu polsko-ewangelickiego, a ten teraz do nas przybywa i z nami się ma złączyć”⁷.

W grudniu 1918 r. Bursche za aprobatą rządu polskiego udał się na Śląsk Cieszyński, pomagając w ukonstytuowaniu się diecezji śląskiej Kościoła. W okresie międzywojennym do Kościoła ewangelicko-augsburskiego przystąpiło kilka zborów z Ewangelickiego Kościoła Augsburskiego i Helweckiego Wyznania działającego w byłym zaborze austriackim. Kościół kierowany przez Burschego objął również swoją jurysdykcją zbory ewangelickie działające na terenie tzw. Ziem Zabrzanych, które przed 1917 r. należały do konsystorza Cesarstwa Rosyjskiego. Wśród ewangelików dominowali Niemcy – ok. 70 proc., Polacy 25 proc., a przedstawiciele innych narodowości stanowili 5 proc. W latach 1918–1939 na terenie państwa polskiego działało 7 kościołów ewangelickich: Kościół Ewangelicko-Augsburski, Kościół Ewangelicko-Reformowany (tzw. Jednota Warszawska) i Wileński Kościół Ewangelicko-Reformowany (tzw. Jednota Wileńska), Ewangelicki Kościół Unijny, Ewangelicki Kościół Unijny na Górnym Śląsku, Kościół Ewangelicko-Luterański (staroluterański) oraz Ewangelicki Kościół Augsburskiego i Helweckiego Wyznania.

Przez cały okres międzywojenny Bursche zmagał się z antypolską propagandą Ewangelickiego Kościoła Unijnego, który miał ok. 300 tys. wyznawców w przeważającej mierze pochodzenia niemieckiego. Kościół ten pod nazwą Ewangelickiego Kościoła Unii Staropruskiej (alternatywna nazwa: Ewangelicki Kościół Unijny) został założony w 1817 r. przez cesarza Prus Fryderyka Wilhelma III, który z okazji okrągłej rocznicy reformacji połączył kościoły luterański i kalwiński. Głową Kościoła był tradycyjnie cesarz niemiecki. W odrodzonym państwie polskim Kościół ten stracił swój uprzywilejowany status, a część Niemców zajmujących stanowiska urzędnicze w administracji pruskiego państwa wyjechała z Polski. Zmienioną sytuację międzynarodową i wewnętrzną władze Kościoła Unijnego postrzegały jako dyskryminację ze strony państwa polskiego.

Władze Kościoła chciały nadal podtrzymywać podległość organizacyjną od Naczelnej Rady Kościoła w Berlinie, powołując się na zasadę, że „granice państwowe

⁷ E. Alabrudzińska, *Juliusz Bursche (1862–1942) – zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego...*, s. 70.



■ JULIUSZ BURSCH, 1920 R. FOT. POLONA.PL

nie są granicami kościelnymi”. Sprzeciw Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego był pretekstem do oskarżania państwa polskiego na forum międzynarodowym o nietolerancję i dyskryminację. Z tymi oskarżeniami – stając w obronie polityki wyznaniowej państwa polskiego, z którą zresztą nie do końca się utożsamiał – wielokrotnie musiał się mierzyć bp Bursche.

Pomimo okazywanej lojalności wobec Polski i osobistej znajomości z Piłsudskim uregulowanie statusu prawnego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego zajęło Burschemu kilkanaście lat. Wpłynęło na to kilka kwestii. Pierwszą był zakres ustawy:



■ JULIUSZ BURSCH, 1930 R.
FOT. NAC

czy regulować miała ona relacje: państwo – wszystkie kościoły reformowane, czy też jedynie status Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Gdy nie udało mu się osiągnąć konsensusu w łonie polskich kościołów reformowanych, obradujący na przełomie lat 1922 i 1923 synod Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, po licznych dyskusjach i wewnętrznych kontrowersjach, opracował własny projekt ustawy regulującej stosunki z państwem. Został on natychmiast przekazany Ministerstwu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Wtedy na pracach legislacyjnych zaważył kolejny czynnik – bierność urzędników ministerialnych. Zmieniło się to w 1929 r., i w nowych, po zamachu majowym, warunkach poli-

tycznych ministerstwo przystąpiło do prac legislacyjnych. Jednak zamiast pracować nad zgłoszonym 6 lat wcześniej projektem ustawy, urzędnicy rozpoczęli od pisania własnych projektów, przekazując je w trybie poufnym Burschemu do konsultacji. Informacje o poufnych spotkaniach przeciekły do prasy i Bursche musiał się mierzyć z krytyką wewnątrz Kościoła i wewnętrzną opozycją – finansowaną przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy Wspólnotą Roboczą Pastorów Niemieckich. Prowadziła ona ostrą kampanię przeciwko Burschemu i przygotowywanej ustawie. Wreszcie *Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 25 listopada 1936 r. o stosunku Państwa do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Rzeczypospolitej Polskiej*, zaakceptowany przez czynniki kościelne, został podpisany.



■ JUBILEUSZ 25-LECIA URZĘDOWANIA JULIUSZA BURSCHEGO (DRUGI Z LEWEJ) NA STANOWISKU SUPERINTENDENTA KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO, 1930 R. FOT. NAC



■ POSIEDZENIE PAŃSTWOWEJ RADY OŚWIECENIA PUBLICZNEGO W WARSZAWIE;
OD LEWEJ: METROPOLITA KOŚCIOŁA PRAWOSŁAWNEGO W POLSCE DIONIZY WAŁEYŃSKI
I JULIUSZ BURSCHE, 1937 R. FOT. NAC



MONETA Z WIZERUNKIEM JULIUSZA BURSCHEGO.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

SPRZECIW WOBEC NAZIZMU

W latach 30. XX w. nowym zjawiskiem była ideologia narodowosocjalistyczna, która upowszechniała się wśród części pastorów (wyraźnej mniejszości) pochodzenia niemieckiego. Po zdobyciu władzy przez Adolfa Hitlera w Niemczech powstał ruch Niemieckich Chrześcijan, który głosił zasadę przywództwa, a z biblijnego kanonu wykreślił księgi Starego Testamentu. W Polsce rozsądnikiem narodowosocjalistycznej ideologii były Partia Młodoniemiecka (Jungdeutsche Partei) i Wspólnota Biblijna (Biblische Arbeitsgemeinschaft) działająca głównie w łonie Ewangelickiego Kościoła Unii Staropruskiej. Oblicza się, że w kręgu oddziaływania narodowego socjalizmu znajdowało się 20–30 pastorów tej denominacji. Narodowy socjalizm przenikał również do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, wywołując zdecydowany sprzeciw bp. Burschego, który np. odmówił ordynacji 2 absolwentom seminarium. Ponadto w wydawanym przez Kościół „Zwiastunie Ewangelicznym” ukazywały się artykuły krytykujące ruch i idee narodowego socjalizmu.

W warunkach zagrożenia niemiecką agresją 30 sierpnia 1939 r. bp Bursche wydał orędzie *Do ewangelików w Polsce*, w którym deklarował: „My, Polacy ewangelicy, którzy jesteśmy integralną częstką Narodu polskiego, którzy z nim żyjemy i z nim czujemy – nas nie potrzeba nawet wzywać, abyśmy w dziejowej tej chwili złożyli ofiarę mienia i krwi na ołtarzu dobra Ojczyzny. Żadne ofiary nie będą nam zbyt wielkie, aby dać odpór mocy, która urągać chce majestatowi Rzeczypospolitej”⁸.

⁸ *Do ewangelików w Polsce. Orędzie biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego Juliusza Burschego*, [w:] Juliusz Bursche – myśl, działalność i dziedzictwo..., s. 126.

Po napaści Niemiec władze złożyły Burschemu propozycję ewakuacji. Początkowo odmówił, lecz za namową żony zdecydował się 6 września 1939 r. wyjechać z Warszawy. Udał się do Lublina. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Lublina pozostał w mieście, opiekując się pozostawionym przez tamtejszego pastora zborem. 3 października 1939 r. został aresztowany na plebanii w Lublinie. Po krótkim pobycie w więzieniu w Radomiu, w połowie października, przewieziono go do siedziby gestapo w Berlinie, gdzie został poddany przesłuchaniom.

Represje niemieckie dotknęły pozostałych członków rodziny. Brat Juliusza – prof. Edmund Bursche, pierwszy dziekan Wydziału Teologii Ewangelickiej UW, został uwięziony na Pawiaku. Byli więźniowie wspominali, że pewnego razu Pawiak wizytował Heinrich Himmler, który zatrzymał się przy Edmundzie i powiedział: „jesteś zdrajcą swojego narodu!”. Na to Edmund odrzekł „nigdy nie byłem i nie będę zdrajcą swojego narodu”. Po powrocie do biura Himmler zażądał jego dokumentacji i na teczce napisał „tę rodzinę należy wyniszczyć”⁹. Według Tadeusza Wegenera Niemcy represjonowali 14 osób spośród najbliższej rodziny Burschego. W lutym 1940 r. gestapo rozstrzelało syna Juliusza – Stefana Burschego. Dwaj bracia Juliusza: wspomniany już Edmund Bursche i adwokat Alfred Bursche, zginęli w obozach koncentracyjnych; obozy przeżyli szczęśliwie: najmłodszy brat Teodor (architekt) oraz jego wnuk – ks. Henryk Wegener-Wojnowski.

Sam bp Juliusz Bursche pod koniec stycznia 1940 r. został przeniesiony do KZ Sachsenhausen w Oranienburgu. Zmarł 20 lutego 1942 r. w szpitalu policyjnym w Berlinie. Miejsce jego pochówku jest do dzisiaj nieznane.

W lutym 2022 r. Instytut Pamięci Narodowej otworzył w Lublinie poświęconą biskupowi wystawę autorstwa Renaty Lesiakowskiej. Bursche jest patronem ulic w Kaliszu, Wiśle, Tychach i Warszawie. Jego pomniki stoją w Wiśle i na cmentarzu ewangelicko-augsburskim w Warszawie. W 2018 r. prezydent RP Andrzej Duda przyznał Burschemu Order Orła Białego. Odznaczenie odebrali jego krewni. 23 października 2017 r. Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu srebrną monetę o nominale 20 zł „Pięć wieków Reformacji w Polsce” z wizerunkiem Juliusza Burschego.

⁹ J. Gardawski, *Biskup Bursche a niepodległość Polski*, [w:] *O niepodległości ekumenicznie. Wyznawcy różnych kościołów dla Rzeczypospolitej (1918–1939)*, red. S. Bober, S.J. Żurek, Lublin 2018, s. 132, T. Wegener, *Juliusz Bursche biskup w dobie przełomów*, Bielsko-Biała 2003, s. 104.



■ WNETRZE KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO ŚWIĘTEJ TRÓJCY W WARSZAWIE.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

W 1991 r. papież Jan Paweł II, odwiedzając kościół Świętej Trójcy w Warszawie, powiedział: „Miejsce naszego dzisiejszego spotkania posiada głęboką wymowę. Ta luterńska świątynia dzieliła los innych kościołów Warszawy w roku 1939 i 1944. Okupanci nie traktowali jej lepiej dlatego, że była luterńska. Tutaj pracował od roku 1898 jako proboszcz ks. Juliusz Bursche, późniejszy biskup i zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce. Ten wielki chrześcijanin i wielki polski patriota wolał życie oddać w niemieckim więzieniu, niż wyrzec się polskości. Tak bp Bursche swoim życiem i swoją śmiercią zaprzeczył niejako rozpowszechnionemu przekonaniu, że luteranin to Niemiec, a Polak to katolik”¹⁰.

¹⁰ Wypowiedź Jana Pawła II z dnia 9 czerwca 1991 w kościele Świętej Trójcy w Warszawie, cyt. za T. Wegener, *Juliusz Bursche biskup w dobie przełomów*, Bielsko-Biała 2003, s. 132.



Krzysztof Brzechczyn (ur. 1963) – historyk i filozof, prof. dr hab. Pracownik Uniwersytetu Adama Mickiewicza i Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Poznaniu. Autor książek: *Odrębność historyczna Europy Środkowej. Studium metodologiczne* (1998); *Kłopoty z Polską. Wybór publicystyki politycznej* (1998); *O ewolucji solidarnościowej myśli społeczno-politycznej w latach 1980–1981. Studium z filozofii społecznej* (2013); *Umysł solidarnościowy. Geneza i ewolucja solidarnościowej myśli społeczno-politycznej w latach 1980–1989* (2022) i in.



■ HANNA CHRZANOWSKA.
FOT. ARCHIWUM ARCHIDIECEZJI
KRAKOWSKIEJ

ANNA ZECHENTER

„MIAŁA SERCE WROŚNIĘTE W LUDZI”

HANNA CHRZANOWSKA (1902–1973)

Szła w trudnych peerelowskich czasach ku dotkniętym niemocą fizyczną i psychiczną, gnieźdzącym się w nieludzkich warunkach po suterrenach, poddaszach, strychach; wkraczała w smród, brud, beznadzieję, nieład. Stawiała czoło tej rzeczywistości z miłosierdziem, ale i z humorem, niosąc obolałym ciałom ulgę, a duszom – śmiech, radość i przyjaźń. Błogosławiona Hanna Chrzanowska objęła obłożnie chorych parafialną opieką domową – poza systemem państwowym.

P

otomkini dwóch zasłużonych i zacnych rodów – po matce Szlenkierów, a po ojcu Chrzanowskich – urodzona w 1902 r. w Warszawie, zanotowała w powojennym pamiętniku: „Powinnam napisać studium o filantropii. Patrzyłam na nią, odkąd pamiętam, na jej wszystkie blaski – nie widząc. Na szlachetność serc [...]. Ale cóż to jest »szlachetność«? Słowo szerokie, niebezpieczne swą szerokością, dość obszerne dla pomieszczenia wielu małości, jeśli nie kilku przynajmniej grzechów głównych...”

Rozliczała się zatem z ową filantropią, która była w jej życiu od dziecka wszechobecna: „Nigdy nie słyszałam – ja, która wzrosłam w atmosferze dobroczynności i dobroci, że się ją pełni dla miłości Boga i z miłości Boga. Nigdy nie powiedziano mi, że mam być dobra z powodu Boga i dla Boga”. Z każdego wersu jej pamiętnika bije jednak czułość dla bliskich, szacunek dla ich starań, zrozumienie pobudek przedwojennej inteligencji i przedsiębiorców przenikniętych pozytywnym duchem społecznym.

ROZTERKI I WĄTPLIWOŚCI

Karol Szlenkier, dziadek Hanny ze strony matki Wandy, to jeden z najzamożniejszych i najbardziej przedsiębiorczych obywateli stolicy, „jak na polskie stosunki – potentat”, właściciel zakładów garbarskich i rodzinnej siedziby (pałacu zbudowanego przy pl. Jana Henryka Dąbrowskiego). Zorganizował dla swoich robotników system ubezpieczeń na starość, kasę chorych, trzyklasową szkołę dla ich dzieci, a w testamencie zostawił pół miliona rubli (250 tys. ówczesnych dolarów) na cele społeczne.

Ale Hannę zdumiewał rozmach pałacu Szlenkierów: „Ach, ten pokój stołowy, olbrzymi obliczony (jak i pięciookienny salon) na przyjęcia, o których tylko słyszałam [...]. Po co tyle miejsca dla kilku stałych mieszkańców w tych dwunastu pokojach i różnych przyległościach...”

„Moja Babka o sercu tak czułym dla dzieci, o nerwach cieńszych niż listki mimozy, czy mogła nie odczuwać boleśnie kontrastu między swoimi pałacowymi pokojami a piwnicami, do których posyłała do »biednych« swoje córki?” – pytała. Ale Maria Szlenkierowa słała córki też do warszawskiego ambulatorium panny Julii Aleksandrowiczówny, gdzie matka Hanny, opatrując chorą na raka, „zapychała sobie nos watą, aby znieść odór jej ran”.



■ PAŁAC SZLENKIERÓW W WARSZAWIE; DZIŚ SIEDZIBA AMBASADY WŁOSKIEJ.
FOT. ADRIAN GRYCUK / WIKIMEDIA COMMONS

Gdy zabrakło dziadków, ciotka Zofia Szlenkierówna poświęciła cały majątek po nich na budowę jednego z najnowocześniejszych w Europie szpitali dla dzieci – im. Karola i Marii, który przekazała miastu w 1913 r. I znów w notatkach Hanny pojawia się wątpliwość: „Na tym szpitalu widniała tablica pamiątkowa [poświęcona patronom placówki], też przez Ciotkę umieszczona, która raziła potem moje pielęgniarские serce”.

Mniej rozterek budziły w jej sercu obyczaje dworu rodzinnego Chrzanowskich herbu Korab w Stoku, w dzisiejszym powiecie radzyńskim, gdzie na świat przyszedł jej ojciec Ignacy, wybitny historyk literatury polskiej, spokrewniony przez matkę Helenę Dmochowską herbu Pobóg z Joachimem Lelewelem i Henrykiem Sienkiewiczem: „Moi wiejscy Dziadkowie, którzy z trudem mogli zdobyć się na wykształcenie swych czterech synów [...], wybudowali obszerne, widne czworaki. A tynk całymi płatami odpadał z murów ich własnego domu, który wydał mi się kiedyś aż żenująco obszarpany”. Obie rodziny, Szlenkierów i Chrzanowskich, „miały, każda na swój sposób, bardzo wysoki zmysł społeczny” – podkreślała.

„WIĘCEJ ŚMIERCI NIE PAMIĘTAM”

Po dzieciństwie spędzonym między warszawskim pałacem Szlenkierów a dworem Chrzanowskich nastały dla Hanny lata krakowskie, bowiem ojciec objął w 1910 r. Katedrę Historii Literatury na Uniwersytecie Jagiellońskim. Gdy miała 13 lat, posłano ją do Prywatnego Żeńskiego Gimnazjum Realnego Sióstr Urszulanek, choć – jak pisała o swoich rodzicach: „oboje byli niewierzący – i moja matka (w paszporcie wyznania ewangelicko-augsburskiego), długie lata w mękach ateistycznego pesymizmu, i mój ojciec (w paszporcie rzymski katolik), pozytywny wówczas liberał co się zowie!”.

Najbliższe otoczenie nie sprzyjało jej religijnemu rozwojowi. „Ojciec nie chciał mi być dobrą dla Boga i przez Boga, [...] był fanatykiem obowiązku, przede wszystkim – patriotycznego” – wspominała. Porozumienie między profesorem a dwójką jego dzieci, Hanną i starszym od niej o 2 lata Bogdanem, rozkwitło w świecie jemu bliskim – utworów literackich. Z *Historii literatury niepodległej Polski* Ignacego Chrzanowskiego uczyli się najpierw gimnazjaliści, a gdy rozszerzył swoją pracę – także studenci, i to jeszcze w PRL.

Jesienią 1920 r., a więc już po wojnie polsko-bolszewickiej, zgłosiła się po przyspieszonym kursie pielęgniarstwa do opieki nad rannymi żołnierzami w Klinice Chirurgicznej przy ul. Kopernika. Z wcześniejszych nauk w głowie pozostała jej zasada: „odleżyna to hańba dla pielęgniarki”.

„Od razu weszłam w śmierć – podsumowała ten czas. – Ostatnie tchnienie wydał młodziutki bolszewik [...]. Milczałam zakrzepła z przerażenia. W tym samym szeregu zmarł kilka dni potem drugi młody bolszewik, z potworną odleżyną na pośladku, ze zmiażdżoną nogą – w tej ranie kłębiło się białe robactwo. Cierpiał okropnie i wołał: »siostrzo!« głosem, który słyszę po dziś dzień. Więcej śmierci nie pamiętam”.

„TO JUŻ CHRZANOWSCY TAK NISKO PODUPADLI...”

Na własną drogę weszła już u progu dorosłości – wszak od zawsze chciała zostać pielęgniarką (a nie lekarką!), zaraziwszy się bakcylem od ciotki Szlenkierówny.

Wprawdzie jeszcze w 1920 r. zaczęła studia polonistyczne – na jakież inne mogła się zdecydować córka prof. Chrzanowskiego – ale nie zawahała się, gdy w 1922 r. dobiegła ją wieść o otwarciu Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa. Rodzi-

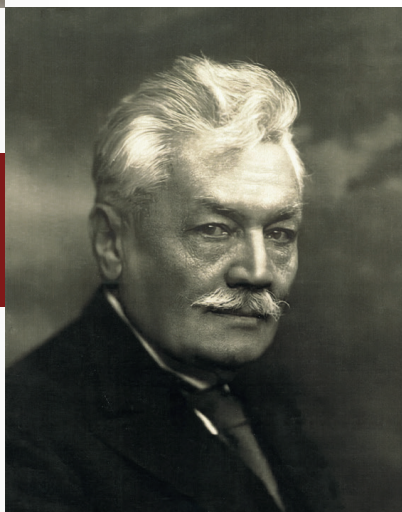


■ ZOFIA SZLENKIERÓWNA Z PIERWSZĄ PACJENTKĄ – MAŁĄ
ZOSIĄ. FOT. KATOLICKIE STOWARZYSZENIE PIELĘGNIAREK
I POŁOŻNYCH POLSKICH – ODDZIAŁ W KRAKOWIE



■ BOGDAN CHRZANOWSKI,
GRODNO, 1927 R.
FOT. KSPIPP – ODDZIAŁ W KRAKOWIE

■ PROF. IGNACY CHRZANOWSKI.
FOT. KSPIPP – ODDZIAŁ W KRAKOWIE



na przyjęła jej decyzję z aprobatą, tylko krakowskie otoczenie reagowało zgorszeniem. „To już Chrzanowscy tak nisko podupadli, że córkę dają na pielęgniarkę?”.

Czas nauki zawodu wspominała dobrze, choć męczył ją surowy, bez mała klasztorny regulamin. Szkolono dziewczęta na fachowe, sumienne pielęgniarki. Celebrowano wszystkie zabiegi: „Do mycia głowy w łóżku musiały służyć baterie dzbanuszków, ceratek, poduszek. Gubiłam się” – notowała. Adeptki wysłuchiwały pouczeń, które brzmiały jak dziesięć przykazań: pielęgniarka się poświęca; pielęgniarka ma się oddać pacjentowi bez zastrzeżeń na każde jego żądanie; pielęgniarka jest uprzejma; pielęgniarka rano mówi chorym „dzień dobry”...

Na praktyki szpitalne dziewczęta wyruszały w wykrochmalonych mundurkach i czepkach, z „koszyczkami toaletowymi” w dłoniach. Lękiem napawały Hannę drobne procedury opieki nad pacjentami: mycie, karmienie, ścielenie łóżek, podawanie basenów – wszystko według szczegółowych zasad. Jakże różniła się ta praca od tej, której poświęciła się później w biednym komunistycznym kraju – w zapuszczonych domach, bez niezbędnych środków, kiedy tylko własna pomysłowość pozwalała zaspokoić potrzeby leżących od lat obłożnie chorych.

Później pisała: „Choć w tej mojej prądawnej szkole uczono nas zaparcia się siebie, ofiarności bez zastrzeżeń, choć na naszej szkolnej broszce [...] widniało słowo »służba« – jakże daleko, będąc tak blisko człowieka, któremu służyłam, byłam od ducha służby ewangelicznej. Ani mi nie mignęła myśl o służbie Bogu, dalekie mi było, nieznane pojęcie o życiu na chwałę Bożą, dalekie na długie lata”.

OWOCOWANIE I KATAKLIZM

Po szkole było wymarzone i wyczekane roczne stypendium Fundacji Rockefellera we Francji („Runęło na mnie piękno Paryża”) oraz Belgii, później zajęcie w charakterze instruktorki w Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie, kierowanie wraz z przyjaciółką Marią Starowieyską miesięcznikiem „Pielęgniarka Polska”, w którym opublikowała ponad 60 artykułów, redakcja z Teresą Kulczyńską wielokrotnie wznawianej – także na uchodźstwie podczas wojny – książki *Zabiegi pielęgniarskie*, współtworzenie Polskiego Stowarzyszenia Pielęgniarek Zawodowych, udział w opracowaniu „Ustawy o pielęgniarstwie” przyjętej przez Sejm w 1935 r. oraz pomoc ciotce Zofii Szlenkierównie w prowadzeniu warszawskiego szpitala.

Skupione wokół wszystkich tych obowiązków życie Hanny przerwał katylnizm roku 1939. Zdążyła jeszcze przed wybuchem wojny wyjechać z ojcem w niezapomnianą podróż do Włoch.

Skończyła 37. rok życia, gdy na Warszawę spadły niemieckie bomby. Lata 1939 i 1940 przyniosły rodzinie Chrzanowskich hekatombę. Jako pierwszy z bliskich Hanny zginął podczas obrony stolicy brat stryjeczny Andrzej Chrzanowski; ciężko ranna w nalocie ciotka Zofia Szlenkierówna zmarła w październiku; na początku 1940 r. odszedł w KL Sachsenhausen jej ojciec aresztowany podczas Sonderaktion Krakau; w tym samym roku w kwietniu Sowietci rozstrzelali w Katyńiu jej brata Bogdana, doktora filozofii i nauczyciela gimnazjalnego, a w obozie przesiedleńczym w Łodzi umarła siostra matki Maria z synową i wnuczką. Gdzieś w sowieckich bezkresach przepadł na zawsze jej drugi kuzyn, syn Marii, Jan Wyżga.

POLSKI LOS POD NIEMIECKIMI RZĄDAMI

Wróciła jesienią 1939 r. do Krakowa i zamieszkała z matką u znajomych, bo Niemcy wyrzucili Chrzanowskie z domu profesorskiego. W koszarach przy ul. Wrocławskiej, gdzie więziono aresztowanych uczonych, widziała ojca po raz ostatni 7 listopada.

Aby zobaczyć jego ciało, pojechały – wdowa i córka – za zgodą gestapo w styczniu 1940 r., do KL Sachsenhausen. Mróz panował straszny. Matka Hanny wspominała: „Nic Ignas nie był zmieniony przez to, że widziałam go na szósty dzień po śmierci, ale widać było na tej biednej twarzy wszystko, co przeszedł i cierpiał. Nie płakałam ani ja, ani Hania [...]. Poglaskałam po zmarszczonych rękach. Hania je gładzi: »Tatusiu, Tatusiu...«”. Zachowały się świadectwa, że przed śmiercią prof. Chrzanowski prosił o księdza, że chciał się pojednać z Bogiem.

Po powrocie Hannę porwał pęd pracy: pomagała wygnanym przez Niemców do Generalnego Gubernatorstwa z ziem włączonych do Rzeszy oraz uciekinierom i osieroconym dzieciom, a po upadku Powstania Warszawskiego – bezdomnym, którzy przyjeżdżali falami z miasta obróconego w ruiny. Najpierw działała w Obywatelskim Komitecie Pomocy założonym z inicjatywy abp. Adama Stefana Sapiehy, a od wiosny 1940 r. w organizacjach podległych Radzie Głównej Opiekuńczej: Radzie Opiekuńczej Miejskiej przekształconej w 1941 r. w Polski Komitet Opiekuńczy Kraków-Miasto.

Pracowała jako zastępczyni Marii Starowieyskiej, przyjaciółki z dawnych czasów, szefowej działu Opieka nad Przesiedlonymi i Uchodźcami. Prowadziła ewidencję wygnanych i szukała dla nich mieszkań. Dbała o to, by sieroty trafiały do dobrych rodzin, ratowała dzieci żydowskie, organizowała dożywianie i letnie kolonie w zaprzyjaźnionych dworach. Kierowała siecią ok. 300 przeszkolonych przez nią ochotniczek. Pieniądze, które dał jej ojciec przed aresztowaniem, przekazała do wspólnej kasy.

Dla dobra całego przedsięwzięcia nie weszła do struktur podziemnych, bowiem zaangażowana w nie była już Starowieyska, członek ścisłego sztabu dowódcy krakowskiego Okręgu AK. Po jej aresztowaniu w listopadzie 1944 r. Chrzanowska przejęła wszystkie obowiązki. Wiosną 1945 r. doszła do nich organizacja pomocy wracającym z Rzeszy robotnikom przymusowym.

Lata okupacji niemieckiej Hanna przeżyła intensywnie, ale nie pozostawiła po nich żadnych świadectw. Jej doświadczenie tamtych ciemnych czasów rozświeślały coraz głębsza wiara, modlitwa i Eucharystia. Wtedy zapewne formować zaczęła się w niej idea ewangelicznej służby bliźniemu.

„LEKARZE NIE ROZUMIELI”

Już w kwietniu 1945 r. zgłosiła się do pracy w reaktywowanej Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarek i Higienistek (później 3-letniej Szkole Pielęgniarsko-Położniczej) pod dyktando Anny Rydlówny, siostry poety, Lucjana. Dostała pełną swobodę „w organizowaniu działu szkolenia z pielęgniarstwa, przed wojną zwanego »społecznym«, a po wojnie »otwartym« w odróżnieniu od pielęgniarstwa w szpitalach i innych tzw. zakładach zamkniętych” – notowała w pamiętniku. Letni pobyt w 1946 r. na stypendium UNRRA w Nowym Jorku utwierdził ją w przekonaniu, że jej powołaniem jest pielęgniarstwo domowe – i z właściwą sobie energią zabrała się do jego organizowania.

A była to orka na ugorze. „Lekarze nie rozumieli, o co nam chodzi – wspominała. – Kierowali nas do środowisk bardzo ubogich albo bardzo brudnych, nie umiejąc długo wychwytywać chorych chronicznie – wymagających pielęgnowania”.

Rozpowszechniała swoją ideę, podróżując po Polsce jako wykładowca metodyki pielęgniarstwa domowego w Szkole Instruktoerek Pielęgniarstwa w Warszawie i wicedyrektorka Państwowej Szkoły Pielęgniarstwa w Krakowie. Opracowała i wydała

podręcznik *Pielęgniarstwo w otwartej opiece zdrowotnej*. Chodziła do domów ludzi obłożnie chorych ze studentkami: „Pamiętam taką stworę w płaszczu na nagim ciele wśród sterty śmieci, z nogami opuchniętymi jak konwie”; „Potworny przypadek przy ul. Topolowej. Brud, paraliż, płasawica, smród, głód. Z uczennicą moją [...] woziliśmy do niej zimą 1945/46 węgiel na saneczkach od Karmelitów Bosych”.

Od młodych kobiet wymagała wiele, przyzwyczajona do pracy w warunkach okupacyjnych, „w której nie liczyło się godzin, w której ciągle trzeba było przeskakiwać przegrody dla wyścigowców”.

„CZY NIE CZEKANO NA MNIE NA PRÓŻNO?”

Kładła nacisk nie tylko na opiekę higieniczną, ale i na zaspokojenie duchowych potrzeb podopiecznych. Dbała o formację religijną pielęgniarek, co musiało spotkać się z niechęcią „czynników politycznych”. Od 1955 r. organizowała rekolekcje i pielgrzymki na Jasną Górę. O ich terminie dowiadywały się uczestniczki w ostatniej chwili – dla bezpieczeństwa, żeby władze nie mogły im przeszkodzić. Niektóre tematy rekolekcji wymienia jej współpracownica Alina Rumun: „śmierć”, „cierpienie”, „sakrament chorych”, „pielęgniarstwo jako powołanie”, „człowiek »niepotrzebny«”, „wiera w życiu pielęgniarki”. Rozdawała opracowany przez siebie *Rachunek sumienia pielęgniarki* – nie kodeks etyczny, ale właśnie rachunek sumienia, zza którego stronic wygląda twarz przyszłej błogosławionej Kościoła katolickiego.

Punkt pierwszy i najważniejszy: „Jestem pielęgniarką. Jestem katoliczką. Czy mogę o sobie powiedzieć z czystym sumieniem: »jestem pielęgniarką katoliczką«?”. I dalej: „Moja praca to nie tylko zawód, ale powołanie. Powołanie to zrozumieć, jeśli przeniknę i przyswoję sobie słowa Chrystusa: »nie przyszedłem, aby mnie służyli, ale abym służył«”.

Nakaz pokory: „Dobro, które pełnię, jest tylko odbłaskiem dobroci Boga. Czy nie chwaliłam się moją pracą? Czy nie zachwycalam się sama sobą?”; „Czy nie pracuję dla efektu, dla pochwały, dla olśnienia otoczenia?”; „Czy nie obnosiłam się ze swoją żarliwością i pobożnością?”.

Obowiązkowa Msza św. w niedzielę i modlitwa codzienna („za chorych i wszystkich powierzonych mojej opiece”); punktualność, sumiennność, koleżeństwo, niezgoda na odejście od łóżka chorego („Czy nie brałam udziału w strajku, czy do niego nie namawiałam?”).

Miłość bliźniego: „Czy nie żywiłam pogardy dla »mętów społecznych«, alkoholików, chuliganów, prostytutek? Czy nie machnęłam ręką: »dla takich nie warto się męczyć«?”.

Sprawy ostateczne: „Czy zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby ciężko chory przyjął Sakramenty święte? Czy chrzciałam niemowlęta zagrożone śmiercią?”; „Jak traktuję sprawę życia nienarodzonych? Czy znam dokładnie stanowisko Kościoła, postępuję zgodnie z nim i w myśl jego udzielam wskazówek? Czy mam odwagę przekonań, odmawiając pomocy w śmiercionośnych zabiegach? [...] Czy nie wyśmiewałam rodzin wielodzietnych?”.

I wreszcie: „Czy nie czekano na mnie na próżno?”.

CHOĆBY WYRKO, ALE U SIEBIE

Służbę pielęgniarek domowych pojmowała z głęboką mądrością, wiedząc, że problemów ludzi obłożnie chorych nie rozwiąże przeniesienie ich do domów opieki,



■ HANNA CHRZANOWSKA Z ALINĄ RUMUN. FOT. KSPIPP – ODDZIAŁ
W KRAKOWIE

gdzie „będzie ciepło, czysto i syto». Ciepło będzie – przekonywała – tylko „pod własną pierzyną, pod ulubionymi kołderkami, szalikami, futerkami, które klnąc często w duchu, cierpliwie, systematycznie układają według zlecenia mąż, żona, córka lub pielęgniarz domowa. Co z tego, że będzie czysto, skoro nie będzie nad łóżkiem ulubionych obrazków ani starego kilimka z zatkniętymi palmami, ani starych gratów, tyle przypominających. »Syto« zapewne. W domu z tym gorzej i niekoniecznie dlatego, że nie ma co włożyć do garnka, tylko dlatego, że tego garnka godzinami nie ma kto podać».

Było to wówczas – a jest i dziś – niespotykane rzadkie zrozumienie dla potrzeb starego, schorowanego człowieka. Zapracowani bliscy, zmęczeni codzienną gonitwą, ufali, że w placówce opiekuńczej (by nie rzec, w domu starców) ich krewny otrzyma opiekę lepszą i bardziej godziwą niż ta, którą mogli mu zapewnić. Tymczasem Chrzanowska tłumaczyła: „Prawo człowieka do własnego kąta, tu – w świecie chorych – znajduje kategoryczne potwierdzenie. Kąt »mój«, nieograniczony tylko do łóżka, stolika nocnego i krzesła, jak w zakładzie urządzonym u nas na modłę szpitalną. Chodzi o coś więcej, o swobodę. Brak rygoru, narzuconego porządku godzin, gaszenia światła».

ADVOCATA NOSTRA W SPELUNCIE

Odwiedzała z uczennicami domy, gdzie miłość bliźniego poddawana była najsurowszym próbom. Powojenny Kazimierz, skąd Niemcy wywieźli Żydów, dzielnica nędzy i marginesu. Pokój alkoholicki, która po pijanemu wpadła pod pociąg i straciła stopę oraz rękę, a żyje z udostępniania drugiego łóżka na nierzad: „Naprawdę mam do tych kątów rodzaj przywiązania – wspominała Hanna. – Znam je zresztą już od tylu lat. [...] Te wszystkie papiery [na podłodze] są gęsto zanieczyszczone. Myjemy, zmieniamy bieliznę, taszczymy, okrywamy. [...] Łypnęła okiem, zawsze chytrym, choć dziś przymglonym. Małe zapuchłe oczka, niskie czoło, tępy nos, ziemista cera, gęsta rozczochrana czupryna. Moja mała bandażuje zawsze zziębnięte kikuty, a ja ostrożnie zwijam i zbieram te papiery... Co za takt – myślę sobie – tej kobiety (chciałam pisać »baby«, ale nie pozwalałam tak mówić o chorych moim uczennicom), że wycelowwała za każdym razem właśnie na te arkusze i teraz nie trzeba czyścić podłogi».

Nad łóżkiem oglądała przez kilka lat obrazki: „Matka Boska Nieustającej Pomocy, cztery Matki Boskie Częstochowskie i straszliwie wylalkowana Matka Boska Karmiąca [pędzla Andrei] Solaria – taka przecież ładna w swoim geście i zieleni płaszcza, w Wielkiej Galerii Louvre’u w dalekim Paryżu. Matka Boska, tu właśnie, w tej speluncie. Jakich modlitw wysłuchuje *Advocata nostra*, co z nich może przekazać Synowi? Jakie są modlitwy starej pijaczki? A to jest przecież moja siostra. Dlaczego? Bo Bóg dał do rozwiązania równania pozornie tylko skomplikowane. Pod iksy tego równania trzeba tylko podstawić słowa Boga samego: »byłem chory i nawiedziliście mnie«, i »ktokolwiek poda szklanekę wody w imię Moje«”.

I kwituje swoje rozważanie krótko: „Co prostszego?”.

Z takim światopoglądem pracowała od 1957 r. przez kilkanaście miesięcy jako dyrektorka Szkoły Pielęgniarstwa Psychiatrycznego w Kobierzynie. Zniecierpliwione władze zmusiły ją do przejścia na wcześniejszą emeryturę, a szkołę zamknęły.

OD KSIĘDZA WOJTYŁY DO INFUŁATA MACHAYA

Nadszedł czas, by urzeczywistnić pomysł, który kielkował w niej od lat: stworzyć system pielęgniarstwa parafialnego, „oprzec opiekę nad chorymi o Kościół” – jak pisała – bo przecież „pomagamy nieść krzyż Chrystusowi”.

Na początek chciała znaleźć choć jedną parafię z proboszczem rozumiejącym jej ideę. Trzeba było też poszukać chętnych do tej pracy kobiet – nie w środowisku jej uczennic pielęgniarek, których nie chciała odrywać od pracy zawodowej – i przyuczyć je do wykonywania najprostszych czynności, „byle chorzy nie cierpieli więcej niż muszą, byle nie leżeli w brudzie, zaduchu, odleżynach, w samotności”. I miało to być zajęcie stałe i płatne, co podkreślała.

Wtedy Zofia Szlendak-Cholewińska, jej wychowanka i instruktorka pielęgniarek, rzuciła bez namysłu: „Pójdziemy do Wujka”, czyli młodego wówczas ks. Karola Wojtyły, do jego mieszkania przy ul. Kanoniczej. „Rozmowa była krótka – wspominała Hanna. – We mnie paliło: musisz dopomóc! Słuchał z tym swoim dowcipnym uśmiechem, jakby lekko drwiącym. Nie wiedziałam jeszcze, że mam przed sobą najwspanialszego słuchacza wszelkich spraw”.

Obiecał, że zaprowadzi je do ks. infułata Ferdynanda Machaya, ówczesnego proboszcza parafii mariackiej. Przygotowała mnóstwo argumentów, którymi

chciała go zarzucić. „Nie mogę określić inaczej mojego uczucia jak wściekła pasja – zanotowała w pamiętniku. – Niechby odmówił! Niechby nie pojął!”. Ledwie skończyła mówić o potrzebie zaangażowania przez proboszcza stałej, płatnej opiekunki, ks. Machay zapytał: „Tysiąc złotych miesięcznie wystarczy?”.

Przez lata patronował działaniom „Cioteczki”, jak nazywali ją bliscy, wspierał finansowo, podsyłał zakonnice do pomocy. Na początku chorych było niewielu, ale w różnych parafiach. To mu nie przeszkadzało: „Granice parafii? Przecież miłość Chrystusa nie zna granic”. W 1960 r. ona i 3 współpracownicy, m.in. Alina Rumun, miały już pod opieką 35 ciężko chorych.

■ KARD. KAROL WOJTYŁA Z CHORYMI I HANNĄ CHRZANOWSKĄ. FOT. KSPIPP – ODDZIAŁ W KRAKOWIE



„Pielęgnowałam około siedmiu chorych dziennie. Do tego ciągle starania o nowe siły do pracy – bezowocne. Wykańczałyśmy się obie [z Aliną]. Kiedy byłam już u kresu sił, wezwał mnie do siebie ks. abp [Eugeniusz] Baziak. Nie tylko zaproponował, ale wprost nakazał mi zaprząć do pracy niedawno przybyłe do Krakowa Siostry Józefitki”. Potem doszły do nich zakonnice z innych zgromadzeń.

Pracowała ze swoimi dawnymi przyjaciółkami i równocześnie szkoliła z nimi wolontariuszki. Każdy 3-miesięczny kurs obejmował anatomię, pierwszą pomoc, zmianę opatrunków, wiedzę o chorobach i medykamentach – koniec końców na 23 kursach udało im się przygotować pół tysiąca siostr i nowicjuszek, kilku braci zakonnych i świeckich.



■ Ks. FERDYNAND MACHAY. FOT. NAC

I ŻE CIĘ NIE OPUSZCZĘ...

Widziała setki zaniedbanych ludzi w normalnych mieszkaniach, ale i w ruderach, suterrenach, na strychach. Wydawać by się mogło, że niewiele ją jeszcze zaskoczy. A jednak.

Na łóżku leżała 60-letnia kobieta bez kontaktu z otoczeniem. Opiekował się nią niezaradnie, ale z wielką gorliwością emeryt sypiający na tapczanie obok. Miał swoje sposoby: układał pod chorą stosy suchego papieru, a zabrudzone moczył i suszył. „Nie pomagały prośby, aby je palił, ani obietnice dostarczenia mu, ile chciał, »Przekrojów« i »Przyjaciółek« – dzienniki rozdierały się z wilgoci. [...] Trudno. Chora nie miała nigdy najmniejszej odleżyny. Zawdzięczała to zapewne i temu, że była przez nas codziennie myta – ale przede wszystkim swojemu pielęgniarzowi” – wspominała Chrzanowska. Ciągnęło się to latami. „Od tej nieszczęsnej postaci o bezbarwnej twarzy i oczach bez wyrazu przeniosłam wzrok na portret

młodej, pięknej kobiety, wiszący obok. »Tak, to właśnie ona przed czterdziestu laty. Ja się w niej kochałem, ale wyszła za mąż za mojego przyjaciela. On już nie żyje. Więc ja się tu przenieśliem po prostu«. Po prostu...

Zapamiętała spotkanie z człowiekiem z przeszłości, którego długo nie rozpoznawała. »On ledwo widział, ale chodził koło żony umiejętnie, nie tylko czule. Ona była cichutka, czasem – z rzadka popłakiwała. Stary pan pilnował jej codziennej przechadzki po pokoju». Półślepy oporządzał mieszkanie, gawędząc. »Kiedys zaczął się zastanawiać nad źródłosłowem czyjegoś nazwiska – zapisała Chrzanowska. – Jakby błyskawica rozdarła moją pamięć. Zerwałam się na równe nogi: »Panie profesorze, to pan mnie uczył w czwartej gimnazjalnej!«. Jak mogłam go nie poznać? Już wówczas, przed tylu laty nosił czarne okulary! Kiedys powiedział: »Wie pani, co było najmielsze? Że pani rozpoznałszy mnie, wstała jak uczennica w ławce!«».

POKAZAŁA CHORYM SŁOŃCE

Żeby innym dawać aż tyle, musiała szukać źródeł siły dla siebie. Znalazła je w opactwie Benedyktynów tynieckich, dokąd trafiła kiedyś na liturgię Wielkiej Soboty. Z łacińskiej liturgii zapamiętała, że apostołowie mówili różnymi językami o wielkich sprawach Bożych (*magnalia Dei*). Zaprzyjaźniona z o. Leonem Knabitem, wpadała czasem zmęczona i prosiła: »A teraz porozmawiajmy o tych magnaliach«».

Została benedyktyńską oblatką i uzyskała zgodę władz kościelnych na rzecz zupełnie nową: Msze św. w domach chorych. Spełniła też swoje wielkie marzenie: zabrać podopiecznych z ich zatęchłych mieszkań i pokazać im po latach słońce, kwiaty, drzewa. Przełamywała opór ludzi, którzy nie wyobrażali sobie, że ze swoimi ułomnościami, paraliżami i pieluchami mogą wyruszyć w drogę. Znalazła jednak tylu chętnych gotowych przewieźć ich do Domu Rekolekcyjnego Księży Salwatorianów w małopolskiej Trzebini i tam się nimi opiekować, że organizowała te wyjazdy od 1964 r.

Chociaż przez 7 ostatnich lat życia ciężko chorowała na raka, nie odeszła od swoich chorych. Zmarła w pierwszą niedzielę po Wielkanocy 1973 r. – może wcale nie przypadkiem w dzień ustanowiony w 2000 r. przez Jana Pawła II Świętem Miłosierdzia Bożego.



■ HANNA CHRZANOWSKA U CHOREGO CHŁOPCA. FOT. KSPIPP – ODDZIAŁ W KRAKOWIE

KAROL WOJTYŁA: „DZIĘKUJEMY CI, ŻE BYŁAŚ”

Na cmentarz Rakowicki odprowadzał Hannę Chrzanowską przysły papież i święty. Przeczytał jej ostatni list pisany z myślą o pielęgniarkach: „Niech Ksiądz Arcybiskup powie im, że fakt mojego odejścia w niczym nie może umniejszyć ich zapалу: że ja im tylko pomogłam [...]. Niech się trzymają razem, niech stanowią jedno, niech się cieszą radością z miłosierdzia – jak mówi św. Paweł; ale niech też – jak on zaleca – płaczą z płaczącymi”.

A od siebie powiedział: „Dziękujemy Ci, Pani Hanno, za to, że byłaś wśród nas; że byłaś taka, jaka byłaś. Dziękuję Ci za to opiekunki chorych, siostry zakonne, pielęgniarki, młodzież akademicka – cały Kościół krakowski. Dziękuję Ci za to jako biskup Kościoła krakowskiego. Byłaś dla mnie ogromną pomocą i oparciem.

A raczej dziękujemy Bogu za to, że byłaś wśród nas taka, jaka byłaś – z tą Twoją wielką prostotą, z tym wewnętrznym spokojem, a zarazem z tym wewnętrznym żarem; że byłaś wśród nas jakimś wcieleniem Chrystusowych błogosławieństw z Kazania na Górze, kiedy mówił: »Błogosławieni miłosierni«”.

45 lat po śmierci Hanny Chrzanowskiej, w 2018 r., Kościół katolicki ogłosił ją błogosławioną. Za cud dokonany dzięki jej wstawiennictwu uznano uzdrowienie Zofii Szlendak-Cholewińskiej – tej, która zaprowadziła ją do młodego ks. Wojtyły.

Po latach pracy z Chrzanowską Zofia odeszła od Boga i Kościoła, związawszy się z żonatym mężczyzną. Kiedy w 2001 r. leżała w szpitalu po zawale serca i wylewie krwi do mózgu, sparaliżowana od pasa w dół, groziła, że podetnie sobie żyły rozbitym dzbanuszką; odmawiała spotkania z księdzem i spowiedzi. Stowarzyszenie Katolickich Pielęgniarek odprawiało w krakowskich kościołach pw. św. Mikołaja i pw. św. Marka nowennę w jej intencji za wstawiennictwem Hanny Chrzanowskiej. Aż nadszedł dzień, gdy chora poprosiła o sakramenty i wyznała, że poprzedniej nocy wołała we śnie: „Ciuteczko, pomóż!”. Uzdrowienie przyszło niebawem, choć lekarze nie dawali jej wcześniej większych szans na przeżycie. Wróciła do Kościoła – całą swoją pierwszą Mszę św. przeplakała.

Dziś przy białym alabastrowym sarkofagu ze szczątkami bł. Hanny Chrzanowskiej w kościele pw. św. Mikołaja przy ul. Kopernika – dawnej ulicy krakowskich klinik uniwersyteckich – klęczą ludzie, powtarzając: „Pomóż!”. Miała przecież – jak mówił na jej pogrzebie abp. Wojtyła – „serce wrośnięte w ludzi”.

BIBLIOGRAFIA

Czocher A., *Czy dobroczynność wymagała odwagi? O działaczach Polskiego Komitetu Opiekuńczego Kraków-Miasto w okresie okupacji niemieckiej*, http://www.oipc.pl/pliki/CENA%20ODWAGI_Czocher.pdf.

Hanna Chrzanowska. *Pamiętniki, listy, notatki*, oprac. A. Rumun, M. Florkowska, Kraków 2018.

Jędrzyk A., *Hanna Chrzanowska – prekursorka pielęgniarstwa rodzinnego*, praca licencjacka, Katowice 2004.

Rumun A., *Hanna Chrzanowska*, [w:] *Chrześcijanie*, t. 3, red. B. Bejze, Warszawa 1978.

Rumun A., *Hanna Chrzanowska w Duszpasterstwie Chorych Archidiecezji Krakowskiej*, [w:] *Promieniowanie posługi*, oprac. K. Kubik, Kraków 1999.

Zuchniewicz P., *Siostra naszego Boga. Niezwykła historia Hanny Chrzanowskiej*, Kraków 2017.



Anna Zechenter (ur. 1959) – redaktor „Biuletynu IPN”. W latach 70. i 80. działaczka antysystemowej opozycji. Autorka książek: *KGB gra w szachy* (2010); *Kremłowski trucizny* (2012); *Pod czerwoną okupacją. Adam Macedoński w rozmowie z Anną Zechenter* (2013); (z D. Gorajczykiem, M. Komaniecką, K. Samsonowską i M. Szpytmą) *Zbrodnia katyńska („Teki Edukacyjne IPN”, 2014)*; (z H. Głębockim, D. Gorajczykiem, M. Masłowskim, P. Naleźniakiem) *„Operacja polska” NKWD 1937–1938. Losy Polaków w Rosji bolszewickiej i w ZSRS do 1939 roku* (2017); *Czerwony marsz na Zachód 1918–1919* (1918); *Zagłada Polaków w Związku Sowieckim. Od przewrotu bolszewickiego do „operacji polskiej”* (2019); *Zmowa 1939. Pakt Stalin–Hitler* (2019) i in.

■ STANISŁAWA LESZCZYŃSKA
PO UKOŃCZENIU SZKOŁY
POŁOŻNYCH, OK. 1922 R.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

KINGA HAŁACIŃSKA

MATECZKA Z AUSCHWITZ STANISŁAWA LESZCZYŃSKA (1896–1974)

Współwięźniarki KL Auschwitz-Birkenau mówiły o niej „Mateczka”. Ta drobna kobieta o łagodnej twarzy, z zawodu położna, cieszyła się opinią „anioła życia”, bo przed każdym porodem, który odbierała w koszmarnych obozowych warunkach, modliła się o zdrowie matki i dziecka. Rodziły się zdrowe, a ona natychmiast je chrzczyła. Wiedziała, co je czeka...

P

rzychodziły na świat w strasznym miejscu, w przedsionku piekieł, gdzie nie miały szans, by przetrwać. Jednak powszechność okrucieństwa i śmierci w obozie koncentracyjnym Auschwitz nie zmieniła przekonania Leszczyńskiej, że życie jest cudem. Nic nie złamało jej woli czynienia dobra.

ŚWIADECTWO WIARY

Gdy 20 lat wcześniej postanowiła zostać położną, obiecała sobie i Bogu, że będzie chronić każde życie jej powierzone. Takie wartości wyniosła z rodzinnego domu. Stanisława przyszła na świat 8 maja 1896 r. w Łodzi. Jej rodzice, Jan i Henryka Zambrzyccy, mieszkali na Bałutach. Ojciec trudnił się stolarstwem, matka pracowała na 12-godzinne zmiany w fabryce Izraela Poznańskiego. Mieli 8 dzieci, Stanisława była najstarsza i pod nieobecność matki zajmowała się domem. Obowiązki przeplatała modlitwą. Dziewczyna nigdy nie rozstawiała się z brewiarzem, kilka razy dziennie odmawiała różaniec. Tacy też byli jej rodzice, dawali dzieciom świadectwo wiary, często chodzili na nabożeństwa do pobliskiego kościoła.

Stanisława już w wielu 5 lat umiała czytać i pisać. Jako 10-latka rozpoczęła naukę w prywatnym progimnazjum Wacława Maciejewskiego w Łodzi, ale musiała przerwać edukację, bo w 1908 r. Zambrzyccy całą rodziną ruszyli do Brazylii. Pojechali tam za pracę. Wrócili do Łodzi po 2 latach, a za zarobione pieniądze kupili dom przy ul. Żurawiej 7. Mieszkali na piętrze, a na parterze założyli sklep z produktami kolonialnymi. Stanisława pomagała rodzicom, ale podjęła też przerwana naukę w progimnazjum. Szczęśliwie szkołę ukończyła przed 1914 r., bo w Europie wrzało, wkrótce wybuchła I wojna światowa.

Ojciec musiał pójść na front, sklep zamknięto, a cała rodzina stanęła przed widmem głodu. Pomagali im bliscy. Stanisława zaangażowała się jako wolontariuszka w Komitecie Obywatelskim Niesienia Pomocy Biednym. Tam poznała 8 lat starszego od siebie Bronisława Leszczyńskiego, drukarza. Zakochali się i 17 października 1916 r. wzięli ślub. Po roku na świat przyszedł Bronisław, po kolejnym – Sylwia.

Zamieszkali w domu, który dostali od rodziców Stanisławy. Dawne pomieszczenie sklepowe podzielili na malutkie pokoiki, które wynajmowali, by mieć na życie. Bronisław pracował w drukarni, Stanisława zamierzała zostać położną. Aby spełnić to marzenie, w 1920 r. wyprowadziła się na 2 lata do Warszawy i podjęła naukę w Szkole Położniczej. Nie była to łatwa decyzja, w domu zostawiła 3-letniego Bronka

i malutką Sylwią. Bronisław tak wspominał dzieciństwo: „Rano ubierałem siebie, siostrę i szliśmy do babci. Mieszkaliśmy pod numerem siódmym, babcia pod trzecim. Jak ojciec wracał z pracy, zabierał nas do domu. Czasami opiekowała się nami ciotka”. Stanisława odwiedziła dom tylko 2 razy – na częstsze wizyty nie było pieniędzy. Szkołę ukończyła z nagrodą. Przed powrotem do Łodzi poszła się jeszcze pomodlić. „W drodze na dworzec kolejowy

zaszła do kościoła Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu [...]. Uklękła przed ołtarzem i po cichu podziękowała Matce Najświętszej za zdany egzamin i uzyskanie uprawnień do wykonywania zawodu. Wypowiedziała też [...] obietnicę. [...] »Obiecuję, że jeśli podczas przyjmowania porodu stracę choćby jedno dziecko, zaprzestanę wykonywania zawodu«” – tak opowiedziała o tym momencie życia ciotki Maria Stachurska.

Stanisława po powrocie do domu nie podjęła pracy w szpitalu, ale postanowiła wykonywać wolny zawód. Okazała się świetną, troskliwą położną. Cieszyła się doskonałą opinią, więc wzywano ją do porodów w dzień i w nocy. Córka Sylwia spisała takie wspomnienie z dzieciństwa: „Wybrałyśmy się z mamą do teatru na sztukę »Krysia leśniczanka«. Mama prezentowała się pięknie w długiej sukni, miała na sobie błękitną chustę z naturalnego jedwabiu, zdobną w kwiaty ręcznie haftowane. W czasie przedstawienia na widowni rozległ się donośny głos: »Pani Leszczyńska jest wzywana do porodu«. Mama wstała i bez żalu i zdenerwowania, zabierając mnie ze sobą, opuściła teatr”. Wzywana nocami starała się nie obudzić domowników. Cichutko się ubierała i jak wspomina rodzina: „naprędce narzucała coś po ciemku, a butów szukała na kolanach. Czasem biegła w jednym, byleby zdążyć do rodzącej. Stąd jej akt strzelisty: »Maryjo, Matko Boża, przybywaj choćby w jednym pantofelku, ale jak najprędzej”. Sylwia o matce: „Swoją pracę zawodową bardzo kochała i zachwycała się każdym nowo narodzonym dzieckiem. Opowiadała nam o dzidziusiach z uśmiechem”. „Może właśnie dlatego miałam tak wielką



ilość pacjentek, że nieraz musiałam pracować po trzy doby bez snu. Pracowałam z molitwą na ustach i właściwie przez cały okres mej zawodowej pracy nie miałam żadnego przykrego wypadku” – wspominała po latach Stanisława Leszczyńska.

Sama pragnęła mieć liczną rodzinę. W 1922 r. urodziła kolejnego syna, Stanisława, a następnego roku – Henryka. Leszczyńscy byli niezwykle troskliwymi rodzicami, dbali o staranne wykształcenie dzieci. W chwili wybuchu II wojny światowej najstarszy syn i córka studiowali medycynę.

CZAS PRÓBY

Atak hitlerowskich Niemiec na Polskę zastał Leszczyńskich w Rosanowie, gdzie mieli domek letniskowy. Zastanawiali się, co dalej. Zdecydowali, że Henryk z ojcem pojadą do Warszawy, by wstąpić do ochotniczej straży pożarnej, a Stanisław wraz z Bronisławem przedostaną się do Lwowa. Stanisława z córką wróciły do domu, do Łodzi.

Leszczyńska znów była wzywana do porodów, przywrócono jej prawo wykonywania zawodu. Jakże się cieszyła, gdy po kilku miesiącach cała rodzina znów mieszkała przy Żurawiej. Ich radość trwała krótko, dom znalazł się w granicach getta, zostali przesiedleni na ul. Wspólną 3. Bronisław i Stanisław zatrudnili się jako motorniczowie tramwajów. Cała rodzina zaangażowała się w konspiracyjną działalność w Związku Jaszczurczym. Ojciec, zecer, wyrabiał fałszywe dokumenty, trafiały one również do Żydów, których przechowywali też często we własnym mieszkaniu, przerzucali żywność na teren getta. Jak opowiadał Stanisław, do ich mieszkania trafiały szyte w getcie garnitury. Rodzina Leszczyńskich znalazła się jednak na celowniku gestapo. W nocy z 19 na 20 lutego 1942 r. Niemcy otoczyli ich dom. Przyszli po Bronisława, ale go nie zastali. Zamiast niego aresztowali Stanisława, Sylwię i 2 młodszych synów. Kobiety trafiły 17 kwietnia 1943 r. do KL Auschwitz II-Birkenau, a chłopców wywieziono do obozu Mauthausen-Gusen. Stanisława i Sylwia otrzymały numery obozowe 41335 i 41336. W czasie rewizji Leszczyńskiej udało się zachować zaświadczenie uprawniające ją do wykonywania zawodu położnej.

W sierpniu 1943 r. Stanisława stała się ofiarą pseudomedycznych eksperymentów dr. Josepha Mengele. Swoje losy opisała na początku lat 70. w korespondencji z PCK i w liście do pełnomocnika ministra zdrowia i opieki społecznej ds. pomocy finansowej dla ofiar pseudomedycznych eksperymentów w hitlerowskich obozach: „Podczas inspekcji na bloku 24 zostałam przedstawiona lekarzowi SS, który wraz z dwiema



■ BRONISŁAW I STANISŁAWA LESZCZYŃSCY Z DZIEĆMI,
MIĘDZY 1924 A 1925. FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE W ŁODZI

Polkami zabrał mnie do ambulansu (jedna z nich zmarła na skutek eksperymentu). Tam kazano nam się rozebrać, dokonano oględzin i spisał nasze numery. Następnie lekarz SS pobrał mi krew z żyły, a potem strzykawką dał mi zastrzyk dożylny. Zaprowadzono nas potem na blok 23, ułożono na pryczach i założono karty gorączkowe. Byłam tym przerażona, lecz jednocześnie bałam się grożącego mi później usunięcia na lagier. Dlatego też, zwykle w godzinach popołudniowych, wstawałam, żeby »siostrze« Klarze [obozowej położnej] nanosić ciepłej wody z kuchni i wykonywać podrzędne prace. Na rewirze przebywałam więc zarówno przed, jak i po dokonaniu eksperymentu. Po paru dniach poczułam się źle i nie wstawałam już z łóżka. Kilka dni później (w opisie doświadczenia podałam 3–4 dni, chociaż mogę dokładnie nie pamiętać) dostałam dreszczy i bólu głowy, a następnie również wysokiej gorączki. Ból głowy wzmagał się i stawał się nie do wytrzymania. Codziennie sanitariusz mierzył mi gorączkę i może dwukrotnie widziałam też lekarza, który dał mi zastrzyk. Potem zauważyłam wysypkę na brzuchu. Lekarz SS ponownie pobrał mi krew z żyły. Z uwagi na ciężki przebieg tyfusu plamistego, jaki wówczas przechodziłam, byłam w późniejszym okresie choroby zamroczone i nic już z tego okresu nie pamiętam. Z opowiadań więźniarek wiem, że przychodził do mnie lekarz SS, robił jakieś notatki i że przez cały ten okres nie spałam w ogóle, czego nie byłam świadoma”.

Stanisławie udało się wyzdrowieć. W którymś momencie rozchorowała się „schwester Klara”. Wtedy Leszczyńska zgłosiła się na zastępstwo, a dr Mengele zgodził się i nakazał jej zabijać nowo narodzone dzieci. Zaryzykowała, ale odmówiła. „Nie, nigdy! Dzieci nie wolno zabijać!” – powiedziała. W swojej odwadze nie była jedyna. W grudniu 1943 r. izbę położniczą przeniesiono do bloku 17, a późną wiosną 1944 r. izbę ginekologiczną utworzono w bloku 10. Jej prowadzenie powierzono dr Irenie Koniecznej. Ona też odmówiła wykonywania aborcji, wyjaśniając Niemcom, że zajmuje się jedynie ginekologią zachowawczą. Podobną postawę prezentowała dr Janina Węgierska. Wszystkie one ryzykowały swoje życie.

W początkowym okresie funkcjonowania obozu kobiety ciężarne uśmiercano. Niemcy używali do tego dosercowych zastrzyków fenolu bądź komór gazowych. Jeżeli matce udało się ukryć ciążę i urodzić dziecko w obozie, matka i noworodek były zabijane zaraz po porodzie. Do maja 1943 r. niemiecka położna, „schwester Klara” topiła dzieci w wiadrze znajdującym się w przedsionku bloku, a ciała noworodków wyrzucano przed blok. Była więźniarka, prof. Janina Kowalczykowa zeznała w trakcie procesu Rudolfa Hössa, że Klara topiła dzieci, zamiast meldować o ich urodzeniu, w najlepszej wierze – starała się w ten sposób ratować kobiety, bo wiedziała, że w innym przypadku matka trafi do gazu.

ANIOŁ ŻYCIA

Od maja 1943 r. część dzieci dostawała nikłą szansę na przeżycie. Niebieskookie i jasnowłose noworodki odbierano matkom i kierowano do Nakła, do ośrodków Centrali Przesiedleńczej w Łodzi, Potulic lub do ośrodków Stowarzyszenia Lebensbornu i wynaradawiano. Leszczyńska znakowała specjalnym tatuażem maluchy przeznaczone do zniemczenia, tak by można je było później odszukać. Żadnej szansy nie miały nadal żydowskie noworodki – zabijano je zaraz po narodzeniu. Polskie też zazwyczaj umierały po kilku dniach, niedożywione matki nie miały pokarmu. Biurokracja obozowa nie obejmowała tych zgonów. Pierwszy odnotowany w dokumentacji Auschwitz fakt narodzenia dziecka ma datę 22 lipca 1943 r., pierwszy numer wydany noworodkowi datowany jest na 18 września 1943 r. Cyfry tatuowano na udzie lub pośladku. Nie dotyczyło to dzieci urodzonych przez Niemki i kobiety przybyłe w transportach z powstańczej Warszawy.

Stanisława wspominała, że pierwszy poród odebrała „od kobiety pochodzenia romskiego, przeznaczonej do zagazowania, a wydarzyło się to w maju 1943 r.” W opiece

nad ciężarnymi pomagała jej córka, potem zastąpiła ją Polka, Rufina Karwowska. Więźniarki pisały we wspomnieniach, że Stanisława nieustannie zabiegała u władz obozowych, by poprawić warunki, w jakich przebywały kobiety. Sprawiała, że na terenie bloku 16 wydzielono izbę porodową, składającą się z 30 trzypiętrowych prycz oddzielonych od reszty baraku kotarą. Starła się zdobyć papierowe bandaże, by owinać w nie noworodka. Doktor Irena Białowna, pracująca w bloku 24, pisała o pracy Stanisławy: „[...] z największym szacunkiem i wzruszeniem wspominam zarówno jej postać, siedzącą godzinami na piecu koło rodzącej, jak i jej dbałość o zdobycie kawałków płótna lub perkalu, podkładu, pieluszki lub ligniny, tudzież jej słowa pociechy, kierowane do matki, której zabrano nowo narodzone dziecko”.

Leszczyńska chrzcila noworodki wodą, prosiła inne pielęgniarki, by o tym pamiętały. Powtarzała: „Pamiętaj, że nie wolno ci dopuścić, żeby dzieci umierały bez chrztu, jesteś za to odpowiedzialna przed Bogiem”. Jej wiara wielu pomagała przetrwać. Stanisława robiła w obozie różańce z chleba, odmawiała je z więźniarkami, modliła się też w czasie porodów. Organizowała nabożeństwa, a w okresie świąt z odłożonego jedzenia z paczek od rodziny robiła małe kanapeczki, którymi dzieliła się ze wszystkimi na bloku. Jak już nic nie mogła zrobić, śpiewała. To też wносиło iskrę nadziei.

W swoim *Raporcie położnej z Oświęcimia*, który Stanisława napisała po wojnie, wspominała: „Gdy pewnego dnia Lagerarzt kazał mi złożyć sprawozdanie na temat zakażeń połogowych i śmiertelności wśród matek i noworodków, odpowiedziałam, że nie miałam ani jednego takiego przypadku, chociaż w obozie tym odebrałam ponad 3 tys. porodów. W oczach niemieckiego lekarza czytałam gniew. Powiedział wówczas: »To jest niemożliwe. Nawet najlepiej prowadzone kliniki uniwersytetów niemieckich nie mogły poszczycić się takim powodzeniem«. A jednak to było prawda. Dzieci nie otrzymywały żadnych przydziałów żywnościowych ani nawet kropli mleka. Marły powolną śmiercią głodową. Towarzyszyła im wielka miłość i bezsilność matek”.

Przyszła chwila, gdy noworodkom pozwalano żyć, ale matkom utrudniano opiekę nad nimi. Leszczyńska pomagała im, jak tylko mogła. Zdobywała rzeczy, z których można było zrobić pieluchy. „Wszystko przy nas robiła sama. Sama też dźwigała w wiadrach wodę, bo chorym nie wolno było opuszczać bloku. Jeśli wodę w kranie kuchennym zamknęto, to zdobywała różnymi sposobami trochę wywaru z ziół, które dostawałyśmy do picia, byle tylko codziennie rano i wieczorem chociaż

trochę przemyć niemowlaki. Najpierw brała zdrowe, a na końcu chore i te z rankami na ciałkach. Bała się zakazić inne dzieci, a kąpać musiała je wszystkie w tej samej wodzie” – wspominały więźniarki.

Pomimo zakazu podwiązywała pępowinę noworodkom, by nie zostały wrzucone do kubła wraz z łóżyskiem. Część z nich uratowano, bo Polkom udało się podać niektóre z tych maleństw za swoje. 19 stycznia 1945 r. w Birkenau znajdowało się 247 kobiet ciężarnych i położnic oraz 156 dzieci w wieku do 3 lat, w tym co najmniej 60-osobowa grupa dzieci urodzonych w obozie. Leokadia Niewiadomska opisała ten moment we wspomnieniach: „Z 18 na 19 stycznia 1945 r. przyszedł na blok porodowy SS-man i kazał wszystkim przygotować się do ewakuacji. Pani Leszczyńska ochrzciła szybko jeszcze kilkoro dzieci. Kobiety dobywały resztek sił, żeby tylko ustać na nogach. Było wśród nich wiele matek z maleńkimi dziećmi. Stały i czekały godzinami na mrozie, bez ubrania, w samych koszulkach, z narzuconymi na plecy cienkimi, czarnymi kocami. Pocieszały się, że ewakuacja to może jednak szansa ratunku. To była straszna noc. Najciężej chore i rodzące matki wiedziały, że muszą zostać. Bez nadziei przetrwania. Pani Leszczyńska, jej córka i doktor Konieczna zostały z nami. Bez wahania odrzuciły szansę ocalenia i pozostały z garstką bezbronnych – do końca”.

Decyzja o nieopuszczaniu obozu była w tamtym momencie heroiczna – istniały przypuszczenia, że obóz jest zaminowany i zostanie wysadzony w powietrze. Spośród personelu szpitala kobiecego pozostały w obozie m.in. położna Stanisława Leszczyńska, dr Katarzyna Łaniewska, dr Alicja Piotrowska oraz dr Irena Konieczna. W płonącym bloku rewirowym położna Leszczyńska przyjęła ostatni poród, wynosząc położnicę i noworodka tuż po porodzie przed blok i układając oboje na śniegu. Krystyna Zambrzycka-Stempkowska: „Doktor Konieczna pochyliła się nade mną i szepnęła pani Leszczyńskiej, że musi na mnie uważać, gdyż nie mają już w szpitalu żadnych środków. Mówiła szeptem, ale ja to słyszałam. Pamiętam również, że w czasie mojego porodu, gdy leżałam na ciągu kominowym, wszedł nagle do baraku niemiecki żołnierz. Po raz ostatni widziałam wtedy niemieckiego żołnierza [...]. Po wyzwoleniu obozu przez żołnierzy radzieckich przez kilka dni byliśmy jeszcze na terenie Brzezinki, a potem przewieziono nas – matki z nowo narodzonymi dziećmi – do Brzeszcz. W Brzeszczach został zorganizowany dla nas w budynku szkolnym prowizoryczny szpital”. Stanisława Leszczyńska opuściła obóz wraz z córką Sylwią 2 lutego 1945 r. Pierwsze swoje kroki skierowała do kościoła w Oświęcimiu.

ŚWIADECTWO

Po powrocie do Łodzi podjęła pracę w szpitalu im. Heleny Wolf przy ul. Łagiewnickiej 36. W 1965 r. opublikowała w „Przeglądzie Lekarskim” *Raport położnej z Oświęcimia*, w którym opisała swoją działalność w obozie. Żyła samotnie. Mąż Stanisławy zginął w Powstaniu Warszawskim. Synowie przeżyli okupację. Stanisława wciąż odbierała porody, a każdy z nich był omodlony, do modlitwy zachęcała również rodzącą matkę. Położną była przez 38 lat i tak jak prosiła Matkę Najświętszą, nie umarło przy niej żadne dziecko.

Maria Stachurska, która napisała o swojej ciotce książkę i nakręciła film, opowiadała, że choć w większości przyjmowane przez nią porody przebiegały bez komplikacji, zdarzały się też szalenie trudne, kiedy zagrożone było życie matki i dziecka, jak ten wspominany przez Annę Woźnicką: wezwana do porodu lekarka, wychodząc już po szczęśliwym rozwiązaniu, powiedziała do męża położnicy: „[...] Bogu niech pan dziękuje za to, co się stało, bo gdy zbadałam żonę, to już wiedziałam na pewno, że [...] żona w krwotoku umrze. Ponieważ jednak stało się inaczej, wychodzę stąd głupsza, niż przyszedłam”.

Leszczyńską bliscy opisywali jako spokojną, cichą, pogodną osobę, nieodczuwającą nienawiści. Wykształciła 4 dzieci, 3 skończyło studia medyczne, a najmłodszy Henryk – studia prawnicze i muzyczne.

Mijały lata. 27 stycznia 1970 r. w kolejną rocznicę wyzwolenia obozu Stanisława spotkała się w Warszawie z matkami oświęcimskimi i dziećmi urodzonymi w obo-

■ STANISŁAWA LESZCZYŃSKA (W ŚRODKU NA PIERWSZYM PLANIE) W GRONIE
KOLEŻANEK – PIELĘGNIAREK, OK. 1950 R. FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE W ŁODZI



zie. Nigdy o niej nie zapomnieli. Te, które żyją, nadal dają świadectwo, kto i gdzie przyjmował je na świat.

W 1973 r. Stanisława zaczęła poważnie chorować. Odeszła 11 marca 1974 r. Pogrzeb odbył się na cmentarzu św. Rocha na Radogoszczy w Łodzi. Nie została zapomniana. 3 maja 1982 r., w 600-lecie erygowania klasztoru na Jasnej Górze, pielęgniarki złożyły przed obrazem Matki Bożej wotum w postaci Kielicha Życia i Przemiany Narodu. U jego podstawy znalazły się wyrzeźbione w kości słoniowej wizerunki św. Jadwigi Andegaweńskiej, św. Jadwigi Trzebnickiej, bł. Marii Teresy Ledóchowskiej i właśnie jej – Stanisławy Leszczyńskiej. Jej imieniem nazwano kilka szkół położniczych. 15 marca 1987 r. w kaplicy Matki Bożej Łódzkiej w kościele pw. Wniebowzięcia NMP wmurowano pamiątkową tablicę, a w 1996 r. do tego właśnie kościoła, w którym została ochrzczona, przeniesiono jej doczesne szczątki.

W 1992 r. rozpoczął się proces beatyfikacyjny położnej z Auschwitz. Podczas postępowania trybunału zebrano relacje 33 świadków, składających pod przysięgą oświadczenia w sprawie świętości życia Sługi Bożej. 8 maja, dzień urodzin Stanisławy Leszczyńskiej, jest obchodzony w Polsce jako Dzień Położnej.

BIBLIOGRAFIA

Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, Proces Hössa, t. 1 a, k. 151. Zeznanie Geni Ajdelman.

Białówna I., *Z historii rewiru w Brzezince*. „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1979, nr 1.

Ciesielska M., *Szpital obozowy dla kobiet w KL Auschwitz-Birkenau (1942–1945)*, Warszawa 2015.

Gnacikowska W., Podolska J., *Przybądź w jednym pantofelku. Opowieść o Stanisławie Leszczyńskiej, położnej z Oświęcimia*, „Gazeta Wyborcza. Łódź”, 31 X – 1 XI 2007.

Konieczna I., *Z przeżyć wojenno-okupacyjnych*. „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1991, nr 1.

Kubica H., *Kobiety ciężarne i dzieci urodzone w KL Auschwitz*, Oświęcim 2010.

Leszczyńska S., *Raport położnej z Oświęcimia*, [w:] *Okupacja i medycyna. Wybór artykułów z „Przeglądu Lekarskiego – Oświęcim” z lat 1961–1970*, Warszawa 1971.

Macierzyńska miłość życia. Teksty o Stanisławie Leszczyńskiej, teksty zebrał i oprac. B. Bejze, Łódź 1988.

Stachurska M., *Położna. O mojej cioci Stanisławie Leszczyńskiej*, Warszawa 2020.

Winnik S., *Dziewczęta z Auschwitz. Głosy ocalonych kobiet*, Warszawa 2018.



Kinga Hałacińska (ur. 1967) – dziennikarz, redaktor „Biuletynu IPN”; do 1997 r. asystent w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Współpracowała z „Business Weekiem”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Rzeczpospolitą”, „Kombatantem” i „Dobrym Tygodniem”. Członek Stowarzyszenia Rodzina Katyńska w Warszawie.

KATARZYNA HELIK

**CZŁOWIEK
WIELU PASJI****FELIKS KONECZNY
(1862–1949)**

Był pracownikiem Akademii Umiejętności i Biblioteki Jagiellońskiej, krytykiem teatralnym, redaktorem „Świata Słowiańskiego”, pierwszym polskim autorem syntezy dziejów Rosji, profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, twórcą oryginalnej teorii cywilizacji, a nadto człowiekiem skromnym, pracowitym i oddanym bliskim. Choć jego życie obfitowało w trudne doświadczenia, do końca pozostał wierny swym wartościom.

U

rodził się 1 listopada 1862 r. w Krakowie. Mimo wielu trudności w edukacji podstawowej i gimnazjalnej, po zdaniu egzaminu maturalnego w 1883 r. rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1888 r. przedstawił Radzie Wydziału Filozoficznego rozprawę doktorską na temat stosunków Inflant z Polską do 1393 r. Choć recenzenci – Anatol Lewicki i Stanisław Zakrzewski – zwrócili uwagę na zbyt wyraźne afirmowanie własnych poglądów przez doktora i nadinterpretację pewnych treści, to ostatecznie podkreślili jego „niepospolity talent kombinacyjny”, oceniając pracę pozytywnie¹. Od 1 stycznia do 20 sierpnia 1890 r.

¹ R. Polak, *Feliks Koneczny. Biografia uczonego*, „Człowiek w Kulturze” 1998, nr 10, s. 166.



■ LEON WYCZÓŁKOWSKI, *KAROL ESTREICHER W ŁOŻY NA „WESELU”*
WYSPIAŃSKIEGO, 1905, MUZEUM UNIWER-
SYTETU JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE

Koneczny jako stypendysta Akademii Umiejętności przebywał w Rzymie w ramach ekspedycji watykańskiej, prowadzącej od 1886 r. prace badawcze w archiwum udostępnionym historykom przez papieża Leona XIII. Następnie 1 września 1890 r. Stanisław Smolka zatrudnił swojego byłego studenta w AU.

SUROWY KRYTYK TEATRALNY

Jednocześnie od 1896 r. Koneczny zamieszczał przez 9 lat recenzje spektakli teatralnych w „Przeglądzie Polskim”. Przed każdą inscenizacją zapoznawał się z treścią wystawianego utworu. Kiedy był w teatrze, najczęściej w towarzystwie historyka literatury i teatru Karola Estreichera, skrupulatnie notował przebieg przedstawienia. Recenzent obserwował debiuty sceniczne Stanisława Wyspiańskiego, Tadeusza Micińskiego, Stanisława Przybyszewskiego oraz Gabrieli Zapolskiej. Jego działalność krytyczno-teatralna wiązała się z wyrażaniem odmiennych poglądów od ujawnianych przez przedstawicieli współczesnego mu środowiska artystycznego. Obok artyzmu i gry aktorów zwracał bowiem uwagę na charakter krytyki. Postulował poddawanie sztuk bezwzględnej analizie naukowej, sprzeciwiając się uwzględnianiu w recenzji osobistych odczuć jej autora, gdyż jak twierdził, powstawały wówczas opinie mające charakter paszkwili lub panegiryków.

Koneczny to jeden z najwybitniejszych krytyków teatralnych XX w. Po zapoznaniu się z jego szczegółowymi recenzjami bez wątpienia można stwierdzić, że pisał je z pasją. Stawiał oryginalne i odważne tezy. Jedna z nich dotyczyła niesceniczności

części I *Dziadów* Adama Mickiewicza, nieukończonego utworu, prawdopodobnie napisanego w 1821 r., a wydanego po raz pierwszy w 1860 r. – 5 lat po śmierci autora. Krakowski uczony odniósł się do dramatu po premierze widowiska w inscenizacji i scenografii Wyspiańskiego. Utrzymywał, że zmiany dokonane przez młodopolskiego artystę nie zbliżają utworu do kanonu literatury dramatycznej. Co więcej, twierdził, że wystawienie *Dziadów* nie jest przejawem osiągnięcia w dziedzinie sztuki, a jedynie świadectwem powszechnie „odgrywanego” pietyzmu względem wieszcza narodowego.

Oceniając *Wyzwolenie* Wyspiańskiego, wskazał, że w zakresie konstrukcji nie spełnia ono wymogów dramatu, a kierownictwo teatru zgodziło się na tę inscenizację, gdyż „po *Weselu* nazwisko autora stało się dobrą firmą na afiszu, i cokolwiek by teraz wystawiono z tym podpisem, zawsze tłum do teatru ściągnie”². Nie obawiał się zatem powszechnie głosić, że dyrektor Teatru Miejskiego w Krakowie Józef Kotarbiński podjął decyzję wystawienia *Wyzwolenia* wyłącznie ze względu na rozpoznawalność nazwiska autora, nie zaś walory artystyczne.

W 1897 r. władze Akademii Umiejętności zaproponowały przeniesienie Konecznego do Archiwum Krajowego Akt Ziemskich i Grodzkich w Krakowie, co było spowodowane chęcią zatrudnienia na jego miejsce innego krakowskiego historyka, Wiktora Cermaka, dlatego Koneczny w imię godności nie zawahał się złożyć wypowiedzenia i przyjąć pracy poniżej swoich kompetencji. Wówczas został praktykantem w Bibliotece Jagiellońskiej. Na taką decyzję wpłynęła również konieczność zapewnienia bytu najbliższym – żonie Marceli oraz dzieciom: Bronisławie, Czesławowi i Stanisławowi. Choć sumiennie wykonywał swoje obowiązki, to nie odczuwał satysfakcji. W związku z tym zabiegał o posadę pisarza Biblioteki Jagiellońskiej. Dzięki poparciu ówczesnego dyrektora Karola Estreichera, decyzją Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego awansował w 1898 r. W 1906 r. objął stanowisko skryptora w tamtejszej instytucji. Osiągając w ten sposób pewną stabilizację zawodową, angażował się w inicjatywy społeczne. Poprzez znajomość z Józefem Ignacym Kraszewskim poznał członków Towarzystwa Szkoły Ludowej. Zaczął aktywnie działać w organizacji szerzącej wiedzę historyczną wśród ludu polskiego, wygłaszając prelekcje na Śląsku i w Galicji.

² Sprawozdania teatralne publikowane w latach 1896–1905 w „Przeglądzie Polskim” zostały zamieszczone w książce F. Konecznego *Teatr krakowski* (Kraków 1994).

Ponadto od 1905 r. był redaktorem „Świata Słowiańskiego”. Miesięcznik stanowił początkowo organ prasowy Klubu Słowiańskiego, powstałego z inicjatywy znanych polskich historyków Mariana Zdziechowskiego i Augusta Sokołowskiego, a od grudnia 1912 r. – Towarzystwa Słowiańskiego. Koneczny w swoich artykułach wiele uwagi poświęcał wkładowi katolicyzmu w rozwój narodów słowiańskich i ich integracji z kulturą Zachodu. Podkreślając potencjał Polaków pozwalający na przewodnictwo wśród Słowian, uwydatnił szczególnie niepowtarzalne bogactwo historii narodowej i piśmiennictwa polskiego. Dodał, że jedynie Polacy zachowali odrębną kulturę w ramach cywilizacji łańskiejskiej, mimo oddziaływania cywilizacji bizantyńskiej i turańskiej. Zdaniem historyka nie można także zapomnieć, że „my daliśmy Słowiańszczyźnie” wybitnych uczonych i największych artystów, a wśród nich przede wszystkim czołowych poetów³. Po zakończeniu wydawania „Świata Słowiańskiego” w 1914 r. Koneczny pracował ponad rok w „Głosie Narodu” jako zastępcą redaktora naczelnego.

AKADEMICKA HISTORIA ROSJI

Podczas I wojny światowej, po przymusowej ewakuacji mieszkańców Krakowa, zamieszkał z rodziną we wsi Stare Hamry na Morawach. Po wojnie ubiegał się o uzyskanie habilitacji na podstawie pracy opublikowanej w 1917 r. pt. *Dzieje Rosji do roku 1449*, stanowiącej pierwsze syntetyczne ujęcie historii Rosji autorstwa Polaka. Opracowanie zostało skierowane do polskiego odbiorcy znającego szczegółowo historię rodzimą, głównie przedstawioną przez Michała Bobrzyńskiego, a wybiórczo zaznajomionego z dziejami Rosji. Adresatami byli zatem przede wszystkim czytelnicy z zaboru austriackiego lub pruskiego. Koneczny pragnął jednak, by również podlegający carowi, którzy wówczas zapoznali się wyłącznie z oficjalną interpretacją dziejów, mogli ostatecznie poznać rzeczywistość. Publikacja Konecznego była zatem przeznaczona dla osób, które posiadały wiedzę o Polsce, a które historię Rosji przyswoiły sobie jedynie z prac rosyjskich uczonych.

Następnie ukazały się dwie kolejne rozprawy poświęcone Rosji: *Dzieje Rosji od najdawniejszych do najnowszych czasów* (1921), *Litwa a Moskwa w latach 1449–1492* (1929), ale pionierski charakter ujawniła gotowa do druku w 1930 r. praca *Dzieje Rosji. Schyłek Iwana III 1492–1505*, mająca ukazać się analogicznie do poprzedniej nakładem

³ F. Koneczny, *Słowianoznawstwo a słowianofilstwo*, „Świat Słowiański” 1913, nr 98, s. 67.

Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Ostatecznie do tego jednak nie doszło, głównie ze względu na skoncentrowanie się przez Konecznego na historiozofii. Dodatkowo wybuch II wojny światowej, a po jej zakończeniu objęcie władzy w Polsce przez komunistów uniemożliwiły druk w kraju. Pracę opublikowano w Londynie 35 lat po śmierci twórcy i 54 lata po jej napisaniu. Autor wprowadził do polskiej nauki nieznane wydarzenia dotyczące Iwana III Srogięgo. Klasyczne wątki wzbogacił elementami rozważań nad sensem historii. Nowatorstwo na tej płaszczyźnie odnosi się do łączenia dziejów politycznych z historią kultury. Wydana dopiero w 1984 r. monografia przywództwa Iwana III nie zajęła godnego miejsca w nauce, mimo że interpretacja zebranego materiału przez Konecznego stanowiła spójną część koncepcji rosyjskiego procesu dziejowego.

KATOLICKIE DZIEJE POLSKI

Przedmiotem zainteresowania Konecznego stały się także dzieje ojczyste. W pracach poświęconych historii Polski za czasów panowania Piastów i Jagiellonów widoczne są osobiste inklinacje Konecznego, związane z chrześcijańskim światopoglądem, m.in. w postaci nadawania reprezentantom Kościoła katolickiego szczególnych zasług dla narodu polskiego. Przejawy katolickiego spojrzenia dostrzegalne są także w *Dzie-*

■ BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO – SALA FRANCISZKA SMUGLEWICZA. FOT. POZNAJWILNO.PL



jach Polski opowiedzianych dla młodzieży. Nie tylko aspekt chrześcijańskich wartości wyłania się z tej publikacji. Na uwagę zasługuje znamienity sposób ukazywania dziejów. Autor prowadząc młodego czytelnika po meandrach historii niemalże jak przewodnik, nie tylko przedstawiał daty i wydarzenia, ale poprzez ukazanie zmian zachodzących w narodzie polskim, starał się przedstawić pewne niezmiennie mechanizmy.

Trzy lata po wydaniu *Dziejów Rosji do roku 1449* zatwierdzono Konecznemu habilitację. Natomiast w 1921 r. powierzono mu kierowanie grupą seminarzystów w zakresie historii Europy Wschodniej w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Nominację na profesora zwyczajnego otrzymał 1 listopada 1922 r. W 1925 r. podczas VI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Poznaniu wygłosił referat *Do metodologii nauki o cywilizacjach*, prezentując główne aspekty teorii cywilizacji. Dwa lata później osiągnął wiek uprawniający do emerytury. Rada Wydziału Humanistycznego USB ceniła działalność 65-letniego wykładowcy, dlatego postanowiła złożyć wniosek do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego o przedłużenie prawa pracy dydaktyczno-naukowej do ukończenia 70. roku życia. Mimo wielu starań Wydziału, Koneczny został przeniesiony na emeryturę nieodwołalnie w lipcu 1929 r. Wówczas powrócił do ukochanego Krakowa. Nie wiadomo, jaki stosunek do postulatów Rady miał sam Koneczny. Zachował się jedynie list, w którym brał pod uwagę odejście na emeryturę ze względu na zły stan zdrowia swojej żony. Podobnie samo przeniesienie historyka w stan spoczynku jest enigmatyczne. Być może powodem było publiczne wyrażanie negatywnego stosunku do rządu sanacyjnego. Pojawiające się w literaturze twierdzenia o zaawansowanym wieku Konecznego⁴, wydają się mało przekonujące, gdyż mimo że miał niemal 70 lat, pisał wiele prac i artykułów, jak okazało się po latach, znakomitych. To po odejściu na emeryturę zaczął tworzyć największe dzieła.

CZYM RÓŻNIĄ SIĘ CYWILIZACJE

Po powrocie do Krakowa, w ramach działalności naukowej zajął się problematyką historiozoficzną, by wreszcie w 1935 r. ukazać całościowy wymiar swojej teorii w rozprawie *O wielości cywilizacji*. Zagadnienia historiozoficzne podjął uczony również w *Rozwoju moralności* i publikacjach wydanych po jego śmierci: *Cywilizacja żydowska*, *Cywilizacja bizantyńska*, *Państwo i prawo w cywilizacji łacińskiej*. Nauka o cywilizacji miała przy-

⁴ P. Biliński, *Feliks Koneczny (1862–1949). Życie i działalność*, Warszawa 2001, s. 144.

czynić się do wyjaśnienia kulturowej różnorodności „metod ustroju życia zbiorowego”, jak pojęcie cywilizacji wyjaśnił Koneczny. Zróżnicowanie cywilizacyjne ujawniało się przede wszystkim w postrzeganiu prawa, etyki oraz pięciomianu bytu, który tworzyły takie wartości: zdrowie, dobrobyt, dobro, prawda i piękno (tzw. *quincunx*). Historiozof zwrócił uwagę, że wobec odmienności percepcji tychże kategorii, synteza pomiędzy cywilizacjami nie jest możliwa. Wymieniając 7 współczesnych mu cywilizacji: żydowską, bramińską, turańską, chińską, arabską, bizantyńską oraz łacińską, wskazał że może dojść do zdominowania jednej przez drugą lub wytworzenia się tzw. szkodliwej mieszanki, rozumianej jako pozorne połączenie cywilizacji mieszkających w tym samym czasie na wspólnym terytorium, co złudnie pozwalałoby na stwierdzenie naturalnej koegzystencji. Wartość teorii cywilizacji dostrzeżono w angielskich i niemieckich kręgach naukowych. W Anglii uznano Konecznego za prekursora Arnolda Toynbee, a profesor Uniwersytetu w Moguncji Anton Hilckman napisał o polskim badaczu, że „to jeden z wielkich geniuszów rodu ludzkiego, jeden z tych, którzy wspólnemu dorobkowi duchowemu Europy zapewнили trwałe zdobycze. [...] Nie waham się uważać Konecznego [...] za najwybitniejszego przedstawiciela historiozofii”⁵.

Kolejnym dokonaniem w działalności naukowej Konecznego towarzyszyły bolesne wydarzenia w życiu prywatnym. W 1935 r. zmarła jego ukochana żona Marcela. W 1943 r. syn, Stanisław Koneczny, aresztowany został za aktywność konspiracyjną, a następnie zamordowany 23 października 1944 r. w Brandenburgu. Podczas Powstania Warszawskiego zginął Czesław wraz z żoną. Ponadto niemiecki Urząd Mieszkaniowy zarekwirował górną część rodzinnego domu, a po wkroczeniu Armii Czerwonej zakwaterowano sojuszników nowego reżimu. Historyk jednak się nie załamał. Z pewnością świadomość konieczności pomocy synowej Wandzie w utrzymaniu niepełnoletnich wnuków, Jacka i Wiesława, sprawiła, że pisał wiele artykułów do „Niedzieli” i „Tygodnika Warszawskiego”. W sierpniu 1948 r. jego synowa zmarła, a następnie zachorował sam Koneczny. Nawet w okresie ogromnego cierpienia, poprawiał i dopracowywał swoje dzieła. Zmarł 10 lutego 1949 r. Choć wokół uczonego skupionych było wielu przedstawicieli środowiska naukowego, w uroczystościach pogrzebowych uczestniczyła głównie rodzina.

⁵ A. Hilckman, *Wschód i Zachód. Filozofia historii*, [w:] F. Koneczny, *O ład w historii*, Wrocław 1999, s. 58.

Koneczny pozostawił po sobie dzieła, w których podejmował tematy właściwe takim dziedzinom, jak antropologia, ekonomia, etnologia, filozofia (etyka), historia, teologia, politologia, prawodawstwo oraz socjologia. Obok prac naukowych i popularnonaukowych napisał ponad 300 artykułów, publikowanych nie tylko na łamach „Świata Słowiańskiego”, „Niedzieli” i „Tygodnika Warszawskiego”, ale także „Przeglądu Powszechnego”, „Ateneum”, „Kwartalnika Historycznego”, „Słowa”, „Ateneum Kapańskiego”, „Tęczy”, „Myśli Narodowej” oraz „Trybuny Narodu”. Jako jeden z nielicznych uczonych wygłaszał wykłady uniwersyteckie dla duchowieństwa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i studentów teologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był człowiekiem wszechstronnym, humanistą w renesansowym znaczeniu, a jednocześnie charakteryzowała go niezwykła skromność, czego dowodzi np. fragment pochodzący z jego *opus magnum* – *O wielości cywilizacji*: „pocieszam się nadzieją, że kwestie [historiozoficzne – K.H.] zdomowią się w nauce polskiej. Z takiego rezultatu byłbym nie tylko zadowolony, lecz szczęśliwy bez względu na to, ile z mej pracy ostoi się, a ile będzie musiało być wycofane wobec dokładniejszych badań mych następców”.

Tekst opracowany na podstawie prac magisterskich autorki: *Problem bezpieczeństwa międzynarodowego w teorii cywilizacji Feliksa Konecznego* (2017, niepubl.) oraz *Feliks Koneczny jako historyk, historiozof i publicysta* (2018, niepubl.).

BIBLIOGRAFIA

Biliński P., *Feliks Koneczny (1862–1949). Życie i działalność*, Warszawa 2001.

Feliks Koneczny, red. P. Skrzydlewski, Kraków 2020.

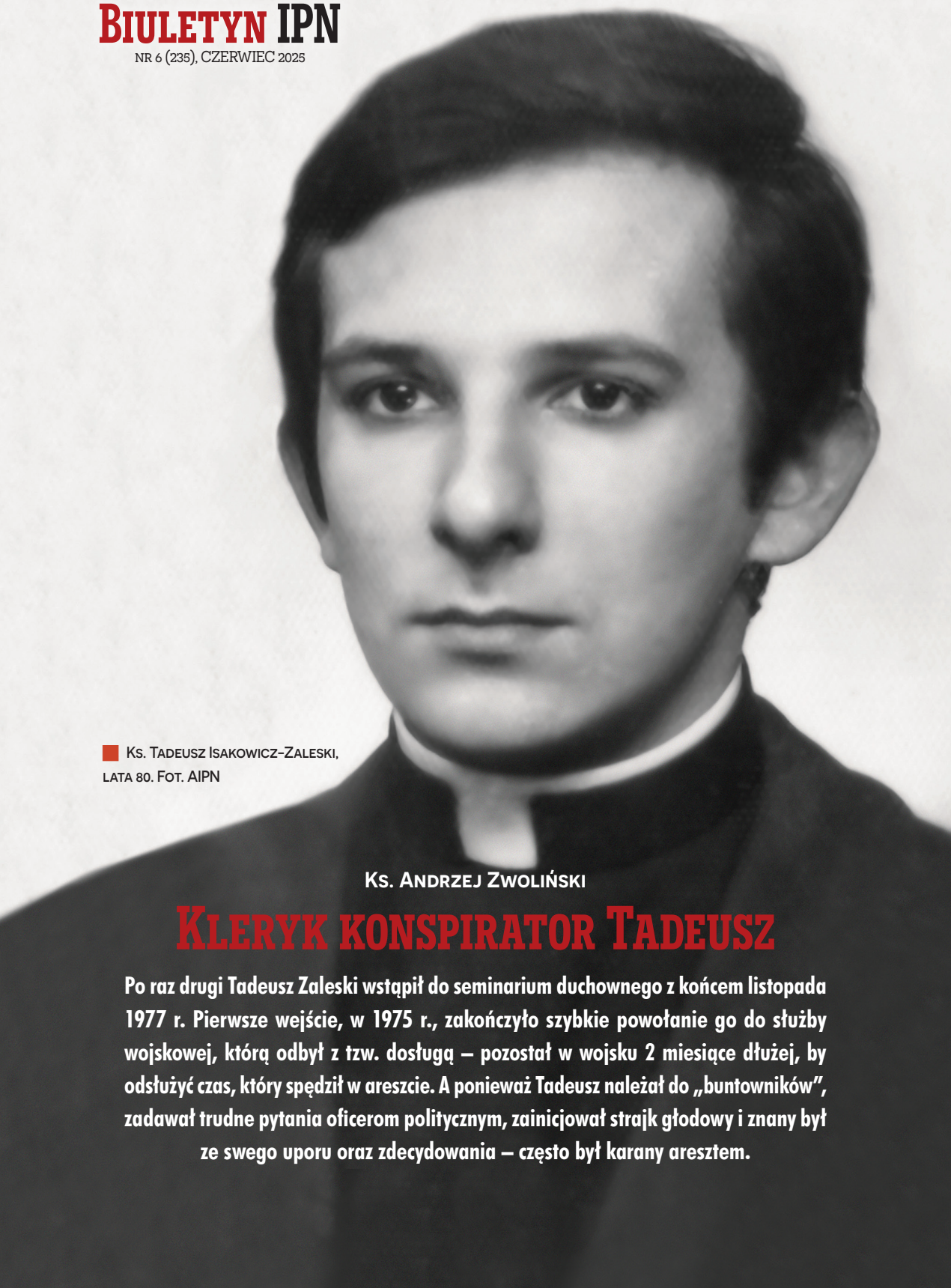
Feliks Koneczny dzisiaj, red. J. Skoczyński, Kraków 2000.

Koneczny F., *Dzieła zebrane*, red. K. Rajski, t. I–XV, Wydawnictwo Miles, Kraków 2021–2025 (m.in. t. IX: *Polskie Logos a Ethos. Roztrząsanie o znaczeniu i celu Polski*; t. XII: *O wielości cywilizacji, Święci w dziejach narodu polskiego t. 1*; t. XIII: *Święci w dziejach narodu polskiego t. 2–8*; t. XIV: *Cywilizacja bizantyńska, O ład w historii*; t. XV: *Cywilizacja żydowska, Państwo w cywilizacji łacińskiej*).

Milcarek P., *Życie Feliksa Konecznego*, 2019, <https://christianitas.org/news/zycie-feliksa-konecznego>.



Katarzyna Helik (ur. 1993) – polonistka i historyk, pracuje w Oddziałowym Biurze Edukacji Narodowej IPN w Łodzi. Autorka wystaw: „Duchowni katolicy z Kraju Warty w niemieckich obozach w Konstantynowie Łódzkim i KL Dachau”, „Św. Maksymilian Maria Kolbe”, „Ks. Jan Zieja”. Autorka książek: *Powiew snu* – wiersze (2014); *Cień Ananke* – wiersze (2016); (współautorka) *Polskie drogi do niepodległości 1914–1918. Wybór źródeł dla szkół* (2020) i in.



■ Ks. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI,
LATA 80. FOT. AIPN

Ks. ANDRZEJ ZWOLIŃSKI

KLERYK KONSPIRATOR TADEUSZ

Po raz drugi Tadeusz Zaleski wstąpił do seminarium duchownego z końcem listopada 1977 r. Pierwsze wejście, w 1975 r., zakończyło szybkie powołanie go do służby wojskowej, którą odbył z tzw. dostugą – pozostał w wojsku 2 miesiące dłużej, by odsłużyć czas, który spędził w areszcie. A ponieważ Tadeusz należał do „buntowników”, zadawał trudne pytania oficerom politycznym, zainicjował strajk głodowy i znany był ze swego uporu oraz zdecydowania – często był karany aresztem.



Od początku w grupie seminarzystów zasłynął jako ten, który „siedział w areszcie” – co nie było częstym przypadkiem wśród kleryków. Musiał odpowiadać na liczne pytania, wszyscy go wskazywali jako przykład człowieka upartego i zdecydowanego. Zyskał sławę i był popularny wśród licznej braci kleryckiej. Przy okazji wielu dowiedziało się, co on myśli o seminarium, ślepym posłuszeństwie, rygorze wobec dorosłych kleryków oraz regulaminie. Nie krył swej opinii, chociaż też nigdy nie prowokował radykalnych wypowiedzi. Dał się poznać jako prawdomówny, szczerzy, znający się świetnie na historii Polski, zwłaszcza dawnych Kresów. Pokazał nam zdjęcia cmentarza Łyczakowskiego stratanego gęśnicami sowieckich czołgów, rozwalone figury sprzed katedry ormiańskiej we Lwowie – zrobił je tam z ojcem w czasie wyprawy, tuż przed pierwszym wejściem w progi seminaryjne. Wielu zachwycił bogatymi dziejami utraconych przez Polskę ziem.

Prowadził też, jak wszyscy, normalne, codzienne życie seminaryjne: wczesne wstawanie, rozmyślanie w kaplicy (wtedy często pisał wiersze), uczestnictwo we Mszy św., wykłady, godziny uczenia się, zdawanie egzaminów (miał do odrobienia jeden rok, który „wojskowi” przeskakowali w trakcie studiów), nabożeństwa, wieczorna cisza i sen. Jak wszyscy. Aż przyszedł pamiętny rok 1978, wybór papieża.

WOJTYŁA PAPIEŻEM

16 października 1978 o godz. 18.15, jak w każdy dzień tego miesiąca, wszyscy zebrali się w kaplicy na nabożeństwo różańcowe. Zaraz po nim, kiedy celebrians odszedł od ołtarza, o 18.43, na chórk, gdzie siedzieli diakoni, zrobił się szum. Nagle organy zagrały *Te Deum*, wszyscy wstali. Tak jeszcze nigdy wcześniej ten hymn w kaplicy nie zabrzmiał. Siedzący na dole jakoś się dowiedzieli, że mamy papieża. Ale kto nim został? Na chórk już wiedzieli, bo przynieśli z sobą na nabożeństwo radio. W czasie śpiewu podawano sobie z ust do ust: „Nasz kardynał papieżem!”. Dreszcz przeleciał po plecach, łzy napłynęły do oczu – nieprawdopodobne! Kiedy umilkł śpiew, na środek kaplicy wyszedł błąd jak śnieg ojciec duchowny, ks. Stanisław Nowak. Drżącym ze wzruszenia głosem udokumentował zasłyszana wieść: „»Habemus Papam!« – jest nim nasz kard. Karol Wojtyła, który przyjął sobie imię Jan Paweł, tak jak jego poprzednik”. Informacje te przekazali mu diakoni, którzy – nielegalnie – nasłuchiwali podczas nabożeństwa radia.

Po otrzymaniu tak radosnej wieści wszyscy się ściskali, płakali i w tej radości ze śpiewem na ustach pobiegli do refektarza. Nikt prawie nie jadł kolacji, jedni krzyczeli,



■ GRUPA LUDZI NA COKOLE POMNIKA ADAMA MICKIEWICZA W DNIU PRZYBYCIA DO KOŚCIOŁA MARIACKIEGO PAPIEŻA JANA PAWŁA II. NAPIS NA TRANSPARENCIE: „JESTEŚMY Z TOBĄ PAPIEŻU NADZIEI”, 9 CZERWCA 1979 R. FOT. AIPN

inni siedzieli przygłuszeni, jeszcze do nich nie dotarło. Zaraz po kolacji odezwały się głosy, by iść na Rynek, na Wawel – by się cieszyć. Delegacja kleryków udała się do przełożonych z prośbą o zgodę na wyjście. Ksiądz wicerektor Jerzy Chmiel właściwie stracił głowę, nie wiedział, co począć – rektor, ks. Franciszek Macharski był wtedy w Rzymie. Klerycy chcieli iść dzwonić Zygmuntem, mieli przecież najbliżej na Wzgórzu Wawelskie, ale wicerektor stwierdził w wielkim zamieszaniu: „Nie było takiej tradycji!”. Argument, że „to przecież pierwszy polski papież!”, nie przemawiał. O godzinie dwudziestej Zygmunt się rozkołysał. Dzwonili dominikanie i jezuici.

Telefon do seminarium: w kościele św. Józefa na Podgórzu będzie dziękczynne nabożeństwo. Zdecydowano, że klerycy mogą w nim wziąć udział. Wszyscy wybiegli na ulice. Ktoś zaintonował *Boże, coś Polskę* – samochody się zatrzymują, ludzie z tramwajów pytają „Co się dzieje?” – jeszcze nie wiedzą. Do grupy krakusów dołączyli klerycy z innych seminariów, księża z krakowskich parafii, studenci, przechodnie. Potężny tłum



■ NIEPEŁNOSPRAWNI W STROJACH KRAKOWSKICH PROWADZĄ
KS. TADEUSZA ISAKOWICZA-ZALESKIEGO DO OŁTARZA
W CZASIE MSZY ŚW. PRYMICYJNEJ, 1983 R. FOT. FACEBOOK

maszeruje na Podgórze i śpiewa: „Ojcem Świętym nasz kardynał”. Otwierają się okna, ludzie rzucają kwiaty, płaczą. Trudno słowami oddać to, co każdy wtedy przeżywał – szal radości. W kościele na ołtarzu ustawiono telewizor i oglądaliśmy pierwsze wyjście Jana Pawła II na balkon i błogosławieństwo. Pełni euforii klerycy udali się potem w kierunku Rynku. Tutaj było już tłoczno, studenci przynieśli fotografie Ojca Świętego – czarno-białe z błędnym napisem „papierz” powielonym w pośpiechu. Pojawiły się sztandary w barwach narodowych i papieskich. Milicja wtedy była zupełnie zaskoczona, nie reagowała, dezorientacja zupełna. Tego się komuniści nie spodziewali. To, co budowali tyle lat od wojny, runęło w jednym momencie. Wszyscy się cieszyli, nawet niewierzący i partyjni. O godzinie dwudziestej czwartej na Wawelu księża przełożeni seminarium, Kapituła i księża pracujący w kurii odprawili Mszę św. dziękczynną. Kolejne dni to także obłężenie seminarium. Dziennikarze pytali o wszystko, telewizje z całego świata filmują różne miejsca w seminarium, którego były alumn został papieżem.

A potem zaczęły się przygotowania do przyjazdu papieża z pierwszą pielgrzymką do Ojczyzny, która rozpoczęła się 2 czerwca 1979 r. Do Krakowa Ojciec Święty przybył 6 czerwca. Podzieleni na robocze zespoły klerycy pełnili funkcję porządkowych w pobliżu budynku kurii, jak i na trasie przejazdu papieża. Wielkie tłumy zachowały porządek i ład, także dzięki posłudze kleryków. Kleryk Tadeusz wspominał: „Mnie wyznaczono dyżur pod kurią. Na początku byłem trochę zmartwiony, że nie będę mógł brać udziału w żadnych uroczystościach. Później jednak nie żałowałem. Staliśmy pod kurią dzień w dzień po 18 godzin, od świtu do pierwszej, drugiej w nocy. Pięty mi od tego popuchły, musiano mi je później bandażować. Ochrony jako takiej wtedy jeszcze nie było. My, klerycy, rozciągaliśmy wzdłuż całej Franciszkańskiej sznury, żeby jakoś kierować ruchem ludzi. Ludzie przychodzili o świcie, stali przez cały dzień, modlili się, śpiewali, układali kwiaty. Papież co wieczór wychodził do okna. W nocy przyjeżdżała polewaczka, zmywała kwiaty z ulicy, ale rano były nowe. Najtrudniej było wtedy, kiedy tłum zaczynał napierać i przesłakiwać sznury albo kiedy rzucali się na nas dziennikarze. Zdarzały się też zabawne incydenty, np. kilku moich kolegów nie chciało wpuścić do budynku kurii abp. Poggiego, który mieszkał naprzeciwko, u franciszkanów, i nie miał przepustki. W nocy przechadzał się między nami – odpowiedzialny za bezpośrednią ochronę papieża – bp Marcinkus, którego nazywaliśmy »Bosmanem«, bo chodził w sportowych spodniach i palił fajkę. Któregoś dnia papież wyszedł do kleryków, którzy zebrali się na wewnętrznym dziedzińcu kurii. Nie mógł mówić, bolało go gardło, więc rzucił w tłum piłkę”. Wydarzenia te wywarły ogromne wrażenie na kleryku Tadeuszu, napisał o tym w autobiografii *Moje życie nielegalne*¹.

Gdy Ojciec Święty odleciał do Rzymu, seminarium powróciło do normalnego, sesyjnego życia. W tym „papieskim roku” o przyjęcie do seminarium poprosiło ponad 90 młodych ludzi, z których ponad 60 zostało wyświęconych.

PATRIOTYZM

W „czas solidarności” (1980–1982) grupa kleryków krakowskich, do której należał Tadeusz, mocno angażowała się w sprawy patriotyczne. Był on jednym z głównych inicjatorów wielu akcji mających uzupełnić formację seminaryjną o ten wątek. Organizował je również dlatego, że kiedy był na V roku, został wybrany głosami większo-

¹ T. Isakowicz-Zaleski, *Moje życie nielegalne*, Kraków 2008, s. 44–48.

ści kleryków całego seminarium do pełnienia funkcji wicedziekana – reprezentanta wszystkich kleryków przed władzami seminaryjnymi. Tradycyjnie dziekanem zostawał student VI roku, w tym wypadku był to wyraz zaufania do Tadeusza i docenienie jego osobistej postawy. To był także głos poparcia dla wcześniejszych jego działań, które przeprowadzał dzięki kontaktom ze znanymi ludźmi Solidarności, pisarzami, dziennikarzami, profesorami. Znał wielu ludzi z opozycji antykomunistycznej (Studenckiego Komitetu Solidarności, kręgu lubelskich „Spotkań”), publikował teksty w pismach poza cenzurą („Spotkaniach”, „Krzyżu Nowohuckim”), używając pseudonimów (Jacek Partyka, Jan Kresowiak, Ksiądz Robak), organizował kolportaż wielu „zakazanych publikacji”, sam też rozprowadzał „bibułę”.

Już w 1980 r. uzupełniono program studiów w seminarium o wykłady z „białych plam” historii Polski. Prowadził je Andrzej Sulikowski, który przy tej okazji przynosił „bibułę” do seminarium i wypożyczał niedostępne gdzie indziej druki. Poznawaliśmy prawdziwą historię literatury, zakłamywaną przez system komunistyczny.

Wicedziekan, kleryk V roku, Tadeusz zgłosił prośbę wszystkich kleryków, a ks. rektor (Stanisław Nowak) zezwolił na dodatkowe, dobrowolne spotkania na temat historii Polski w wątkach ocenianych przez oświatowe władze komunistyczne, np. zesłania



Polaków, sowieckie ludobójstwo, zbrodnia katyńska czy pomijane w ówczesnym programie szkół średnich motywy literatury: Czesława Miłosza, Józefa Mackiewicza, Marka Hłaski... W pamięci pozostały zwłaszcza zajęcia z profesorami z Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy przynosili ze sobą publikacje emigracyjne i drugiego obiegu. Wśród zaproszonych byli z odczytami Tadeusz Żychiewicz, Jacek Woźniakowski, ks. Stanisław Małkowski, który mówił o obronie życia poczętego, i wielu innych. Spotkania organizował Tadeusz, korzystając ze swoich osobistych znajomości. On też podsuwał kolejne inicjatywy. I tak np. gdy 18 lutego 1981 r. strajkowała młodzież akademicka Krakowa, do akademików udała się delegacja kleryków,

zanosząc im 300 egzemplarzy tekstów *Modlitwy strajkującej młodzieży akademickiej w Krakowie* wraz z obrazem Matki Bożej Ostrobramskiej – warto przypomnieć, że był to wówczas wizerunek zakazany przez cenzurę komunistyczną.

Wicedziekan Tadeusz wielokrotnie powracał do wątków Solidarności, np. podczas swych oficjalnych wystąpień przed władzami seminaryjnymi w momencie składania życzeń. Często brał udział w spotkaniach solidarnościowych, jak np. Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego w Mistrzejowicach, w zebraniu założycielskim Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego „Solidarności” czy wiecu studentów UJ na ul. Grodzkiej we wrześniu 1981 r. Reprezentował wielką grupę studentów – kleryków, których z początkiem 1982 r. było już ponad 400. Gdy w maju 1981 r., jako wicedziekan kleryków, wystąpił na Radzie Wydziału z postulatami nowych inicjatyw, uznano to za próbę stworzenia grupy solidarnościowej wśród kleryków, a więc za coś bardzo niebezpiecznego. Dla odsunięcia zagrożenia „politykowania”, po święceniach diakonatu we wrześniu 1981 r. Tadeusz został wysłany na tzw. praktyki do parafii św. Mikołaja w Chrzanowie. Odczytano to jako karne odsunięcie od społeczności seminaryjnej.

Gdy 13 grudnia 1981 r. ogłoszono stan wojenny, aktywność Tadeusza była coraz bardziej krytykowana przez przełożonych. Jego działania uznawano za prowokujące i niepotrzebne, nieliczące ze stanem przyszłego duchownego. On jednak nadal utrzymywał kontakty ze środowiskiem kleryków. Za jego sugestią diakoni poprosili ks. rektora o możliwość, zgodnie z propozycją Ojca Świętego, zapalania świec w oknach 13 dnia każdego miesiąca i modlitwy w kaplicy w intencjach Polski. „Modlitwa świec” znaczyła cały budynek światłem płomyków, znakiem solidarności ze wszystkimi internowanymi i więzionymi. Rektor zgodził się na tę modlitwę, a przekonało go nasze powołanie się na znak zapalanej świecy w oknie Papieskiego Pałacu w Watykanie i wyraz jedności z jego modlitwą za Ojczyznę.

Po wprowadzeniu stanu wojennego grupa diakonów zawiązała w seminarium, bez wiedzy przełożonych, tajne Kleryckie Stowarzyszenie Niepodległościowe „Polonia”. Nazwa nawiązywała do kleryckiej grupy Polaków studiujących w Akademii Duchownej w Piotrogradzie, założonej w 1914 r. przez Ignacego Skorupkę, który zginął jako kapłan, w wieku 27 lat, podczas Bitwy Warszawskiej w 1920 r. W ramach działalności tamtej tajnej kleryckiej grupy studenci przygotowywali pogadanki patriotyczne i czytali polską literaturę. Symbolem krakowskiej grupy był napis „Polonia”, wpisany w rozszerzoną kotwicę, co było nawiązaniem do znaku Polski Walczącej. Do grupy weszło 6 diakonów, którzy podpisywali specjalne przyrzeczenie na wierność Polski w każdy czas i w każdej okoliczności. Obiecywali także pracować na rzecz wychowania patriotycznego młodego pokolenia, umiłowania ziemi ojczyстей, szerzenia kultury polskiej. Tajny charakter i zo-



■ Ks. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI
PO ZAMACHU NA JEGO ŻYCIE W 1985 R.
FOT. PRSA.PL

bowiązanie do tajemnicy miały ułatwić działanie w czasie stanu wojennego. Sygnatariuszami deklaracji byli m.in. dk. Stanisław Koller, dk. Tadeusz Zaleski, dk. Zbigniew Oczkowski, dk. Antoni Bednarz, dk. Szymon Górny i dk.

Andrzej Zwoliński. Powołany wówczas tajny klerycki Krakowski Instytut Kultury Chrześcijańskiej „Polonia” stworzył podziemne wydawnictwo.

Drukarzem „Polonii” był introligator zatrudniony w drukarni Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Krakowie. Wykrażał tam papier, którego nie można było kupić, przygotowywał na maszynach „partyjnych” wydruki i przynosił je w dużej torbie do seminarium. Członkowie „Polonii” i inni koledzy z rocznika rozkładali te kartki w salach wykładowych i zszywali, oczywiście w tajemnicy przed przełożonymi. Gotowe materiały były rozprowadzane wśród kleryków, którzy zaopatrywali w nie także swych znajomych duchownych i proboszczów rodzinnych parafii. Nakłady były z konieczności niewielkie, zazwyczaj ok. 300 egzemplarzy każdej z publikacji.

„POLONIA” WYDAŁA SAMODZIELNIE:

- Adam Mickiewicz, *Zdania i uwagi*, sygnowane „Polonia”, brak roku i miejsca wyd., 18 s. To jedyna część dzieł wieszczka, która nie weszła do całościowego komunistycznego wydania jego dzieł;
- Melchior Wańkowicz, *Dzieje rodziny Korzeniewskich*, sygnowane „Polonia”, bez miejsca i roku wyd., 47 s. To spisane dzieje pewnej polskiej rodziny, która przez Gólgotę Wschodu (Syberię) i zesłania wyginęła;
- *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów. Z przedmową gen. Andersa*, sygnowana „Polonia”, bez miejsca i roku wyd. To kopia londyńskiego wydania słynnego dzieła, niedostępnego i zakazanego w Polsce komunistycznej;

- Antoni Zagórski, *Projekty ołtarzy na Boże Ciało, Grobów Pańskich i Żłóbków*, sygnowane „Polonia”, bez miejsca i roku wyd. Gotowy zestaw projektów graficznych na okolicznościowe dekoracje kościołów, związane z wydarzeniami historycznymi, o patriotycznym akcencie;
- W 1982 r. grupa diakonów wydała śpiewnik *Naszej Matce*, który zawierał wiersze i nowe piosenki poświęcone Matce Bożej. Wydrukowany jako publikacja Duszpasterstwa Młodzieży Archidiecezji Krakowskiej, sygnowany był dodatkowo symbolem „P” – jako skrót Kleryckiego Stowarzyszenia Niepodległościowego „Polonia”.

* * *

14 lutego 1982 r. miały miejsce w Krakowie święcenia kapłańskie grupy kleryków, którzy wcześniej byli w wojsku. Decyzja przełożonych była podyktowana stanem wojennym i obawą o możliwość zablokowania święceń, a nawet przejęcia budynku seminaryjnego przez władze „stanu wojennego”. Resztę rocznika 1982 wyświęcono 16 maja 1982 r.

Tadeusz Isakowicz-Zaleski nie był święcony z całym rocznikiem. Skazany na rok karnej praktyki diakańskiej konspirator płacił kolejny raz ofiarę za swe poczucie wolności, solidarności i niepodległe serce. Święcenia otrzymał rok później, 22 maja 1983 r., w katedrze wawelskiej, z rąk kard. Franciszka Macharskiego. Po święceniach kapłańskich był wikariuszem w Zabierzowie Bocheńskim (1983–1985); pomocą duszpasterską w Krakowie – Woli Justowskiej (1985–1988), a w końcu duszpasterzem w Radwanowicach (od 1988), gdzie założył Fundację im. św. Brata Alberta dla dzieci niepełnosprawnych. Pozostał do końca niezależny i niezłomny.



Ks. Andrzej Zwoliński (ur. 1957) – socjolog i teolog, prof. dr hab., kierownik Katedry Katolickiej Nauki Społecznej na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie. Autor książek: *Głos społecznego nauczania Kościoła w dyskusjach politycznych II Rzeczypospolitej* (1993); *Anatomia sekty* (2004); *Reinkarnacja i wędrówka dusz* (2008); *Encyklopedia końca świata* (2009); *Leksykon współczesnych zagrożeń duchowych* (2009); *Leksykon terapii alternatywnych* (2013); *Nastolatek we współczesnym świecie. Przewodnik dla rodziców i wychowawców* (2016); *Barwy świętości. Postaci i hasła* (2022); *Cyber pułapka. Jak internet, sztuczna inteligencja i wirtualna rzeczywistość skutecznie niszczą cywilizację* (2023); *Św. Józef. Biografia ilustrowana* (2024); *Brama życia wiecznego. Śmierć kliniczna i życie po śmierci, Near Death Experience. Dowody, świadectwa, katolicka ocena* (2025) i in.

STANISŁAW KOLLER

POKORA JAKO ODMOWA ISTNIENIA POZA BOGIEM

WSPOMNIENIE Z WOJSKA O TADEUSZU ISAKOWICZU-ZALESKIM

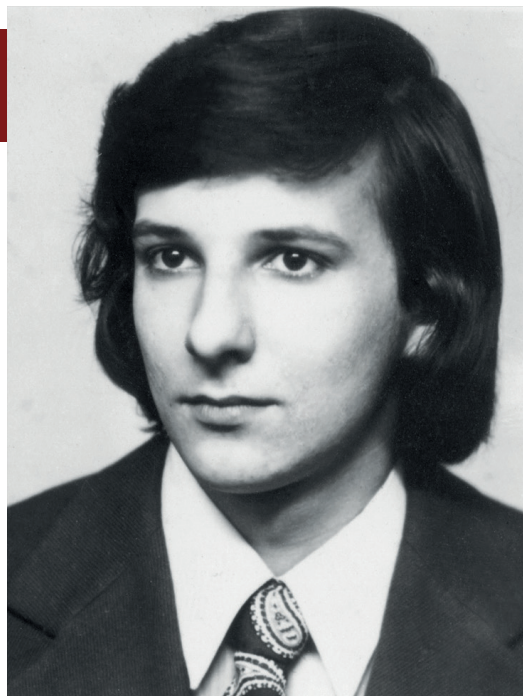
Przed wstąpieniem do seminarium cała nasza czwórka знаła się z widzenia. Jan Abrahamowicz, Stanisław Sarna i ja uczęszczaliśmy do XIII Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie, a Tadeusza znaleźliśmy z różnych spotkań oazowych. Jakież było nasze zaskoczenie i radość, kiedy we wrześniu 1975 r. spotkaliśmy się wszyscy na pierwszym roku studiów teologicznych w Wyższym Seminarium Duchownym w Krakowie.

DOBRE JEST BYĆ RAZEM Z TYMI, KTÓRZY SIĘ PRZYJAŹNIĄ

Nieoczekiwanie, tuż po rozpoczęciu studiów, ponad 30 kleryków z pierwszego roku, w tym nasza czwórka, otrzymało karty powołania do wojska. Ostatecznie wcielono 21. Mieliśmy po 19 lat, młodzieńcze wyobrażenie o świecie, idealistyczne marzenia, byliśmy pełni zapału i gotowi na trudy zmagania się z rozeznawaniem naszego powołania – czy pójście za Jezusem to nasza droga? Teraz mieliśmy to wszystko zostawić, żeby odbyć 2-letnią służbę wojskową. To nas podłamywało. Nie dlatego, że baliśmy się trudów służby wojskowej, ale dlatego, że perspektywa ukończenia studiów przesuwiała się w czasie bardzo daleko – o całe 8 lat. To niezwykle dużo dla młodego człowieka. Okazało się, że weryfikacja naszego powołania nabrała w wojsku wyjątkowej intensywności.

W ramach represji stosowanych wobec Kościoła katolickiego w Polsce władze komunistyczne nie uznawały Wydziałów Teologicznych Wyższych Seminariorów Du-

chownych za uczelnie wyższe, a kleryków za studentów. Konsekwentnie od 1955 r. powoływano co roku wybraną grupę kleryków do wojska; nie była to zwyczajna służba. W początkowym okresie rozmieszczano ich pojedynczo po całej Polsce, aby nie mogli się kontaktować z innymi. Liczono, że oderwanie od seminarium osłabi ich ducha i tym samym zmniejszy szeregi kandydatów do święceń. Od 1964 r. realizowano inny wariant – kle-



racy byli koszarowani w kilku jednostkach, które podlegały bezpośrednio Głównemu Zarządowi Politycznemu ludowego Wojska Polskiego. Prowadzono w nich działania mające zniechęcić kleryków do kontynuowania studiów teologicznych.

O tym wszystkim nie mieliśmy wówczas zbyt wielkiego pojęcia. Na duchu podnosiła nas świadomość bycia razem w tych trudnych chwilach. Wojsko związało naszą czwórkę przyjaźnią, która przetrwała całe życie. Rankiem 29 października 1975 r. szliśmy ulicami Krakowa na dworzec i śpiewaliśmy: „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani, że twego rzemiosła uczą się kapłani”. Wiedzieliśmy tylko tyle, że przed nami wielka niewiadoma. Tadeusz, który w przeddzień miał imieniny, żartował, że nie na darmo jego patron jest od spraw trudnych i beznadziejnych.

WY SIĘ TUTAJ NAUCZYCIE ZABIJAĆ

Po przyjeździe do Brzegu nad Odrą trzymaliśmy się razem. Najpierw udaliśmy się na plebanię kościoła św. Mikołaja, aby poznać naszych księży opiekunów i być na Mszy św. Dopiero późnym wieczorem z grupą wszystkich powołanych do wojska kleryków przybyliśmy do koszar Jednostki Wojskowej 4446. Mimo stresu dobre nastroje wszystkim dopisywały. Przy wchodzeniu na kompanię jeden z kolegów, widząc stojącego w dyżurce oficera ze srogą miną, przełożył rękę przez okienko

i zażartował: „Całuj, bo jak będę biskupem to się nie dopchasz”. Może to było głupie, ale byliśmy tylko wyrośniętymi dziećmi i w ten sposób dodawaliśmy sobie odwagi.

W koszarach ustawiono nas w dwuszerę na kompanii, a kapitan Nogal wykrzyczał nam, że wojsko to nie przedszkole, że myśmy się celowo spóźnili, dlatego nie dostaniemy już kolacji, a dzień spóźnienia odsłużymy dodatkowo przy wyjściu do cywila. Widząc nasze dziecinne miny, grzmiał: „Co wy sobie wyobrażacie! Jesteście w wojsku! Wy się tutaj nauczycie zabijać”. To nas chyba otrzeźwiło. Później rozważaliśmy te słowa z Tadeuszem. Czy młody człowiek przygotowujący się do kapłaństwa może wyrazić wewnętrzną zgodę na deprawowanie sumienia do zabijania? Stały przed nami dylematy: jak przeżyć wojsko, aby nie zdeformować sumienia? Na co będzie można się zgodzić, a czemu trzeba będzie się przeciwstawić? Gdzie leżą czerwone linie posłuszeństwa, których – w przypadku konfliktu rozkazów dowódców z nakazami sumienia – przekraczać nie wolno? Przez całą służbę Tadeusz stawał zawsze po stronie głosu swojego sumienia i do końca życia był jego świadkiem. Kiedy skierowano nas do izb żołnierskich, zmówiliśmy modlitwę i położyliśmy się spać.

KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE... NIE ZAPOMNIJ O NAS BOŻE

Nazajutrz rozpoczęły się czynności formowania batalionu. Wywoływano nas ze świetlicy po nazwiskach czwórkami do sztabu.

Do pierwszych czynności należały strzyżenie, kąpiel, oddanie odzieży cywilnej, pobranie sortów mundurowych, przydział do drużyn. Po ostrzyżeniu na „gołą pałę” wszyscy poczuliśmy się mali i zagubieni. Pozbawienie włosów odczuliśmy jak zdeptanie osobowości. Następnie w porze południowej zabrano nas na stołówkę na obiad. Przy stolikach siedzieliśmy drużynami. Nam udało się z Tadeuszem tak usiąść, żeby być jak najbliżej siebie. Trzymaliśmy się tej zasady zawsze, dopóki byliśmy w tym samym plutonie. Bliskość i kontakt wzrokowy bardzo pomagały, dodawały otuchy.

Pierwszy obiad był dla nas szokiem. Cynowe talerze były niedomyte i tłuste. Jedzenie nieapetyczne i niedobre (zjedliśmy chyba tylko kilka łyżek zupy i ziemniaków), wszystko stawało nam w gardle. Z przerażeniem patrzyliśmy na to, co się wokół nas działo. Na stołówce – wydającej w ciągu 2 godzin w 4 dużych salach od 900 do 1 tys. obiadów – panował niesamowity harmider. Przepychanki, nieustan-



■ KOŚCIÓŁ ŚW. MIKOŁAJA W BRZEGU. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

ny tupot butów, przekleństwa, pohukiwania, wrzaski dowódców drużyn, „koty” (tak nazywano żołnierzy nowego poboru) rzucające się do okienka po obiad. Wszystko to robiono w biegu, bo kiedy dowódca drużyny kończył swój obiad, to padała komenda: „Powstań! Wychodzić!” i kto nie zdążył zjeść czy nawet dostać obiadu, musiał natychmiast biec ze swoją drużyną. „Fala”, czyli żołnierze kończący za kilka miesięcy służbę, krzykiem meldowali liczbę i z głośnym hukiem walili misami w stos cynowych talerzy leżących na podłodze. Wszystko to było dalekie od kultury posiłku w domu czy w seminarium i przypominało nam raczej jaskinię zbójców. Nam, na szczęście, dano czas na zjedzenie, ale i tak prawie wszystko wyrzuciliśmy do zlewek dla świń.

Po obiedzie kilkugodzinna musztra na placu apelowym, aż do zmęczenia i otarcia nóg w nowych, niedopasowanych jeszcze butach. Potem kolacja podobna do obiadu, przymusowe oglądanie Dziennika Telewizyjnego, sprzątanie rejonów, mycie – 3 osoby do 1 umywalki i 1 minuta na umycie się – oraz capstrzyk. O 22.15 zeszliśmy z łóżek i wspólnie zaczęliśmy odmawiać modlitwę wieczorną. Nie była długa, ale wspólna. Dawała nam poczucie jedności i siły, zbliżała do siebie. Żołnierze świeccy, przeklinając, wybiegli na korytarz, z krzykiem wzywali oficera dyżurnego. Słyszeliśmy, że tak jest na całej kompanii. Oficer dyżurny i dowódcy drużyn byli już na to przygotowani. Wbiegli do izb i krzykiem zmuszali nas do powstania, niektórych siłą stawiali na nogi.

Następnie zarządzono na korytarzu zbiórkę w dwuszeregu. Staliśmy w pidżamach na baczność do dwudziestej trzeciej. Przez otwarte (chyba specjalnie) drzwi wejściowe na kompanię ciągnęło po kostkach zimne powietrze. Oficer dyżurny i dowódcy drużyn chodzili tymczasem wokół nas i wydzielali się: że łamiemy rozkazy, że za złamanie rozkazu zostaniemy ukarani aresztem, że jeśli się to powtórzy, to będą karne alarmy dla wszystkich, także świeckich żołnierzy. Po powrocie do izb rozpoczął się drugi akt „żołnierskiego wychowania”. Teraz świeccy skierowali do nas swoje groźby i ultimatum: „Nie mamy zamiaru za was cierpieć. Jeśli będziecie chcieli nadal łamać rozkazy przez modlitwy, to oberwiecie od nas”. Tak minął nam pierwszy dzień z tych 715, które mieliśmy przed sobą.

ZWIERZĘ ŻYJE ZE SWOICH ZĘBÓW, A CZŁOWIEK ZE SWOJEJ MYŚLI

Przez całą służbę wojskową Tadeusz był nieustannie człowiekiem zamyślonym. To była jego szczególna cecha charakteru – rozmyślał nad każdą swoją decyzją, odpowiedzią, taktyką postępowania. Staraliśmy się spotykać codziennie wieczorem. Szliśmy do piwnicy, pod zamkniętą już kantinę lub na III piętro mieszczące magazyn i omawialiśmy miniony dzień. Jednym z pierwszych tematów poruszanych z Tadeuszem była modlitwa. Od początku była ona przedmiotem konfliktu z dowództwem i trwało to przez całą służbę. Wiedzieliśmy, że wspólny wieczorny pacierz jest absolutnie konieczny, ale jak go przeprowadzić. Nie zależało nam na demonstracji. Uznaliśmy, że powinien być niejātrzący i nieprzeszkadzający w odpoczynku pozostałym żołnierzom, a więc przyciszony i krótki, trwały

nie dłużej niż odmówienie Ojcie nasz i Zdrowaś Mario. Komu miałyby to przeszkadzać? Na pewno nie normalnym ludziom. Do takiego konsensusu chcieliśmy dojść (w drugim roku służby w mojej izbie już tak było). Dodatkowo byliśmy zdania, że mamy do tego prawo, ponieważ byliśmy jednostką klerycką. W tym sporze to nie my prowokowaliśmy konflikt, tylko dowództwo.

Drugim ważnym tematem był stosunek do kadry oficerskiej. Zakładaliśmy, że żołnierze zawodowi w naszej jednostce to osoby o przekonaniach ateistycznych i antyreligijnych. Okazało się to nie do końca prawdą. Naszym dylematem było, jak postępować, aby – upraszczając zagadnienie – nawrócić ich. Byliśmy w tym bardzo naiwni, ale traktowaliśmy to jako ważne zagadnienie. W podejmowaniu decyzji braliśmy pod uwagę dwie rzeczy: z jednej strony stawianie oporu ideologii i bezmyślności w służbie, z drugiej strony unikanie stawiania murów wrogości. Akceptowaliśmy odmiennosć poglądów i chcieliśmy, aby kadra to rozumiała. Zastanawialiśmy się, jak mamy postąpić, ale również jak zostać prawidłowo zrozumianymi, by nie prowokować zgorszenia. Niektórzy nasi przełożeni to rozumieli. Z 1 kompanii bardzo pozytywnie zapamiętaliśmy i ceniliśmy sierż. Mierzańca i sierż. Kosa – byli wobec nas nie tylko w porządku, ale i dyskretnie przychylni.

Później najczęstszym tematem naszych rozmów była sytuacja na kompanii, to, co się wydarzyło podczas ćwiczeń, nasze stosunki z żołnierzami świeckimi, co u naszych bliskich w domu i w seminarium. Tadeusz był z charakteru ekstrawertykiem, miał poznawczy stosunek do otoczenia, angażował się w rozmowy i dyskusje. Był inteligentnym i już w młodym wieku czytany młodzieńcem. Dobrze znał historię. Jego argumenty były logiczne i miażdżyły narrację adwersarzy zarówno z kręgu żołnierzy świeckich, jak i dowództwa, któremu pozostawał tylko argument władzy i odwołanie się do nadrzędności rozkazów. Myślę, że już w tym pierwszym okresie zapadła decyzja o zniszczeniu obrazu Tadeusza – miał zostać ośmieszony, zdeptyany i naznaczony kryminalnym stygmatem.

ZMAGANIE SIĘ ZE ŚWIATEM I SOBĄ TO TRUD, KTÓREGO NIE SPOSÓB W ŻYCIU UNIKNAĆ

Dowództwo jednostki wysyłało do rodziny każdego żołnierza oficjalne pismo, że dołoży „wszelkich starań, by w okresie służby wojskowej nabył doświadczenia życiowego, rozwinął swe zainteresowania i umiejętności, a przede wszystkim by

stał się jeszcze bardziej gorącym patriotą i ofiarnym obrońcą naszej Ojczyzny – Polski Ludowej”. Ani słowa o tolerancji potrzeb życia religijnego. W jednostce kleryckiej wspólna modlitwa była tępiona na każdym kroku. Próbowano nas nakłaniać także do ściągnięcia medalików, przeszkadzających jakoby w czynnościach żołnierskich. Nie można było na ścianie czy łóżku zawiesić krzyżyka czy obrazka. Utrudniano wychodzenie na przepustkę, żeby nie można było pójść do kościoła. Propagowano natomiast zachowania, które sprzyjały zeświecczeniu, np. promowano działania laickich kół zainteresowań, funkcjonował Socjalistyczny Związek Młodzieży Wojskowej.

Z tymi formami laicyzacji Tadeusz musiał się mierzyć samotnie. W ramach kary, odizolowania od reszty alumnów, kierowany był w okresie prac poligonowych do robót remontowych w koszarach. W pustych zabudowaniach wykonywały je niewielkie grupy żołnierzy, którzy w okresie służby byli najczęściej karani, i rzeczywiście „świętością” nie grzeszyli. Ich towarzystwo miało zachwiać morale Tadeusza. Na sobotę i niedzielę żołnierze sprowadzali sobie przez dziurę w ogrodzeniu dziewczęta, które zostawały na noc. Wódki także nie brakowało. Tadeusz łamał wtedy regulamin i uciekał „na lewiznę”. Szedł do kościoła na Mszę św., odwiedzał znajomych.

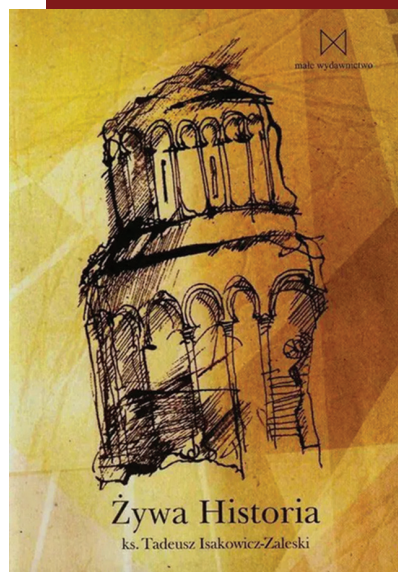
NAJLEPSZYM LEKARSTWEM DLA CZŁOWIEKA JEST DRUGI CZŁOWIEK

O ile przełożeni z seminarium stali na stanowisku, że w starciu z dowództwem, tam, gdzie tylko było to możliwe, powinniśmy schodzić z linii ciosu, to Tadeusz nie unikał potyczek. W ciągu tygodnia mieliśmy 7 godzin zajęć politycznych. Oprócz tego po południu często odbywały się w świetlicy zajęcia o charakterze polityczno-kulturalno-wychowawczym. Poruszane na nich zagadnienia prowokowały do dyskusji, a nierzadko wymagały wyrażenia zasadniczego sprzeciwu. Tadeusz nigdy nie odpuścił. Z tego powodu był wzywany „na dywanik” do oficera ds. politycznych, kpt. Surkonta, lub też ppłk. Mosonia. Później dołączył do nich także oficer kontrwywiadu kpt. Zygmunt Słoniowski. Podczas takich konwersacji oficerowie stosowali wszystkie elementy gry operacyjnej – od kuszenia i prób pozyskania po prowokację, groźby i szantaż. To były psychiczne tortury i po takim maglowaniu Tadeusz potrzebował rozmowy – rozmawialiśmy codziennie wieczorami, ile tylko się dało. Pod koniec listopada 1975 r., w czwartym tygodniu

służby, przy omawianiu z grupą kolegów bieżących napięć Tadeusz wspomniał, że w poprzednim poborze doprowadzeni do ostateczności alumni ogłosili głodówkę. Fragment rozmowy usłyszał jeden z żołnierzy świeckich i doniósł, gdzie trzeba (inny kolega świecki przekazał nam później, że donosiciel dostał za to tydzień urlopu). Tadeusz natychmiast został postawiony do raportu, oskarżony o podburzanie żołnierzy i przygotowywanie strajku głodowego. Dowództwo zaczęło od tamtej pory traktować go jak buntownika i zarazem kozła ofiarnego. Przypisywano mu wszystko, czego nie udało się udowodnić innym. Nieustannie słyszeliśmy na apelach o jego niesubordynacji, prowodyrstwie i antysocjalistycznym zachowaniu.

SIŁA ZŁEGO NA JEDNEGO

Na początku stosowane kary były do zniesienia – nagany i praca poza kolejnością (PPK). Później stały się dotkliwsze – zakaz opuszczania koszar (ZOK) i areszt. ZOK był wyczerpujący fizycznie. Po obowiązkowych zajęciach ukarany żołnierz w pełnym rynsztunku bojowym wykonywał karne ćwiczenia, do których należała musztra, z obowiązkowym defilowaniem przed koszem na śmieci, okrażanie biegiem placu apelowego, czołganie. Często towarzyszyło temu wyrafinowane poniżanie słowne. Stopień represji zależał od oficera nadzorującego karę. Po kilku dniach można było żołnierza doprowadzić zarówno do stanu psychicznego załamania, jak i fizycznego wy-



■ ŻYWA HISTORIA – OKŁADKA.



■ WYDANE W 2024 R.
W SERII „BIBLIOTEKA BIULETYNU IPN”
WSPOMNIENIA KS. HENRYKA PAŚKI,
KTÓRY SŁUŻYŁ W LATACH 70. JAKO
KLERYK W BARTOSZYCACH.

cieńczenia. Tadeusz był jednym z pierwszych w batalionie ukaranych ZOK-iem. A ponieważ był wątłej postury, z trudem znosił ten rodzaj kary.

W przypadku aresztu najtrudniejsze było osamotnienie i pozostawanie w kręgu recydywy. Trafiali do niego nie tylko żołnierze inaczej myślący i naruszający wojskowe regulaminy, ale także z kryminalną przeszłością. W ciągu 2 lat służby Tadeusza karano aresztem wielokrotnie. W większości przypadków kara nie miała podstaw merytorycznych. Regulaminy były tak skonstruowane, aby ich interpretacja leżała w gestii kadry dowódczej. Ukaranie żołnierza zależało wyłącznie od woli przełożonego. A że w założeniach funkcjonowania jednostki kleryckiej ktoś musiał być czarną owcą, więc Tadeusz był karany dla przykładu, na pokaz, w celu zastraszenia pozostałych, a także prewencyjnie, żeby czegoś nie zainicjował. Tak było w okresie strajków w Radomiu i Ursusie w 1976 r. Mieszkaliśmy wtedy na poligonie w Biedrusku, w lesie, pod namiotami. Nie docierały do nas żadne wiadomości. Nagle Tadeusza zabrano z poligonu i przewieziono do aresztu garnizonowego w Biedrusku. Tam koleżeńskie rozmowy Tadeusza z żołnierzami zakwalifikowano jako antysocjalistyczne i antypaństwowe. Rozwścieczony komendant, chcąc mieć spokój w podległym sobie areszcie, odesłał go do aresztu w Brzegu.

Tadeusz wszystkie kary znosił cierpliwie. Nic go nie złamało. Był jak piorunochron, który ściągał na siebie gromy mogące spaść na innych. Mieliliśmy tego świadomość. Oprócz nas, kolegów z krakowskiego seminarium, nieustannie wspierali go Józek Kupny, Józek Wójcik, Gieniu Gaertner, Jasiu Agaciak. Tadeusz był wdzięcznym przyjacielem i odwzajemniał nasze wsparcie.

„ZAPLUTY KARZEŁ REAKCJI”

Tadeusz odsiedział w areszcie łącznie 56 dni. To dużo, jak na kogoś, kto przygotowuje się do kapłaństwa i powinien świecić przykładem. Dowództwo świadomie uczyniło z niego ikonę początkującego kryminalisty, osoby niesubordynowanej, lekceważącej przełożonych i obowiązki wobec Ojczyzny. Czy ktoś z takim charakterem i osobowością może zostać księdzem? Ten wykreowany przez wojskowe organy bezpieczeństwa wizerunek ciągnął się za nim później. Ale był to przekaz zafałszowany. To nieprawda, że Tadeusz ignorował rozkazy. On słuchał ich rozumnie. Kwestionował wymogi ślepego posłuszeństwa i rozkazy irracjonalne albo

wydane z niskich pobudek, wyrażając w takim przypadku swoją dezaprobatę. Nie odmawiał wypełnienia rozkazów dotyczących szkolenia wojskowego. Wykonywał je, ale się nie angażował (często były to wymagania ponad siły). To nieprawda, że lekceważył przełożonych. Zawsze ważył słowa i nie znam przypadku, żeby obraził słowem żołnierza służby zawodowej czy zasadniczej. Tadeusz ukazywał, jak pozostać niezłomnym. Nie uznawał żadnych kompromisów w kwestii naginania zasad sumienia, nawet jeśli przyszło za to zapłacić wysoką cenę.

KAŻDY TWÓJ WYROK PRZYJMĘ TWARDY, PRZED MOCĄ TWOJĄ SIĘ UKORZĘ...

Tadeusz w wojsku żył w nieustannym stresie i napięciu. Były chwile, że obawialiśmy się nawet o jego życie. Wielokrotnie byłem świadkiem, będąc w tym samym plutonie, jak na poligonie był „docierany” przez dowódcę. Polegało to na eskalacji wycieńczających fizycznie zajęć taktycznych. Musiał wielokrotnie okopywać się w zmarzniętej ziemi, czołgać po wodzie i błocie, aż mundur zupełnie przemókł, a potem biegać w masce przeciwgazowej do utraty sił. Kiedy padał z wycieńczenia i nie był w stanie wykonywać kolejnych poleceń, zapisywano mu to na konto kolejnego niewykonania rozkazu (my ćwiczyliśmy tak samo, ale dowódcy drużyn dawali nam rozsądne przerwy na odetchnięcie i zebranie sił). Najtrudniejsze było przełamywanie negatywnych uczuć do niektórych oficerów. Uczyliśmy się pokory. O ile w życiu duchowym pokora rodzi się zwykle przez kontakt z sacrum, o tyle Tadeusz nabywał w wojsku pokorę przez kontakt z profanum. W trudnych chwilach zdawał się na Opatrzność Bożą, a poddanie się woli Bożej kończyło ostatecznie jego rozterkę.

BÓG DAŁ, BÓG ZABRAŁ – NIECH IMIĘ PAŃSKIE BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONE

W drugiej połowie października 1976 r. Tadeusza przeniesiono do 2 kompanii. Zabrano mu przy tym urlop taryfowy za pierwszy rok służby. W ostatnią niedzielę października 1976 r. Tadeusz dostał przepustkę. Pojechał do Krakowa i w mundurze wojskowym, służąc przy ołtarzu w kościele św. Anny, brał udział w inauguracji roku akademickiego. Jego obecność stała się impulsem do poruszenia w płomiennym kazaniu przez celebrującego Mszę św. tematu alumnów-studentów, którym przerwano studia i wcielono ich do wojska. Po Mszy św. Tadeusza otoczyli uczestnicy ceremonii.

Długo opowiadał im o tym, co dzieje się w jednostce kleryckiej. Szturm na niego przypuściły dewotki. Zabrały mu rękawiczki, oderwały orzełka z czapki i kilka guzików od munduru, traktując je jak relikwie męczennika. Musiał ratować się ucieczką.

CZŁOWIEK TO NIE BYŁE CO, TO ZACNOŚĆ

Tadeusz chętnie nawiązywał kontakty z żołnierzami innych formacji. Sprzyjały temu prace poza koszarami – roboty budowlane i areszty. Prowadził z nimi rozmowy, które zawsze przechodziły do kwestii religijnych. Pamiętam żołnierza z sąsiedniej jednostki, z którym długo dyskutował na temat kwestii rasowych. Młody chłopak, pochodzący z małej wioski na Dolnym Śląsku, uparcie twierdził, że Murzyni to nie ludzie. Tadeusz cierpliwie tłumaczył mu nie tylko istotę człowieczeństwa, ale także posiadanie duszy nieśmiertelnej przez wszystkich ludzi, także tych o innym kolorze skóry, i wspólną drogę ludzi do zbawienia. Chłopaka przekonały w końcu pewnie nie tyle argumenty, co przyjacielski stosunek Tadeusza, którego podziwiał za wytrwałość w kroczeniu wybraną drogą życiowego powołania. Rozmowy okazały się pierwotną ewangelizacją, po której chłopak zaczął więcej czytać i interesować się religią. Na drodze do wiary Opatrzność postawiła mu Tadeusza.

OJCZYNĄ MOJĄ JEST BÓG

Każde wspomnienia są fragmentaryczne i subiektywne. Z perspektywy lat wyraźniej odkrywamy w minionych wydarzeniach to, co uczyniło nas lepszymi lub gorszymi. W przypadku Tadeusza służba wojskowa ujawniła jego najlepsze cechy charakteru. W brutalny sposób doznał obnażenia swoich słabości i odebrał od przełożonych lekcję pokory. Wypracował w sobie odporność na zniewagi i duchową sprawność przebaczenia. Zmierzył się z problemem rozumienia osób wrogo nastawionych do wiary. Nauczył się postępowania zgodnego z zasadami sumienia przy jednoczesnym poszanowaniu osób o diametralnie odmiennych poglądach. Przetestował na sobie trudne zagadnienie rozumnego posłuszeństwa. Bolesne zderzenie z totalitarną ideologią i ateistyczną propagandą uświadomiło mu konieczność ich stanowczego odrzucenia. Przekonał się do słuszności odrzucania jakichkolwiek kompromisów i paktów z diabłem. Doświadczenia zdobyte podczas służby wojskowej utwierdziły go w przekonaniu, że tylko Bóg jest drogą jego życia. Każdemu życzę, aby miał takiego przyjaciela... a Tobie, Tadeuszu – za wszystko dziękuję.

Tekst piosenki śpiewanej przez żołnierzy alumnów w JW 4446

Wojenko, wojenko, cóżeś ty za Pani,
Że twego rzemiosła uczą się kapłani.
Na południu Polski, w Brzegu – wielkiej dziurze,
niejeden kleryczek znalazł się w mundurze.
Uchwaliło wspólnie partyjne plenarium,
żeby w Brzegu zrobić Wyższe Seminarium.
Rektorem jest Gierek, prefektem Jabłoński,
A ojcem duchownym Wojciech Jaruzelski.
Biedni my klerycy, taka nasza dola,
Że nad nami wola ministra Kąkoła.
Naszym wychowawcą sierżant zawodowy,
Musztrą i łopatą pcha rozum do głowy.
Zamiast teologii wkuwaj regulamin,
A pan docent sierżant przyjmuje egzamin.
By nam lepiej było, dali nam cywili,
Żeby co ważniejsze władzom donosili.
Nie zwolni nas Gierek, nie zwolni Jabłoński,
Bo się boją Moskwy, co pilnuje Polski.
Ojczyzno, Ojczyzno, myśmy dzieci Twoje,
Wraz z Episkopatem, co przedmurzem stoi.
Tu twoi koledzy i tu twoje serce,
Wracaj do nas szybko po tej poniewierce.
Ojczyzno kochana, cośmy zawinili,
Żeśmy seminarium nasze opuścili.



Stanisław Koller (ur. 1956) – historyk i archiwista, dr. Pracownik Samodzielnej Sekcji Badań Archiwalnych i Edycji Źródeł Archiwum IPN w Warszawie. Autor książek: *Odrodzenie Kościoła katolickiego na Syberii* (2001); *Postsowiecka religijność katolików na Syberii* (2003). Współredaktor serii wydawniczej „Polska i Ukraina w latach trzydziestych–czterdziestych XX wieku. Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych”.

Ks. ADAM BANASIK

Z KS. TADEUSZEM ISAKOWICZEM-ZALESKIM W FUNDACJI IM. BRATA ALBERTA

Na początku czerwca 1993 r. bp Kazimierz Nycz, wówczas biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej, zdecydował, że kończy się mój pobyt w nowotarskiej parafii. Jednocześnie zaproponował mi współpracę duszpasterską z moim seminaryjnym kolegą Tadeuszem Zaleskim. Nieco później zadzwonił Tadeusz i zaprosił mnie do Radwanowic.



iedy kilka lat wcześniej – zdaje się było to na przełomie 1988 i 1989 r. – odwiedziłem tam Tadeusza po raz pierwszy, pokazał mi remontowany budynek dworu otrzymanego od p. Zofii Tetelowskiej na potrzeby utworzenia schroniska dla niepełnosprawnych intelektualnie. Patrzyłem na rozkute ściany, układane na nich przewody elektryczne; na korytarzu panowało przenikliwe zimno – promieniowała jedynie radosna twarz Tadeusza. Mówił o robotnikach z Mistrzejowic, o ich zaangażowaniu w pracę nad stworzeniem domu dla osób niepełnosprawnych, tych młodych ludzi z domów dziecka, którzy po ukończeniu 18 roku życia trafiali do domów pomocy społecznej. Tadeusz powiedział, że napisał list do kard. Franciszka Macharskiego, aby pozwolił mu zająć się fundacją i budowaniem ośrodka, a ponieważ kuria miała dość dużo kłopotów z jego działalnością opozycyjną, dlatego z radością skierowała go do tego dzieła. Kiedy patrzyłem na rozpoczęty remont starego radwanowickiego dworu, pomyślałem, jak trudnego zadania podjął się Tadeusz.

W czerwcu 1993 r., jeszcze przed oficjalnym otrzymaniem przeze mnie dekretu z Kurii Krakowskiej, spotkaliśmy się w Radwanowicach, we dworze. W budynku były już kaplica, biura fundacji i pomieszczenia socjalne, w tym pokój Tadeusza oraz mieszkanie byłej właścicielki dworu, Zofii Tetelowskiej. Zapukał do jej drzwi, przyjęła nas serdecznie. Tadeusz przedstawił mnie pani Zofii. Powiedziałem,

że byłem we dworze przed laty i że od tego czasu bardzo dużo się zmieniło. Wspomniałem też o jej siostrze Irenie, która zginęła w katastrofie samolotowej w Zawoi. Opowiedziałem, jak w latach 70., w rocznicę katastrofy byłem na zboczu tej góry, gdzie zginęli pasażerowie samolotu. Ona dodała: „Pasażerowie zestrzelonego samolotu”. Po chwili rozmowy i wypiciu tradycyjnej herbaty pożegnaliśmy się z p. Tetelowską. Zeszliśmy na parter, do kaplicy wybudowanej w miejscu dawnego magazynu zbożowego, aby tam, przed tabernakulum, pokłonić się Panu Jezusowi Chrystusowi.

5 kwietnia 1988 r. bp Kazimierz Górny dokonał poświęcenia pierwszej części kaplicy. Wmurowano kamień węgielny, wydobyty z fundamentów

katedry wawelskiej. Odtąd kaplica służyła podopiecznym fundacji i mieszkańcom Radwanowic. Stał też już Dom Norweski, wybudowany dzięki ofiarności ks. pastora Jaarle Weland, Nilsa Rigstata i całej parafii protestanckiej z Askvoll w Norwegii. Mieszkała tam grupa chłopców z dyżurującym opiekunem. Był już dom im. kard. Adama Sapiehy, zwany Domem Śląskim, gdzie mieszkały dziewczynki z opiekunką. W marcu 1993 r. w nowym budynku przy dawnej stodole zaczęły funkcjonować warsztaty terapii zajęciowej.

Dzieło Fundacji im. Brata Alberta nabierało rozmachu i liczne jej filie powstawały na terenie całego kraju. Mimo tych sukcesów Tadeusz był jakiś smutny, z jego twarzy zniknął promieniujący optymizm. Przybity był masą różnych problemów, a jako prezes odpowiadał prawnie za każdy błąd w zarządzaniu organizacją. Postanowiliśmy, że razem będziemy walczyć o funkcjonowanie ośrodków fundacji. Pomogłem Tadeuszowi w nawiązaniu kontaktu z prezesem Zakładu Ubezpieczeń



■ ZOFIA TETELOWSKA. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Społecznych w Warszawie Alfredem Owocem, a Tadeusz zwrócił się do swojego kolegi z ławy szkolnej, który był członkiem rządu Hanny Suchockiej. Przychylny nam był też prezes Zarządu Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych Andrzej Pałka, którego znałem jeszcze z Katowic. Dzięki temu



■ DWÓR ZOFII TETEŁOWSKIEJ PODAROWANY FUNDACJI IM. BRATA ALBERTA W RADWANOWICACH. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

udało się doprowadzić do dalszego zacieśnienia współpracy z PFRON-em, który od marca 1993 r. organizował swoje warsztaty terapii zajęciowej na terenie fundacji w Radwanowicach. Takie były moje pierwsze, wspólne z Tadeuszem działania związane z Fundacją im. Brata Alberta.

Ponieważ potrzebował on więcej czasu na sprawy organizacyjne, kwestie związane z duszpasterstwem przekazał w moje ręce. Zaplanowałem katechezę dla podopiecznych, stworzyłem możliwość skorzystania codziennie z sakramentu pokuty oraz uczestniczenia każdego dnia we Mszy św. W święta i niedziele odprawialiśmy 2 Msze św. Podopiecznych, na miarę ich możliwości, angażowaliśmy w różne czynności liturgiczne: Rysiek, zwany „prezesem”, który miał najdłuższy staż we wspólnocie, pociągał za sznur dzwonu na Anioł Pański; Jasio i Krzyś zostali kościelnymi. W dni świąteczne w zakrystii do pomocy włączali się wychowawcy, katechetka Maria Madeja lub ktoś ze wsi.

W dniach 6–11 sierpnia 1993 r. Tadeusz brał udział w pieszej pielgrzymce krakowskiej na Jasną Górę. Prowadził jako przewodnik grupę 14 pod wezwaniem ks. Jerzego Popiełuszki. Obejmowała ona duszpasterstwem ludzi pracy z Mistrzejowic. Umówiliśmy się, że w następnym roku wyruszę na pieszą pielgrzymkę krakowską z podopiecznymi Fundacji im. Brata Alberta i wychowawcami. I tak się stało, pielgrzymowaliśmy w grupie 2 – Kraków-Śródmieście, pod przewodnictwem ks. Zdzisława

Balona. Pierwszy nocleg pod namiotami mieliśmy w parafii Biały Kościół w ogrodzie przy plebanii.

W końcu sierpnia 1993 r. proboszcz z parafii św. Marcina z Krzeszowic poprosił o pomoc w katechizacji w Zespole Szkół Budowlanych. Tak więc oprócz zajęć w Radwanowicach była też katecheza w klasach Technikum Budowlanego i Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Krzeszowicach.

18 września 1993 r. kard. Macharski dokonał poświęcenia domu im. kard. Sapiehy, zwanego Domem Śląskim, jako że jego budowę wsparł w dużej mierze Bank Śląski. Ksiądz kardynał poświęcił również krzyże, które miały zawisnąć w pokojach budynku. W czasie pięknej polskiej jesieni w październiku, podczas nabożeństw różańcowych, wyruszyliśmy na pieszą pielgrzymkę do klasztoru oo. Karmelitów w Czernej, do grobu św. Rafała Kalinowskiego.

Adwent to czas przygotowania do świąt Bożego Narodzenia, ale zarazem troski o naszych rodaków na Wschodzie. Tadeusz wybrał się z darami na Białoruś. Wraz z mieszkańcami Radwanowic przygotowaliśmy świąteczne paczki żywnościowe także dla polskich rodzin na Ukrainie. Ich listę i adresy dostarczył Zakon Kawalerów Maltańskich. Wyprawa wyruszyła z Jackiem Broel-Platerem w grudniu 1993 r.

W czasie Adwentu w spowiedzi dla podopiecznych i mieszkańców Radwanowic pomagali księża z dekanatu bolechowickiego. Obecnie parafia św. Brata Alberta w Radwanowicach, z nowo wybudowanym kościołem, należy do dekanatu krzeszowickiego. Osoby niepełnosprawne mają swoje potrzeby duchowe, które w ramach naszej działalności duszpasterskiej staraliśmy się zaspokajać. Podziwialiśmy ich wrażliwość na sprawy duchowe. Niektórzy na warsztatach terapii zajęciowej rysowali, malowali lub tkali gobeliny. Z wykonanych przez nich okolicznościowych prac emanowało ciepło duchowe. To było wprost genialne, mieszkaliśmy pośród utalentowanych „Nikiforów”. Zaraz po świątach Bożego Narodzenia, w dzień św. Szczepana, wyruszyliśmy na kolędę, w której uczestniczyli ministranci z fundacji. Dla kolędników wszystkie domy były otwarte, przyjmowano nas w każdej radwanowickiej rodzinie. Na zakończenie odbywała się kolędowa wizyta duszpasterska w pokojach podopiecznych.



MARIA MADEJA. FOT. FACEBOOK

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski



Ludzie dobrzy jak chleb

W ostatnią niedzielę stycznia razem z podopiecznymi zrobiliśmy wspólne kolędowanie. Na początku lutego 1994 r. za zezwoleniem Kurii Krakowskiej braliśmy udział w konwojach humanitarnych do byłej Jugosławii. Tadeusz wybrał się z Janiną Ochojską. Ja pojechałem z Lekarzami Świata, którym przewodził prof. Zbigniew Chłap, do Serbii. Braliśmy udział w Misji Humanitarnej „Dzieciom Jugosławii”. Parę dni po naszym powrocie zaczął się okres Wielkiego Postu, nabożeństwa Drogi Krzyżowej, Gorzkie Żale, spowiedzi w dekanacie bolechowickim. W tych

■ Ks. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI W ŚWIETLICY TERAPEUTYCZNEJ
W RADWANOWICACH. FOT. WBP.LODZ.PL



działaniach duszpasterskich wspierała nas z dziećmi ze Szkoły Podstawowej w Radwanowicach p. Maria Madeja (z domu Zwolińska). Święta Wielkanocne, które wypadały na początku kwietnia 1994 r., obchodziliśmy bardzo uroczystie.

Pod koniec kwietnia rozpoczęły się przygotowania do Ogólnopolskiego Zjazdu Fundacji im. Brata Alberta. W niedzielę 12 czerwca obchodziliśmy odpust ku czci św. Brata Alberta, 25 czerwca miała odbyć się ogólnopolska pielgrzymka podopiecznych i pracowników Fundacji im. Brata Alberta. Uroczystość świętowaliśmy w kościele „Ecce Homo” u sióstr albertynek przy ul. Woronicza w Krakowie. Zaprosiliśmy na nią członków filii fundacji, naszych dobrodziejów i współpracowników oraz wszystkich, którym bliscy są ludzie niepełnosprawni. Przyjechały delegacje z filii z Torunia, Łodzi, Żyrardowa, Wrocławia, Lublina, Sosnowca, Chrzanowa, Libiąża, Bochni i Krakowa. Do komitetu organizacyjnego należeli Zofia Tetelowska, ks. Tadeusz Zaleski, ks. Adam Banasik i in. Spotkanie rozpoczęło się po godzinie dziesiątej. Po przywitaniu pielgrzymów odbyło się przedstawienie teatralne o życiu św. brata Alberta w wykonaniu osób niepełnosprawnych, ubranych w stroje z epoki pożyczone z rekwizytorni Teatru Bagatela w Krakowie. Mszę św. koncelebrował ks. kard. Macharski i on wygłosił kazanie. A na zakończenie Mszy – uroczysty akt zawierzenia fundacji opiece Matki Bożej. Po południu była agapa, o godz. 15.30 prezentacja wspólnot pielgrzymkowych, zaś około godziny siedemnastej miało miejsce błogosławieństwo końcowe i rozesłanie pielgrzymów.

To w zarysie i tylko niektóre działania duszpasterskie i organizacyjne prowadzone przez Fundację im. Brata Alberta. Obecnie posiada ona 4 domy stałego pobytu: w Radwanowicach, Łodzi, Chorzeszowie i Toruniu. W 12 miejscach prowadzone są warsztaty terapii zajęciowej, w 9 – świetlice terapeutyczne; są też środowiskowe domy samopomocy w paru miejscowościach, dzienny dom seniora, dom pracy twórczej osób niepełnosprawnych, świetlica opiekuńczo-wychowawcza, a w Chełmku spółdzielnia socjalna „Albert”. Fundacja opiekuje się ok. 1 tys. osób niepełnosprawnych, z których 160 przebywa w jej domach na stałe.



Ks. Adam Banasik (ur. 1954) – dr, duchowny Archidiecezji Krakowskiej. Założyciel i koordynator Fundacji im. Matki Teresy z Kalkuty w Nowym Targu, opiekującej się osobami niepełnosprawnymi ruchowo. Autor książki: *Ksiądz dr Ferdynand Machay nauczycielem patriotyzmu* (2023).

JOANNA LUBECKA

PRZEGRANI NIEMCY POD OKUPACJĄ

8 maja 1945 r. o godz. 22.30 Niemcy podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji; o 23.01 zostały wstrzymane wszelkie działania zbrojne. W tym momencie władzę w pokonanych Niemczech przejęła Sojusznicza Rada Kontroli, która zarządziła 4 strefami okupacyjnymi. Taki stan rzeczy trwał przez 4 lata – aż do powstania 2 państw niemieckich.



■ ŻOŁNIERZE ARMII AMERYKAŃSKIEJ POKAZUJĄ NIEMIECKIM CYWILOM EKSHUMOWANE CIAŁA 800 OSÓB SPALONYCH PRZEZ ESESMANÓW PODCZAS EWAKUACJI WIĘŹNIÓW BUCHENWALDU DO DACHAU, NAMMERING W BAWARII, MAJ 1945 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS



poro się pisze i mówi o uwarunkowaniach politycznych w tym czasie, ale ówczesna sytuacja społeczna, funkcjonowanie Niemców pozostaje w Polsce rozdziałem nieznanym. Pisząc o bardzo ciężkich warunkach życia w tamtym czasie, nie można tracić z oczu ciągu przyczynowo-skutkowego tych wydarzeń. Gdyby nie 1 września 1939 r. – nie byłoby cierpień Niemców po 1945 r. Próbuąc zrozumieć współczesnych Niemców i ich spojrzenie na wojnę, warto jednak przyjrzeć się również ich doświadczeniom w latach 1945–1949: jak wyglądały Niemcy po wojnie? Jakie problemy stanęły przed władzami i społeczeństwem? Jak toczyło się życie codzienne?

HISTORIA ZNANA

Historia polityczna Niemiec po 1945 r. jest dobrze znana i zbadana. Podręczniki szkolne opisują przejęcie władzy przez aliantów, utworzenie władz okupacyjnych, wdrażanie postanowień konferencji w Poczdamie (tzw. 4 D: denazyfikacja, demilitaryzacja, dekartelizacja, demokratyzacja). Bezwarunkowa kapitulacja Niemiec oznaczała, że każda decyzja aliantów musiała być przyjęta bez możliwości negocjacji. Rolą władz okupacyjnych było nie tylko ukaranie Niemców (a więc przede wszystkim denazyfikacja i egzekwowanie poboru reparacji), ale również przywrócenie warunków do możliwie normalnego życia, zapewnienie aprowizacji, zapobieżenie rabunkom i wzrastającej kryminalizacji życia, przywrócenie względnego porządku publicznego.

Bardzo szybko okazało się, że problemy przerastają zbyt szczupłe możliwości ludzkie i finansowe administracji cywilnej i wojskowej aliantów. Nie było innego wyjścia, jak zacząć współpracować z Niemcami. Co do zasady alianci odsuwali od władzy tych urzędników, którzy piastowali wysokie stanowiska po 1933 r., jednak na niższych pozostawiano dotychczasową obsadę i nikt nie przejmował się denazyfikacją – ważniejsze było sprawne działanie urzędów i przywrócenie możliwości funkcjonowania, szczególnie w miastach, choćby na najniższym poziomie logistycznym.

Sojusznicza Rada Kontroli wydawała kolejne akty prawne dotyczące dopuszczania Niemców do zawodów publicznych (urzędników, zawodów prawniczych, władz lokalnych) po ich wcześniejszej weryfikacji. Najczęściej zabraniano wykonywania zawodów „członkom partii nazistowskiej”, którzy brali aktywny udział



■ ŹRÓDŁO: CONTENTPLUS.SP. Z O.O., KRYSZTOF CHARIZA I ZESPÓŁ

w jej działalności. Nie sprecyzowano jednak, co miałyby oznaczać „aktywna działalność” w NSDAP, w związku z tym sądy alianckie, a później niemieckie interpretowały ten przepis dowolnie, wydając raczej łagodne wyroki.

Sytuację polityczną komplikowały również narastające różnice ideologiczne między aliantami i skrajnie odmienne plany co do przyszłości Niemiec. Sowieci nie chcieli dopuścić do podziału Niemiec, gdyż tym samym tracili nadzieję na opanowanie lub przynajmniej uzyskanie wpływów w całym państwie. Alianci zachodni, nie widząc szans na odzyskanie sowieckiej strefy okupacyjnej, z czasem dążyli do podziału Niemiec. W związku z tym zmieniało się również postrzeganie przez aliantów ludności niemieckiej: dla Sowietów mieszkańcy wschodniej strefy

okupacyjnej stali się przedmiotem bezwzględnej sowietyzacji, dla aliantów zachodnich ludność niemiecka z czasem była pożądanym sojusznikiem. W ramach planu Marshalla zachodnim strefom okupacyjnym przekazano 1,5 mld dolarów pomocy, czyli 11 proc. wszystkich środków z planu odbudowy Europy, a odbudowa Niemiec i konsolidacja społeczeństw Europy Zachodniej wobec sowieckiego zagrożenia stawiała się ważniejsza niż rozliczenie Niemców. Jak bardzo zmieniła się sytuacja polityczna, najlepiej ukazuje fakt, że w trakcie sowieckiej blokady Berlina Zachodniego (czerwiec 1948 – wrzesień 1949) amerykańscy i angielscy piloci dostarczali pomocy w ramach tzw. mostu powietrznego. Podczas gdy jeszcze 3 lata wcześniej te same siły zbrojne (czasem nawet ci sami piloci) brały udział w nalotach dywanowych na niemieckie miasta.

Wraz z eskalacją napięć między Zachodem a Sowietami spadał też entuzjazm okupantów do rozliczenia zbrodni niemieckich. W latach 1945–1949 odbyło się kilka wielkich procesów przed sądami alianckimi. W najważniejszym z nich, tzw. głównym procesie w Norymberdze przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym (od 20 listopada 1945 do 1 października 1946 r.), oskarżonych zostało 22 przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych Rzeszy Niemieckiej. Alianci starali się odpowiednio przygotować społeczeństwo niemieckie poprzez rozbudowaną akcję propagandową. O przebiegu procesu szeroko informowała prasa niemiecka licencjonowana przez alianckich okupantów. Komentujący proces norymberski korespondenci zagraniczni pisali, że Niemcy nie są nim zainteresowani. Niemiecki korespondent „Tagesspiegel” napisał 8 grudnia 1945 r.: „Zainteresowanie [Niemców – J.L.] procesem norymberskim jest podzielone. Wielu w ogóle nie chce o tym słyszeć, inni chcieliby, aby powieszono po prostu tych ludzi, i koniec z tym (*und damit basta*)!”. Niemcy nie chcieli słyszeć o zbrodniach, ale w tym samym stopniu nie interesowała ich polityka. Skupiali się przede wszystkim na codziennym życiu – pozyskaniu jedzenia, dachu nad głową, odgruzowaniu miast, poszukiwaniu najbliższych, o których często niewiele wiedzieli.

KRAJOBRAZ KSIĘŻYCOWY

Myśląc o stratach wojennych, w naturalny sposób skupiamy się na ofiarach, na państwach, które zostały zaatakowane i zniszczone przez Rzeszę Niemiecką. Do powszechnej świadomości znacznie mniej przebija się fakt, że również Niemcy po woj-

nie były państwem zrujnowanym i zniszczonym. Już w marcu 1942 r. rozpoczęły się nocne brytyjskie i amerykańskie naloty na niemieckie miasta, a od wiosny 1943 r. również dzienne. Zbombardowano m.in. Hamburg, Kolonię, Berlin, Duisburg, Drezno – w sumie 41 dużych i 158 średnich miast, w których zginęło ok. 600 tys. mieszkańców. Zniszczenia przeciętnie wynosiły od 50 do 60 proc. tkanki miejskiej, najbardziej jednak dotknęły one centra miast, starówki, a najmniej obrzeża. W najbardziej zniszczonym Dreźnie na każdego mieszkańca przypadało 40 m³ gruzów. Przed 1945 r. gruz po nalotach usuwali jeńcy wojenni i robotnicy przymusowi, ale po upadku III Rzeszy ciężar ten spadł na mieszkańców, którzy przeżyli i wracali do swoich miast. Władze alianckie oddawały do dyspozycji władz komunalnych

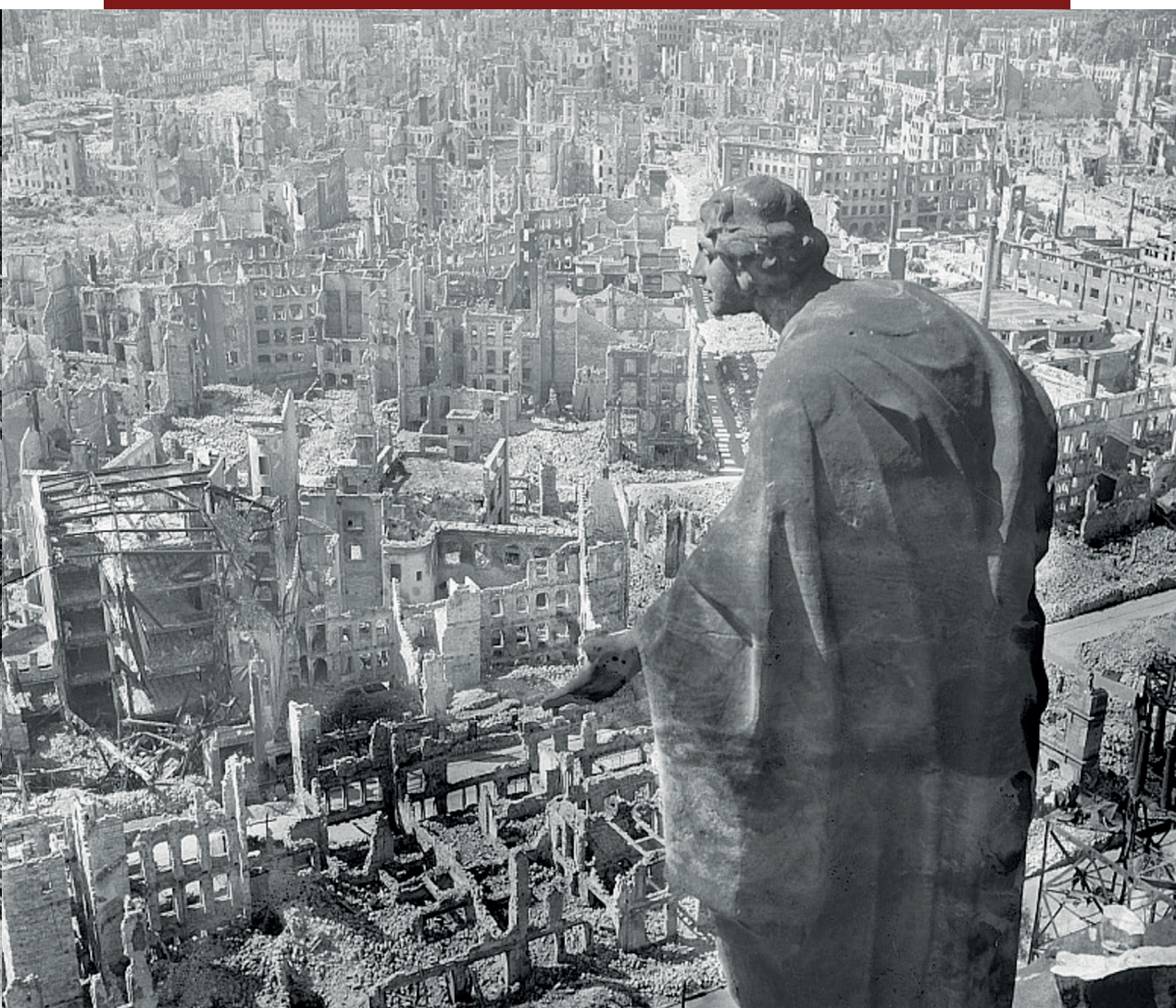
■ SPALONE BUDYNKI PO BOMBARDOWANIU HAMBURGA
PRZEZ ALIANTÓW W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

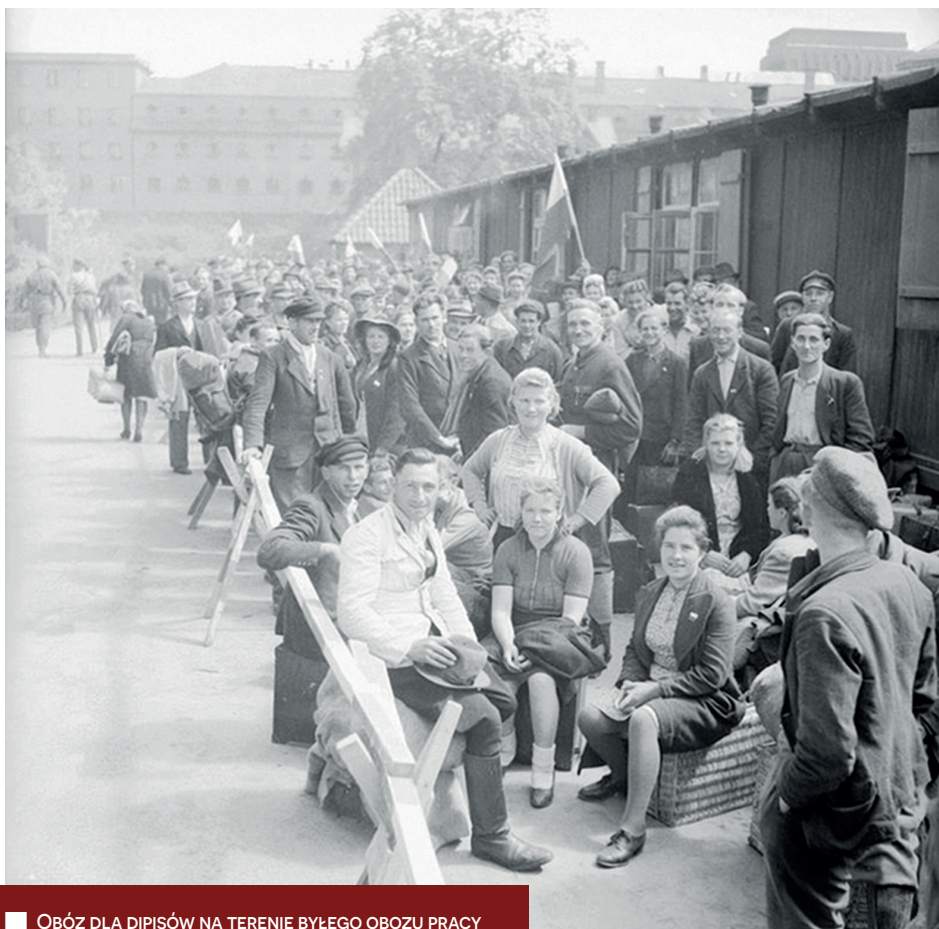


jeńców niemieckich, zmuszano też byłych członków NSDAP do pracy przy odgruzowywaniu. Czasem zgłaszali się również ochotnicy, bo po pracy otrzymywali talerz zupy lub kartki żywnościowe.

Z tamtego czasu pozostało wiele zdjęć, a niektóre z nich uznano za arcydzieła fotografii, np. zdjęcie Richarda Petera z dreźnieńskiej wieży ratuszowej – ocalała po bombardowaniach figura przedstawiająca alegorię Dobra spogląda na zrujnowane Drezno. Ostatnia brygada odgruzowująca Drezno skończyła pracę w 1977 r. W Berlinie gruz wywożono na tzw. Teufelberg (Diabelska Góra), który urosł w ten sposób do wysokości 120 m n.p.m. – Diabelska Góra była najwyższym szczytem Berlina Zachodniego.

■ RUINY DREZNA PO NALOTACH ALIANKICKICH I ALEGORIA DOBRA. FOT. RICHARD PETER / WIKIMEDIA COMMONS





■ OBÓZ DLA DIPISÓW NA TERENIE BYŁEGO OBOZU PRACY
W HAMBURGU, MAJ 1945 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

MILIONY W DRODZE

Koniec wojny uruchomił w Niemczech istną wędrówkę ludów. Harald Jähner wspomina, że w lecie 1945 r. w strefach okupacyjnych żyło 75 mln ludzi, połowa z nich „nie na swoim miejscu”¹. Jeszcze przed końcem wojny 9 mln mieszkańców miast ewakuowano na wieś, 12,5 mln Niemców uciekło przed Armią Czerwoną lub zostało wysiedlonych z państw Europy Środkowej, 7 mln stanowili tzw. dipisi (od ang. *displaced persons* – osoby przemieszczone, w skrócie DP). Jeśli dodamy do tego niedziałającą komunikację, zrujnowane drogi, zniszczenia mieszkań sięgające 45 proc. w skali całych Niemiec, to otrzymamy obraz chaosu, nędzy,

¹ H. Jähner, *Czas wilka. Powojenne losy Niemców*, tłum. A. Żychliński, Poznań 2021.

rozpaczy, ale i rosnącej w tych warunkach przestępczości i brutalizacji życia, z którą nie radziły sobie również władze okupacyjne.

Miliony uciekających i wysiedlonych z Europy Środkowej Niemców nie były chętnie przyjmowane przez rodaków. Stanowili oni konkurencję do deficytowych dóbr – żywności, dachu nad głową, alianckiej pomocy. W niektórych regionach byli ogromnym problemem, np. w Meklemburgii-Pomorzu Przednim udział wysiedlonych Niemców w ogólnej liczbie ludności wynosił 45 proc. Miejscowa ludność odnosiła się do nich z niechęcią i pogardą, a czasem nawet agresywnie. Uważano ich za gorszych, ubogich rodaków, ale ostatecznie to oni stanowili główną siłę napędową niemieckiego „cudu gospodarczego” – pozbawieni majątków, niemający nic do stracenia, umieszczeni w obozach dla przesiedleńców, gdzie w ciasnocie mieszkało często kilkanaście osób w jednym pokoju (ostatni obóz zlikwidowano dopiero w 1966 r.), rzucili się w wir pracy i z entuzjazmem budowali nowe Niemcy.

Jeszcze większym problemem byli dipisi, do których zaliczano przede wszystkim jeńców wojennych, byłych robotników przymusowych oraz więźniów uwolnionych z obozów koncentracyjnych. Pod koniec wojny warunki w obozach jenieckich i koncentracyjnych dramatycznie się pogorszyły. W wielu miastach niemieckich dochodziło do masakr robotników przymusowych – w ten sposób próbowano ich zastraszyć i dyscyplinować. Po latach spędzonych w obozach wielu więźniów było skrajnie zdemoralizowanych, co więcej uważali oni, że mają moralne prawo wymierzyć sprawiedliwość wyjętym teraz spod prawa Niemcom. Jak napisał brytyjski historyk Ben Shephard: „spodziewano się, że po latach niewolniczej pracy [byli więźniowie – J.L.] będą ulegli, bezwolni i skorzy do wyrażania wdzięczności, tymczasem cierpieli na syndrom wyzwolenia, na który składa się żądza zemsty, głód i euforyczny nastrój”². Masowo więc zdarzały się samosądy, rabunki, gwałty. Paradoksalnie sojusznikiem władz okupacyjnych w tej trudnej i delikatnej sytuacji stawały się lokalne niemieckie władze, a nawet niemiecka policja. Samoistnie wytworzył się „makabryczny sojusz alianckich i niemieckich stróżów porządku”³. Niemcy dość ochoczo przyjęli rolę pomocników i sojuszników alianckich władz okupacyjnych, co w specyficzny sposób skomentowano w wydanej przez brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych „Instrukcji dla brytyjskich żołnierzy w Niemczech

² B. Shephard, *Powrót*, tłum. J. Dzierzgowski, Warszawa 2016.

³ H. Jähner, *Czas wilka...*



■ DREZNO, WRZESIEŃ 1945 R.
FOT. RICHARD PETER / DEUTSCHE FOTO THEK

1944” (Instructions for British Servicemen in Germany 1944): „Niemcy są brutalni, gdy zwyciężają, ale skomlą i rozczulają się nad sobą w chwili klęski”.

Eric Lichtblau w książce *Sąsiedzi naziści* ocenił, że najgorszy los spotkał ocalałych z zagłady Żydów, którzy nadal przebywali w obozach. Doznawali szykan nie tylko ze strony „nowych strażników” (wśród których było również sporo Niemców), ale także innych byłych więźniów⁴. Opowieści krążące o warunkach, w jakich przebywali dipisi, zwłaszcza żydowscy, skłoniły prezydenta USA Harry’ego Trumana do oddelegowania specjalnego wysłannika Earla G. Harrisona, byłego komisarza ds. imigracyjnych, z zawodu prawnika, aby na miejscu sprawdził sytuację. Raport był szokujący. Harrison pisał: „W chwili obecnej wydaje się, że traktujemy Żydów tak samo jak naziści, z tą jedną różnicą, że nie przeprowadzamy ich ekster-

⁴ E. Lichtblau, *Sąsiedzi naziści. Jak Ameryka stała się bezpiecznym schronieniem dla ludzi Hitlera*, Kraków 2015.



minacji”⁵. Wyzwoleni więźniowie wciąż byli skoszarowani – najczęściej w byłych obozach koncentracyjnych. W wyniku problemów aprowizacyjnych nadal panowało niedożywienie i fatalne warunki higieniczne. Trzymano ich w zamknięciu, gdyż obawiano się rozprzestrzeniania się chorób, agresji ze strony innych więźniów i aktów zemsty na niemieckich cywilach. Najszybciej rozwiązał się problem z dipisami z Europy Zachodniej – Włosi, Francuzi, Hiszpanie już kilka tygodni po wojnie wyruszyli do swoich krajów. Wielu dipisów z Europy Wschodniej nie chciało wracać. Badacz dipisów w Niemczech Wolfgang Jacobmeyer podaje, że ok. 300 tys. polskich dipisów odmówiło powrotu do kraju (z 1,7 mln przebywających w Niemczech) z powodu – jak pisze autor – obaw przed komunistycznym rządem⁶.

KOBIETY RUIN

Przed wojną Niemcy liczyły ok. 69 mln mieszkańców, w czasie wojny zginęło ok. 7,2 mln obywateli (10,4 proc. populacji). Dodatkowo 1–1,2 mln jeńców zmarło w łagrach (spośród ok. 4,5 mln wziętych do niewoli). Straty dotyczyły głównie mężczyzn, choć wśród 2,7 mln ofiar cywilnych było również wiele kobiet i dzieci.

Powojenne Niemcy to kraj kobiet. Nazywano je często „kobietami ruin” (Trümmerfrauen). Szły odgruzowywać niemieckie miasta nie z chęci odbudowy ojczyzny, lecz dlatego że udział w tych pracach gwarantował przydział tzw. drugiej kategorii kartek żywnościowych, a więc lepszej niż urzędnicy w administracji. Z miejskich skwerków tworzyły ogródki warzywne, piekły i gotowały złapane przez dzieci ptaki, psy i koty.

Ich los w czasie wojny, szczególnie w dwóch ostatnich latach, stawał się coraz

⁵ Ibidem.

⁶ W. Jacobmeyer, *Vom Zwangsarbeiter zum heimatlosen Ausländer: die Displaced Persons in Westdeutschland 1945–1951*, Göttingen 1985.

trudniejszy. Niezależnie od tego, czy zachowały neutralność, wspierały reżim, czy były jego wrogami, to na nie spadł główny ciężar prowadzenia domu, wychowywania dzieci, zdobywania żywności. Z czasem zaczęły zastępować mężczyzn w zakładach pracy. Im dłużej trwał konflikt zbrojny, im zwiększał się wysiłek wojenny państwa, tym bardziej kobiety niemieckie wchodziły w męski świat: prowadziły tramwaje, naprawiały linie elektryczne, pracowały w hutach, obsługiwały maszyny, jednocześnie stawały się „głowami rodzin”.

Koniec wojny był dla nich szczególnie trudny – coraz większe problemy aprowizacyjne, chaos i wkroczenie armii alianckich naraziły kobiety niemieckie na jeszcze większą biedę, przemoc, gwałty. Szacuje się, że czerwonoarmiści zgwałcili nawet 2 mln Niemek – potraktowali je jak zdobycz wojenną i instrument zemsty na niemieckich mężczyznach. Tematem tabu do niedawna były gwałty armii zachodnich sojuszników. Według powojennych szacunków amerykańscy, francuscy i brytyjscy żołnierze zgwałcili ok. 11 tys. Niemek. W 2015 r. liczbę tę podważyła niemiecka historyk Miriam Gebhardt, która w książce *Als die Soldaten kamen* (Gdy przyszli żołnierze) oszacowała, że alianci zachodni zgwałcili w ostatnich tygodniach wojny 860 tys. niemieckich kobiet, a przeszło 5 proc. dzieci narodzonych w latach 1945–1955 w sektorach okupowanych przez aliantów pochodziło z gwałtów. Amerykańską tezę o rzekomej „sprzedajności niemieckich kobiet” trudno jest utrzymać wobec faktu ogromnej ówczesnej biedy, konieczności wyżywienia własnych dzieci, braku mężczyzn, którzy mogliby je wesprzeć i ochronić.

Wieloletnie ciężkie doświadczenia, konieczność podejmowania nowych wyzwań i zapewnienia przetrwania własnej rodzinie zmieniły zupełnie stosunki społeczne w powojennych Niemczech. Przedwojenny model społeczny, który wpisywał kobietę w przestrzeń „trzech K” – Kinder, Küche, Kirche (dzieci, kuchnia, kościół), stał się niemożliwy do utrzymania. Kobiety – chcąc nie chcąc – nauczyły się żyć samodzielnie i podejmować nawet najtrudniejsze decyzje. We wspomnieniach jednego z powracających z wojny mężczyzn, które przytacza Harald Jähner, można przeczytać takie zdanie: „Dużo czasu mi zajęło, zanim zrozumiałem, że gdy mnie nie było, ona nauczyła się mówić »ja«”. Tak zwani Heimkehrer (mężczyźni wracający z wojny, z niewoli) wyglądali często jak upiory – wyniszczeni, postarzali, zaniedbani, najczęściej cierpiący na PTSD (stres pourazowy). Dzieci i żony bały się własnych ojców i mężów, których nierzadko już nie pamiętały.

NOWE ŻYCIE

Wobec zaostrzających się stosunków między aliantami i sporów o kształt przyszłych Niemiec – sojusznicy zachodni szybko zdecydowali o pomocy dla głodujących Niemców. W listopadzie 1945 r. amerykańskie stowarzyszenia charytatywne założyły organizację CARE (Cooperative for Assistance and Relief Everywhere). Już od lipca 1946 r. do Niemiec zaczęły przyplływać statki wypełnione amerykańską pomocą. W każdym pakiecie pomocowym było 4,5 kg mięsa i podrobów, ponad 3 kg płatków kukurydźnianych, płatków owsianych i ciastek, ponad 1,5 kg owoców i budyniu, ok. 1 kg warzyw, ok. 2 kg cukru, pół kilo kakao, kawy i innych napojów, pół litra skondensowanego mleka, 25 dag masła, paczka papierosów i oczywiście guma do żucia. Szacuje się, że co 140 rodzina w Niemczech skorzystała z tej pomocy. Jeśli dodamy do tego pomoc z planu Marshalla, zdyscyplinowanie i pracowitość Niemców, efekt tych działań nie powinien dziwić.

W zachodnich strefach okupacyjnych powoli, lecz sukcesywnie odbudowywała się gospodarka, powstawały miejsca pracy, poziom życia poprawiał się z miesiąca na miesiąc. Mieszkańcy czuli, że wojna i jej skutki, choć ciągle widoczne, stają się przeszłością. Miasta opanowywało szaleństwo zabaw i tańca. Powstawało mnóstwo knajp dla biednych i bogatych, zarówno w miastach, jak i na prowincji. Królowały boogie-woogie i jazz (zabroniony w czasach Hitlera). Na masową skalę produkowano nielegalny alkohol, dlatego też pilnowano, aby na imprezy nie wchodziła młodzież niepełnoletnia. Było to o tyle przewrotne, że kilka miesięcy wcześniej tych samych młodych ludzi uznano za zdolnych do zabijania, wysyłając ich do służby w Volkssturmie.

Powstała w 1949 r. Republika Federalna Niemiec w ciągu kilkudziesięciu lat stała się jednym z najbogatszych krajów Europy. Stworzona w tym samym roku Niemiecka Republika Demokratyczna, jako państwo „frontowe” zimnej wojny, była całkowicie uzależniona od Związku Sowieckiego.



Joanna Lubecka (ur. 1969) – historyk, politolog, dr hab., pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN oraz Akademii Ignatianum w Krakowie. Autorka książek: *Słowo w służbie polityki historycznej na przykładzie narracji niemieckiej dotyczącej zbrodni II wojny światowej* (2011); *Niemiecki zbrodniarz przed polskim sądem. Krakowskie procesy przed Najwyższym Trybunałem Narodowym* (2021) i in.



■ ZDJĘCIE ŚLUBNE WACŁAWA
MANDUKA I EMILII Z DOMU
PFEIFFER, 1900 R. FOT. ZBIORY
W. LESZCZYŃSKIEGO

WACŁAW LESZCZYŃSKI

FARMACEUTA, KTÓRY ODDAŁ SIŁY RZECZYPOSPOLITEJ

WACŁAW MANDUK (1872–1944)

Zginął rozstrzelany przez Niemców wraz ze 177 mężczyznami 10 sierpnia, podczas Powstania Warszawskiego. Wacław Manduk – potomek zasymilowanej rodziny greckiej, spadkobierca rodzinnej tradycji aptekarskiej, współtwórca prawa farmaceutycznego w II Rzeczypospolitej, członek Stronnictwa Narodowego, niezmordowany działacz społeczny. Wulkan energii, której dawał upust dla dobra Polski.

andukowie (Mandukas) pod koniec XVII w. uciekli z Grecji przed tureckimi represjami, a gdy się spolonizowali, zaczęli używać nazwiska Manduka. Dziadek Wacława, Franciszek, zmienił je na Manduk, aby zatrzeć ślady greckich korzeni. Gdyby prawda wyszła na jaw, rodzina – zgodnie z cesarskim ukazem – przejść na prawosławie („powrócić andukowie byli Polakami i katolikami).

Ojciec urodzonego 6 lutego 1872 r. w Warszawie Wacława Manduka, Antoni, absolwent Szkoły Głównej Warszawskiej, aptekarz, działacz społeczny i gospodarczy, należał do grona współtwórców Warszawskiego Towarzystwa Farmaceutycznego, którym kierował przez wiele lat. Matka, Elżbieta Heidenbruch, była wnuczką Jana Ulricha, nadwornego ogrodnika władcy Księstwa Warszawskiego Fryderyka Augusta. Jan Ulrich założył w Warszawie w 1805 r. Zakłady Ogrodnicze (późniejsze „C. Ulrich”).

Wacław mieszkał z rodzicami oraz braćmi Antonim i Stanisławem przy ul. Wol-
skiej 10, w domu mieszczącym również aptekę ojca. Od połowy lat 80. XIX w. prowadził
codzienne notatki o wszystkim, co dane mu było zobaczyć i w czym miał okazję brać
udział. Po ukończeniu szkoły w Warszawie wyjechał w 1890 r. do Moskwy, by studiować
chemię na politechnice – mówił wówczas biegle po francusku, rosyjsku i niemiecku.

Widział, jak z nastaniem mrozów w domach na przedmieściach Moskwy ludzie polewali szyby okien wodą, tworząc na nich taflę lodu chroniącą przed zimnem. Mleko kupował w postaci zamrożniętych krążków nawleczonych na sznurek. Po roku przeniósł się na studia farmaceutyczne na politechnikę w Karlsruhe.

Gospodyni jego stacji uważała, że Polacy pochodzą z dalekiego kraju, w którym ruch uliczny regulują tresowane białe niedźwiedzie. Ogromnie jego samego i kolegów śmieszyły naiwność oraz niski poziom wiedzy Niemców.

W Karlsruhe studiowało wówczas wielu Polaków – założyli oni własną organizację studencką nieuznaną

■ REKLAMA LEKÓW W APTECE WACŁAWA MANDUKA,
ZAMIESZCZANA OD 1906 R. W CZASOPISIMIE „WIADOMOŚCI
FARMACEUTYCZNE”. FOT. ZBIORY W. LESZCZYŃSKIEGO





■ WACŁAW MANDUK (PIERWSZY Z LEWEJ) Z OJCEM, BRACMI I SYNKIEM, 1919 R. FOT. ZBIORY W. LESZCZYŃSKIEGO

przez władze niemieckie. Ich znakiem rozpoznawczym było gwizdanie kuranta z *Arii* z *kurantem* z modnej opery Moniuszki *Straszny dwór*. W tamtym czasie Wacław sporo podróżował: był w Paryżu, zwiedzał Szwajcarię, Niemcy i Austrię. Po ukończeniu studiów pracował w aptece ojca, a jesienią 1897 r. zdał w Moskwie komisyjne egzaminy, uzyskując stopień prowizora farmacji uprawniający do prowadzenia apteki na obszarze Cesarstwa Rosyjskiego.

LEKCJE TAŃCA, ŚLUB I SPRAWY SPOŁECZNE

W 1897 r. Wacława zaproszono na lekcje tańca w domu przemysłowców, garbarzy Pfeifferów, gdzie jego kuzynki Ulrichówny uczyły się na kompletach z córką gospodarzy

Emilią. I to w niej zakochał się Wacław ze wzajemnością na jednym z bali u Pfeifferów. Zaręczyli się 12 lutego 1898 r., a 26 kwietnia 1900 r. wzięli ślub w kościele luterańskim pw. Świętej Trójcy w parafii panny młodej.

Wacław był już w tym czasie właścicielem czwartej części dwóch aptek i „składu aptecznego” (drogerii) swego ojca. Po ślubie młodzi zamieszkali przy ul. Chłodnej 66 i tam urodziły się ich dzieci: w 1901 r. Wanda, w 1902 r. Jadwiga, w 1905 r. Hanna i w 1910 r. Władysław. Również w 1910 r. Wacław kupił – głównie za posag żony – wielką kamienicę przy ul. Chłodnej 26 i zamieszkał w niej z rodziną. Od 1906 r. produkował w aptece ojca wiele preparatów leczniczych sprzedawanych aptekom w Warszawie i poza miastem. Wkrótce potem założył własną aptekę przy ul. Wolskiej 91.

Podobnie jak ojciec angażował się społecznie w różne przedsięwzięcia. W 1898 r. przyjęto go do Warszawskiego Towarzystwa Farmaceutycznego, w 1900 r. został wybrany na członka jego Komisji Rewizyjnej, a później dwukrotnie na członka Komitetu (Zarządu). Nie sposób wyliczyć wszelkich jego obowiązków, dość wspomnieć, że w latach 1906–1913 jako wiceprzewodniczący Komitetu musiał rocznie brać udział w 12 zebraniach ogólnych Towarzystwa oraz ok. 20 posiedzeniach Komitetu; był delegatem na 2 zjazdy Petersburskiego Towarzystwa Farmaceutycznego oraz na Zjazd Lekarzy i Przyrodników we Lwowie; wchodził w skład komisji ds. ustawy farmaceutycznej, biura Zjazdu Farmaceutów Cesarstwa oraz jury wielu konkursów Towarzystwa.

Jesienią 1912 r. wybrano go na prezesa Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń „Farmakon”, którego był współzałożycielem; pełnił też funkcję sędziego pokoju okręgu warszawskiego w tym czasie, gdy już mógł być nim Polak – nie Rosjanin.

STRONNICTWO NARODOWE I PODRÓŻE

Pomny nieprzyjaznego stosunku władz niemieckich do organizacji polskich studentów w Karlsruhe i świadom germanizacyjnej polityki Niemiec w zaborze pruskim, związał się wkrótce po powrocie ze studiów z konspiracyjnym Stronnictwem Narodowym powołanym w Warszawie w 1897 r. przez Ligę Polską. Zapewne wtedy widywał się z przyszłą żoną Ignacego Paderewskiego, Heleną z Rosenów, starającą się o unieważnienie swego małżeństwa z Władysławem Górskim. Możliwe, że spotkał się też z samym Paderewskim, gdy 31 maja 1899 r. brał on z Heleną ślub w kościele pw. Ducha Świętego przy ul. Freta w Warszawie.



■ WACŁAW MANDUK Z ŻONĄ, CÓRKĄ JADWIGĄ, ZIĘCIEM I WNUKIEM, NADLIWIE 1935 R.
FOT. ZBIORY W. LESZCZYŃSKIEGO

Wacław był aktywny w lokalnych strukturach Stronnictwa Narodowego. W 1907 r. na zebraniu ogólnym Warszawskiego Towarzystwa Farmaceutycznego namawiał do wstępowania do Macierzy Szkolnej Królestwa Polskiego, w której działała jego żona Emilia wraz z mężem swej kuzynki Ignacym Chrzanowskim – pod kierunkiem dalekiego kuzyna Chrzanowskiego, Henryka Sienkiewicza.

Latem wyjeżdżał z rodziną na wakacje. Podczas pobytu w belgijskim Middelkerke w 1904 r. wybrał się zwiedzać Londyn. W 1912 r. Mandukowie byli w Sopocie i tam Wacław przekonał się raz jeszcze o wrogości gdańskich Niemców do Polaków: dwie jego starsze córki należały do polskiej wakacyjnej drużyny skautowej prowadzonej przez ks. Kazimierza Lutosławskiego i niejednemu raz musiały bronić polskich dzieci i siebie przed atakami niemieckiej młodzieży – czasem z tych starć wychodziły poturbowane. W 1914 r. rodzina spędzała wakacje w Rimini we Włoszech.

Po wybuchu I wojny światowej Wacław odwiózł stamtąd żonę z czwórką dzieci do Szwajcarii. Korzystając ze znajomości z Paderewskimi, umieścił rodzinę w ich

domu w Tolochenaz, niedaleko Morges k. Lozanny, a sam pojechał – przez Francję i Anglię – do Warszawy po środki potrzebne na powrót bliskich. Do Warszawy dotarli wszyscy wiosną 1915 r. okrężną drogą z Brindisi, przez Grecję, Serbię, Rumunię i Odesę. Gdy jechali przez Serbię, wagony kolei były zaplombowane ze względu na panującą tam cholera.



ZBUDOWAĆ POLSKĄ FARMACJĘ

Ponieważ w zajętej przez Niemców w sierpniu 1915 r. Warszawie brakowało żywności, żony przemysłowców urządzały darmowe kuchnie dla licznych potrzebujących i niosły im pomoc w ramach organizacji charytatywnych – działała w nich też żona Wacława, Emilia. On sam prezesował Towarzystwu „Farmakon” i został ławnikiem Trybunału oraz Wydziału Karnego Sądu Głównego.

Niestrudzenie oddawał się sprawom publicznym: wszedł w skład powołanej w listopadzie 1917 r. Rady Aptekarskiej Królestwa Polskiego przy Dyrekcji Służby Zdrowia MSW; w styczniu 1918 r. został członkiem Komitetu Obchodów Kościuszkowskich, a w marcu 1919 r. – prezesem Warszawskiego Towarzystwa Farmaceutycznego.

Był to trudny okres tworzenia przepisów prawnych w odzyskanej Ojczyźnie. Trzeba było sformułować prawo farmaceutyczne, regulamin izb aptekarskich i programy kształcenia aptekarzy, a także określić ich uprawnienia i wymagania konieczne do prowadzenia aptek, status aptekarza, warunki zakładania aptek, godziny ich otwarcia i czas pracy personelu. Zajmowały się tym Rada Aptekarska przy MSW oraz Warszawskie Towarzystwo Farmaceutyczne, a w dużej mierze – członek Rady i prezes Towarzystwa Wacław Manduk. W czerwcu 1919 r. wszedł w skład Zarządu Tymczasowego Polskiego Powszechnego Towarzystwa Farmaceutycznego zrzeszającego wszystkich właścicieli aptek w odrodzonej Polsce.

W WIRZE PRACY

Warszawa była zniszczona działaniami wojennymi i ograbiona przez wycofujących się Rosjan oraz niemieckich okupantów, co odbiło się negatywnie na poziomie życia mieszkańców, także dość zamożnych – jak Wacław Manduk. Nie było



■ OBLIGACJA POŻYCZKI PAŃSTWOWEJ WACŁAWA MANDUKA. OSZCZĘDNOŚCI TRZYMAŁ NA KSIĄŻECZCE KKO (KOMUNALNA KASA OSZCZĘDNOŚCI M.ST. WARSZAWY) ORAZ W OBLIGACJACH POŻYCZKI PAŃSTWOWEJ. W TEN SPOSÓB CHCIAŁ POMAGAĆ STOLICY I PAŃSTWU. FOT. ZBIORY W. LESZCZYŃSKIEGO

go już stać na wyjazdy wakacyjne za granicę, kupił więc w 1919 r. domek w założonej w 1904 r. przez inteligencję warszawską spółdzielni letniskowej w Nadliwii k. Wyszkowa. W 1920 r., gdy do Warszawy zbliżali się bolszewicy, siedziby w Nadliwii zostały ograbione przez ludność z sąsiednich wiosek, zwłaszcza z pobliskiego Strachowa. Po odwrocie Moskali mieszkańcy Nadliwii postawili kapliczkę upamiętniającą „Cud nad Wisłą”. 18-letnia córka Wacława, Jadwiga, pracowała

w czasie wojny polsko-sowieckiej jako sanitariuszka-wolontariuszka w Wojskowym Szpitalu Polowym Polskiego Białego Krzyża Heleny Paderewskiej w Warszawie.

W II RP Wacław Manduk nie ustawał w działaniu. We wrześniu 1919 r. został z ramienia Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego wybrany do Rady m.st. Warszawy, zasiadał w wielu komisjach Rady i piastował urząd sekretarza jej Prezydium do 1927 r. Głośne były jego bardzo emocjonalne spory z radnym Teodorem Toeplitzem, przedstawicielem socjalistów.

W 1919 r. Towarzystwo „Planta” zajmujące się uprawą i handlem roślin leczniczych przekształciło się w spółkę akcyjną, a prezesem jej Zarządu został Manduk. W 1920 r. wybrano go do Komitetu Wykonawczego Polskiego Powszechnego Towarzystwa Farmaceutycznego ds. wykupu pożyczki państwowej Obrony i Odrodzenia Polski przez aptekarzy; był współzałożycielem i głównym akcjonariuszem Banku Towarowego SA (bank istniał w latach 1920–1927); współzałożycielem i członkiem Rady KKO (Komunalnej Kasy Oszczędności m.st. Warszawy) oraz członkiem Komisji Rewizyjno-Sprawozdawczej Skarbu powstałego w 1913 r. Towarzystwa Rozwoju Przemysłu, Handlu i Rzemiosł „Rozwój” (do 1925 r.).

Na Politechnice Gdańskiej studiowało wielu Polaków – często traktowanych przez tamtejszych Niemców wrogo. W 1913 r. utworzyli oni korporację studentów polskich „Wisła”, a po zakończeniu I wojny światowej – Związek Akademików Gdańskich (ZAG) „Wisła” skupiający polskie korporacje studenckie w Wolnym Mieście Gdańsku. W 1924 r. powstał przy nim Związek Filistrów, do którego dołączyli absolwenci politechniki w Karlsruhe, a wśród nich Wacław Manduk – najpierw wiceprezes, a od 1929 r. do wybuchu II wojny światowej prezes. Związek objął opieką wszystkie polskie korporacje studenckie w Gdańsku.

ZABEZPIECZYĆ DZIECI

Praca w Prezydium Rady Miasta Warszawy, Związku Filistrów ZAG, organizacjach aptekarskich i innych zajmowała mu wiele czasu, przyjął więc do pomocy w apteczkę kolegę ze studiów w Karlsruhe, Latoszyńskiego, odstępując mu 25 proc. udziału w apteczce, co uszczupliło jego własne dochody. W tym czasie zaprzyjaźnił się z prof. Witoldem Staniszkisem, filarem endecji, i z jego rodziną.

W 1923 r. córka Wacława, Wanda, wyszła za mąż za pracownika firmy „Spiess” Edwarda Freyera, z rodziny od dwóch pokoleń zaprzyjaźnionej z Mandukami. Rok

później druga córka, Jadwiga, podjęła pracę nauczycielki w pow. Wołożyn w woj. nowogródzkim, 15 km od stacji kolejowej – w warunkach prymitywnych i niebezpiecznych. Przekonał się o tym Wacław, gdy na pociąg, którym jechał w odwiedzin, napadła uzbrojona banda watażki Józefa Michalskiego „Muchy”. W 1932 r. Jadwiga poślubiła inż. Zygmunta Leszczyńskiego i przeniosła się do Brześcia n. Bugiem, gdzie pracował jej mąż. Wacław przepisał na obie starsze córki po ósmej części kamienicy przy ul. Chłodnej 26 i związane z tym dochody.

W 1936 r. Wacław wyjechał z żoną na kilkutygodniową wycieczkę po Jugosławii, bowiem było to w granicach ich możliwości finansowych. W tym czasie był – społecznie – członkiem Rady Nadzorczej „Farmakonu” (w 1947 r. zlikwidowanego przez komunistyczne władze), członkiem Rady KKO i prezesem Okręgowej Izby Aptekarskiej w Warszawie.

Najmłodsza córka Hanna, uzdolniona artystycznie, mieszkała w rodzinnym domu, a syn Władysław ukończył na Politechnice Warszawskiej chemię i w 1937 r. ożenił się z inżynier chemii Zofią Kruszewską, córką Stanisława, działacza socjalistycznego, byłego przewodniczącego Zarządu Głównego Związku Zawodowego Kolejarzy RP.

POD OKUPACJĄ W WARSZAWIE

Wybuch II wojny światowej zastał Wacława z rodziną na letnisku w Nadliwiu. Okrężną drogą wrócił do okupowanej przez Niemców Warszawy. W mieszkaniu z oknami pozbawionymi szyb i czasowo zabitymi sklejką zamieszkała – oprócz niego, żony i Hanny – Jadwiga z 2 synami (jej męża internowano na Litwie). Obok domu Manduków znajdowała się od 1940 r. brama getta. Z okien widać było, jak niemieccy żandarmi katują i mordują przy niej żydowskie dzieci starające się przebiec na „aryjską” stronę. W 1941 r. Niemcy wypędzili Manduków z domu, który włączyli do getta. Wzniesli przy nim nad ulicą most dla pieszych, łączący dwie części getta.

Wacław zamieszkał z żoną przy ul. Chłodnej 44. W 1942 r. Jadwigę „Magdę”, kurierka Komendy Głównej AK, aresztowało gestapo – została wysłana do KL Auschwitz-Birkenau. Rodzice zaopiekowali się jej synami i posłali ich na tajne komplety. Emilia działała w Radzie Głównej Opiekuńczej i część swoich mebli przekazała ograbionym przez Niemców poznaniakom wysiedlonym do Generalnego Gubernatorstwa.

Ponieważ Wacław od końca XIX w. działał politycznie i społecznie, odwiedził też wiele krajów, postanowił pisać pamiętnik. W 1944 r. notował (często przy lampie

karbidowej, bo Niemcy co drugi dzień wyłączali prąd) w drugim już 500-kartkowym brulionie o wydarzeniach z roku 1916. Krewnemu żony, malarzowi Wacławowi Granzowowi, który był w trudnej sytuacji materialnej, zlecił namalowanie swojego portretu.

ŚMIERĆ OD NIEMIECKICH KUL

W czerwcu 1944 r. Emilia wyjechała z wnukami na wakacje do Milanówka, a Wacław pozostał w Warszawie, gdzie zastał go wybuch powstania. Zatrzymał się u swej kuzynki Marii przy ul. Focha i jej przekazał woreczek z biżuterią żony – dorobkiem kilku pokoleń jej rodziny – oraz precjozami Jadwigi. 10 sierpnia 1944 r. Niemcy wygonili siwego, 72-letniego Wacława Manduka i mieszkańców sąsiednich kamienic do ogrodów przy ul. Koziej, oddzielili 178 mężczyzn od kobiet, po czym ich rozstrzelali.

Zwłoki Wacława ekshumowano w 1947 r. z grobu zbiorowego na pl. Krasińskich i pochowano na cmentarzu Powązkowskim. Marię Manduk Niemcy wywieźli do FKL Ravensbrück, tam ją obrabowali z biżuterii i zamordowali. Zburzyli pełne dzieł sztuki mieszkanie Wacława, spalili jego kamienicę i aptekę.

Jadwiga wywieziona z KL Auschwitz-Birkenau do KL Sachsenhausen, a później do FKL Ravensbrück, przebywała po ucieczce w kilku obozach pracy – wreszcie udało się jej zbiec. Syn Manduków Władysław „Gustaw” był oficerem zwiadu w 3 baterii I Dywizjonu Artylerii Konnej im. Józefa Bema Armii Krajowej. Wnuczka Wacława, Maria „Wanda” walczyła jako łączniczka w batalionie „Parasol”. Jego zięć Edward, działacz podziemia, był intensywnie poszukiwany przez gestapo. Po jednym z nalotów sowieckich na Warszawę w 1943 r. znaleziono w gruzach zmasakrowane zwłoki z jego doku-



■ KAPLICZKA W NADLIWIU, STAN OBECNY.
FOT. ZBIORY W. LESZCZYŃSKIEGO



■ KAMENICA PRZY UL. CHŁODNEJ 26 W WARSZAWIE, PRZED 1939 R. FOT. DOMENA PUBLICZNA

mentami. Po pogrzebie rodzina dowiedziała się, że jednak żyje i ukrywa się w Górach Świętokrzyskich. Drugi zięć Zygmunt, internowany na Litwie i deportowany później do ZSRS, przeżył szlak Armii Andersa.

Kamienicę Manduków, w której po wojnie zamieszkali inni ludzie, komuniści zburzyli w 1946 r. jako „burżuazyjną” – choć nadawała się do remontu; odbudowaną za pożyczki przez Emilię aptekę zrabowali w 1950 r.; warszawskie place zawłaszczyli tzw. dekretem Bieruta, a rodzinną działkę w Otrębusach zajęli na własny użytek wysocy funkcjonariusze Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w 1959 r.



Wacław Leszczyński (ur. 1936) – inżynier technologii rolnej, prof. dr hab. Wybitny specjalista z zakresu ziemniaka i skrobi, od czasu studiów aż do przejścia na emeryturę związany z Akademią Rolniczą (Uniwersytetem Przyrodniczym) we Wrocławiu. W 1988 r. stworzył specjalność biotechnologia żywności, w 1992 r. jako pierwszy w Polsce wprowadził dwustopniowy system studiów. Autor podręcznika: G. Lisińska, W. Leszczyński, *Potato Science and Technology* (London – New York 1989) i blisko 300 prac naukowych.



■ ZBIGNIEW MANYŚ.
FOT. Z KSIĄŻKI: J. ŚLASKI,
ŻOŁNIERZE WYKLĘCI,
WARSZAWA 1996

MARIUSZ SOLECKI

„KOLA” – POLSKI PARTYZANT **ZBIGNIEW MANYŚ (1926–1945)**

Ani nie ambrozja globalizacji, ani nie *russskij czetowiek*. „Kola” – polski partyzant akowiec, Żołnierz Wyklęty, początkujący poeta – ocalony z niepamięci dzięki determinacji przyjaciół, spośród których największą sławę zdobyli Jerzy Ficowski i Jerzy Ślaski.

„BASZTA”

Nie był warszawiakiem. Do stolicy okupowanego kraju doprowadziły urodzonego 7 lutego 1926 r. w Poznaniu Zbigniewa Manysia drugowojenne polskie drogi. Trafił tam z matką i dwojgiem rodzeństwa. Jego ojcem – działaczem niepodległościowym na Śląsku – zaraz na początku wojny zajęli się po swojemu Niemcy. Trzeba przyznać, że byli zabójczo skuteczni w unicestwianiu potencjalnych wrogów III Rzeszy.

Pozbawiona głowy rodzina Manysiów popadła na Mazowszu w biedę: „Zbyszek [...] znalazł się w bursie dla wysiedlonych. [...] mieszkał i żył w warunkach skrajnego ubóstwa. Stamtąd chodził do szkoły, uczęszczał na tajne komplety – uśmiechnięty, po swojemu buntowniczy, niepoddający się losowi, mężnie znoszący przeciwności. [...] Ubóstwu przeciwstawiał swoje niezwykle, wciąż rosnące bogactwo wewnętrzne. W nędznym ubranku tkanym z papierowych włókien, w drewniakach zamiast butów – nie wyglądał na znękanego biedaka, ale na [...] Syna Słońca”¹. Kiedy ów „Syn Słońca”, mieszkający w placówkach Rady Głównej Opiekuńczej, zasilił szeregi stołecznego podziemnego wojska, przywołany wyżej Jerzy Ficowski w swoim epicedionie nie uściśla. Podaje tylko, że „przystąpił do akowskiej konspiracji”, i poświadcza istnienie przyjaźni męskiej silniejszej niż śmierć, zbudowanej na fundamencie braterstwa broni, wspólnych dysput, lektur i predylekcji do układania wierszy. Z monografii Jerzego Ślaskiego (*Żołnierze wyklęci, Skrobów. Dzieje obozu NKWD dla żołnierzy AK 1944–1945*) dodamy do tej niekompletnej akowskiej biografii jeden istotny szczegół: Zbigniew Manys, pseudonim „Kola”, znalazł się w strukturach Batalionu Sztabowego Komendy Głównej AK, znanego szerzej pod kryptonimem „Baszta”. (Do formacji tej należał również Jerzy Ficowski „Wrak”). Skoro pierwszy z wymienionych nazywany jest przez Ślaskiego „kapralem podchorążym” (skrótami), musiał również ukończyć konspiracyjną szkołę podchorążych².

W odróżnieniu od „Wraka”, „Kola” nie wziął udziału w Powstaniu Warszawskim w „Baszcie” rozbudowanej do rozmiarów pułku. W metaforyczną wigilię rozpoczęcia walk sierpniowych (połowa lipca 1944) wraz z grupą innych akowców musiał opuścić

¹ J. Ficowski, Słowo o Zbysku odczytane nad Jego grobem w Rykach dnia 18 czerwca 1995 w 50. rocznicę Jego śmierci, czystopis, Biblioteka Narodowa, Rps 14583 III, k. 38. Cytat podano bez literówek maszynopisu.

² Zob. J. Ślaski, *Żołnierze wyklęci*, Warszawa [1995], s. 197, 257; *idem*, *Skrobów. Dzieje obozu NKWD dla żołnierzy AK 1944–1945*, wstęp A. Wernic, Warszawa 2003, s. 113, 173.



■ OBÓZ KONCENTRACYJNY NKWD W SKROBOWIE.

FOT. Z KSIĄŻKI: J. ŚLASKI, *ŻOŁNIERZE WYKLĘCI*, WARSZAWA 1996

stolicę, wykonując rozkaz uzupełnienia stanów osobowych 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, stacjonującej w Lasach Parczewskich. Z Kresowiakami u boku nie nawojsował się długo.

U „ORLIKA”

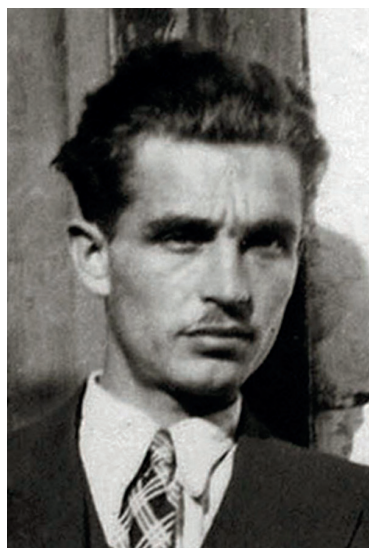
Niegodzący się na podporządkowanie sprzedawczykom z PKWN żołnierze 27 WDP Armii Krajowej, dowodzeni przez płk. Jana Stefana Kotowicza „Twardego”, 25 lipca 1944 r. zostali zmuszeni przez Sowietów do złożenia broni w Skrobowie. Kapral podchorąży „Kola” ruszył na pomoc walczącej Warszawie, dotarł jedynie na wolną od Niemców Pragę, gdzie wcielono go do ludowego Wojska Polskiego, do 24 pułku artylerii samobieżnej I Korpusu Pancernego. W listopadzie przedostatniego roku wojny ponownie trafił do Skrobowa – tym razem w charakterze więźnia działającego w tej miejscowości obozu koncentracyjnego NKWD dla akowców, wyławianych bez obiektywnej winy, jako potencjalnie wrogi, niepewny element, z szeregów wojska formowanego przez polskich komunistów.

We wtorek Wielkiego Tygodnia, 27 marca 1945 r., w dzień „słoneczny, ale chłodny”³ grupa blisko 50 szykanowanych akowców podjęła brawurową, udaną ucieczkę

³ J. Ślaski, *Skrobów. Dzieje obozu NKWD...*, s. 107.



■ JERZY ŚLASKI „NIECZUJA”. FOT. Z KSIĄŻKI: J. ŚLASKI,
ŻOŁNIERZE WYKLĘCI, WARSZAWA 1996



■ MARIAN BERNACIAK „ORLIK”.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

z miejsca opresji. Jej przebieg z detalami opisał uczestnik wydarzeń Jerzy Ślaski „Nieczuja”⁴. Tu na podkreślenie zasługuje fakt dotyczący roli Zbigniewa Manysia w realizacji przedsięwzięcia – otóż znalazł się on w pierwszej piątce, która wdarła się do koszar wartowników nocnej zmiany w skrobowskim obozie i je opanowała.

Po wydostaniu się z kleszczy oblawy 35 skrobowskiaków, z „Kolą” i „Nieczują” w składzie, dołączyło do 15 pp AK-DSZ-WiN mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”, od 1 kwietnia 1945 r. stanowiąc I pluton tej formacji, dowodzony przez por. Piotra Mierzwińskiego „Wiernego”. Scementowana pobytem w obozie NKWD i perypetiami ucieczki „grupa skrobowskiaków” dzieliła losy zgrupowania »Orlika«. Uczestniczyła w wielu akcjach zbrojnych, często wykonując najtrudniejsze zadania⁵. Niestety, autor tego uogólnienia – poza jednym wyjątkiem – nie precyzuje personalnego wkładu Manysia w antykomunistyczne operacje partyzanckie. W dopowiedzeniu przypisowym podaje, że „był jednym z najdzielniejszych w naszej grupie”. Inne źródła całkowicie milczą o obecności „Koli” w oddziałach mjr. Bernaciaka⁶.

Dzięki przywoływanym w tym tekście publikacjom Jerzego Ślaskiego dysponujemy szczątkową wiedzą o walce stoczonej przez Zbigniewa Many-

⁴ *Ibidem*, s. 107–133.

⁵ *Ibidem*, s. 132.

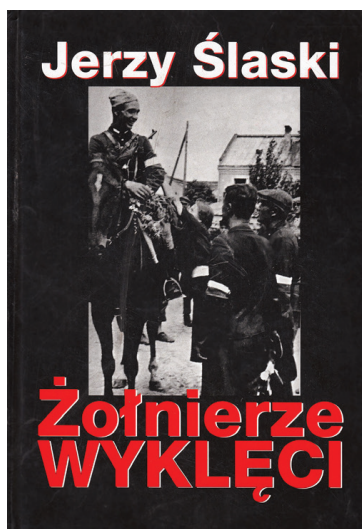
⁶ *Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956*, red. R. Wnuk *et al.*, Warszawa–Lublin 2007; M. Sulej, *Marian Bernaciak „Orlik”. Biografia*, [Warszawa] 2015; *Wyklęci 1944–1963. Żołnierze podziemia niepodległościowego w latach 1944–1963*, red. K. Krajewski i T. Łabuszewski, Warszawa 2017; Internetowy Katalog Żołnierzy i Działaczy Powojennego Podziemia Niepodległościowego, <https://listawyklyctych.pl>.

sia 17 czerwca 1945 r. Owego dnia orlikowcy w godzinach popołudniowych przeprowadzili atak na ufortyfikowany posterunek MO-UB w Rykach (przed budynkiem zasieki z drutu kolczastego, siatki przeciwko granatom, worki z piaskiem w oknach). Z powodu braku efektu zaskoczenia – milicjanci dostrzegli przygotowyjących się do natarcia partyzantów w pobliskim parku – szturm należało odwołać. Niestety, plutonowi I „Wiernego” dano rozkaz do ataku, natarcie szybko się jednak załamało. Podczas odwrotu zasygnalizowanego zieloną rakietą zostali ranni kpr. pchor. Adam Żurawski „Zawieja” i kpr. Eugeniusz Ruta „Gryf”, natomiast śmiertelny postrzał otrzymał „cieszący się wielką sympatią” kpr. pchor. Zbigniew Manys „Kola”⁷.

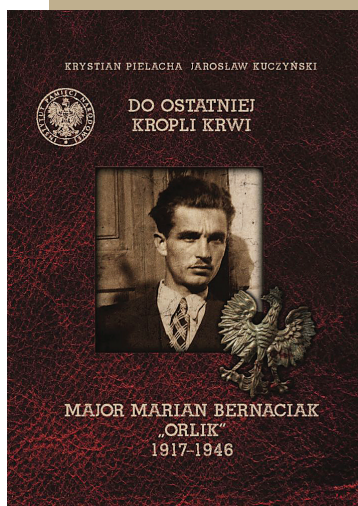
Koledzy z oddziału pochowali poległego potajemnie na cmentarzu w Rykach, gdzie spoczywał bezimiennie do lat 90. XX w. Wtedy to, dzięki artykułowi Jerzego Ślaskiego o skrobowiakach w „Tygodniku Solidarność”⁸, wpadł na trop „Koli” jego przyjaciel z „Baszty”, literat Jerzy Ficowski „Wrak” – mężczyźni ostatni raz widzieli się w lipcu 1944. Ficowski stał się inicjatorem odnalezienia miejsca pochówku Zbyszka Manysia i jego godnego upamiętnienia. Udało się to w roku 1994, wtedy to „staraniem przyjaciół, towarzyszy broni i ludzi życzliwych [...] stanął na »grobie Koli« [...] pomnik, a na nim inskrypcja wyryta w trwałym kamieniu, z imieniem, nazwiskiem i pseudonimem. Szarża wojskowa – »Podporucznik AK«, widniejąca na tablicy nagrobnej, została Mu nadana

⁷ Por. J. Ślaski, *Żołnierze wyklęci...*, s. 197.

⁸ *Idem*, *Skrobów*, „Tygodnik Solidarność” 1989, nr 14.



■ NA KONIU MARIAN
BERNACIAK „ORLIK”.



i zatwierdzona pośmiertnie wraz z odznaczeniem Krzyżem Walecznych i późniejszymi – Krzyżem AK i Medalem Wojska”⁹.

W TWÓRCZOŚCI JERZEGO FICOWSKIEGO

Zanim Jerzemu Ficowskiemu udało się ustalić koleje losu przyjaciela akowskiej młodości, a finalnie wystawić mu nagrobek, wybudował Zbyszkowi pomnik trwalszy od spiżu – tekstowy. Początkowo poeta musiał być ostrożny w kultywowaniu pamięci towarzysza walki uznawanego przez władze Polski Ludowej za *persona non grata* – „bandytę z lasu”, dlatego przywoływał go z pseudonimu bądź tylko z imienia w dedykacjach wierszy *Pusta noc* (tom z 1960 r. *Amulety i definicje*) oraz *Defilada* (tom drugoobiegowy z 1981 r. *Errata*). Jedynie wąskie grono osób wtajemniczonych (towarzyszy walki Ficowskiego z AK, badaczy struktur tej organizacji) było w stanie zdekodować konspiracyjne miana poległych „zapłutych karłów reakcji” z kompanii B 3 batalionu „Bałtyk” Pułku „Baszta”, wypunktowane w formule dedykacyjnej *Pustej nocy*: „»Szwarcowi«, »Iwarowi«, »Koli«, »Wydze«, »Tomkowi«, »Wężowi«, »Jeremiemu« i wszystkim niezapomnianym i zapomnianym”. Rozszyfrowanie wymienionych pseudonimów jest częściowo możliwe jeszcze dzisiaj, o ile dysponuje się wykazem żołnierzy „Baszty”, na podstawie którego da się ustalić, że „Szwarc” to por. Marian Wichrzycki, dowódca kompanii B 3; „Iwar” – sierż. pchor. Janusz Remiszewski; „Tomek” – kpr. pchor. Sławomir Biskupski, a „Wyga” to strz. Stanisław Manyś, poległy 16 IX 1944 r. brat „Koli”¹⁰, którego tożsamość już znamy. Tak puentuje ich wojskową dolę poeta, nawiązujący do frazy *Marsza Mokotowa*: „Nie grały im surmy bojowe / ani żałobne, / tylko z czyichś łez / nad pobojo-wiskiem / słup soli, martwe drzewo, / białe jak kość, jałowe. // Nie ścinaj go. / Zdarza się czas, że wstaje kamień. / Zdarza się czas, że nawet sól rozkwita”¹¹.

Defiladę opatrzył Ficowski jednoosobową dedykacją: „pamięci Zbyszka poległego w lesie w 1945 roku”. Liryk ten fachowo zinterpretował akademicki literaturoznawca

⁹ J. Ficowski, *Słowo o Zbyszk...*, k. 39.

¹⁰ Por. L.M. Bartelski, załącznik 1. Obsada personalna Pułku „Baszta” (październik 1939 – październik 1944), [w:] *idem*, *Pułk AK „Baszta”*, Warszawa 1990, s. 442–472. Warto nadmienić, że brat „Koli”, Stanisław Manyś „Wyga”, to jeden z bohaterów powstańczego opowiadania Ficowskiego *An-trakt*, zamieszczonego w tomie *Czekanie na sen psa* (1970).

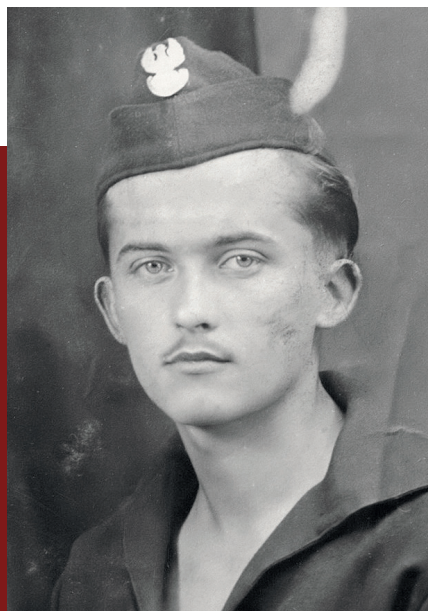
¹¹ J. Ficowski, *Pusta noc*, cyt. za: *idem*, *Wskazówki dla początkujących zegarów. Wybór poezji 1945–1985*, Warszawa 1993, s. 46.

Jerzy Kandziora¹². Interpretacja pozostawia fundamentalny niedosyt: skupiając się na arkanach języka artystycznego utworu Ficowskiego, minimalizuje dane dotyczące bohatera dedykacji. Brakuje tu kontekstowego odczytania wiersza, osadzenia go w faktografii zwerbalizowanej przez Jerzego Ślaskiego (monografia *Żołnierze wyklęci*) czy choćby samego autora *Defilady* (epicedion *Słowo o Zbyszku...*). Uzupełnijmy te luki interpretacyjne.

Gdyby *Defilada*, ogłoszona w tomie z roku 1981, ukazała się w oficjalnym obiegu, formuła *in memoriam* musiałaby dotyczyć tzw. utrwalacza władzy ludowej: latem 1945 r. (wojna skończyła się w maju) „polec” mógł tylko przedstawiciel strony reprezentowanej przez cenzora, oczywiście „polec” w walce z „bandą”. W strefie wolnego druku zmienia się postać rzeczy: w zastosowanej przez autora konfiguracji słów odbiorca wychwytuje aluzję do pozytywnie wartościowanego członka powojennego podziemia.

Jerzy Ślaski podaje, że Zbigniew Manyś „poległ 17 czerwca 1945 roku podczas uderzenia na siedzibę MO i UB w Rykach”¹³, wykonując rozkaz wycofania się z pola walki¹⁴. Żadnych innych szczegółów nie przytacza.

Na tej podstawie odnosi się wrażenie, że w trakcie odskoku orlikowców z miejsca nieudanej akcji do lasu Manyś był już martwy, że na podwodach wieziono 2 rannych: kpr. pchor. Adama Żurawskiego „Zawieję”, kpr. Eugeniusza Rutę „Gryfa” i 1 trupa. Tymczasem Jerzy Ficowski w *Defiladzie* sugeruje (pytanie, czy był lepiej poinformowany od Ślaskiego?), że Zbyszek jeszcze wtedy żył, gasnąc z każdym obrotem koła pojazdu



■ JERZY FICOWSKI „WRĄK”.
FOT. JERZYFICOWSKI.PL

¹² Por. J. Kandziora, *Tropy akowskie w poezji Jerzego Ficowskiego*, „Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Literacka” 2012, nr 20, s. 266–268. Autor włączył ten artykuł do swojej książki *Poeta w labiryncie historii. Studia o pisarskich rolach Jerzego Ficowskiego*, Gdańsk 2017.

¹³ J. Ślaski, *Skrobów. Dzieje obozu NKWD...*, s. 173.

¹⁴ Por. *idem*, *Żołnierze wyklęci...*, s. 197.

ewakuacyjnego: „koń stępa człapie / cichym piachem / przez bramę tryumfalną dugi / nie przejdzie jej // na wozie ranny Kola / jedzie na wznak do siebie / byle tylko do siebie / już tylko do siebie / i nie zastaje siebie / aż tak / że umiera”¹⁵. Czy tak było w rzeczywistości, możemy się już nie dowiedzieć. W każdym razie poeta miał trafną intuicję co do okoliczności pochówku zbrojnego przeciwnika czerwonych uzurpatorów – był potajemny, zacierał prawdziwą tożsamość zmarłego: „ktoś tam zamiast figury / wytnie w klocku z lipy / imię i nazwisko naprędce niczyje / by nie musiał się chować / gdy go pochowają”¹⁶. Trzeba było utajnić miejsce spoczynku antyreżimowca, gdyż istniało ryzyko, że resort wykopie jego oddane śmierci ciało¹⁷.

Jerzy Kandziora ustalił – tego nie można odebrać badaczowi – że kpr. pchor. „Kola” w liryce (*Defiladzie*) Ficowskiego zaczął się pojawiać pod swoim nazwiskiem od 2002 r. (tom *Gorączka rzeczy*)¹⁸. Co ciekawe, wedle Elżbiety Ficowskiej poeta w prywatnych rozmowach miał być nieprzychylnie nastawiony do walki zbrojnej z komunistami, przede wszystkim dlatego że zabrała mu przyjaciela: „Jerzy ubolewał nad jego losem, Zbyszek poszedł do lasu, związał się z partyzantką antykomunistyczną, a równocześnie też nacjonalistyczną. Jerzy uważał, że ci młodzi chłopcy byli »zmanipulowani« i nie do końca zdawali sobie sprawę, jakiej służą idei. Wiedzieli, że walczą z komuną, co oczywiście było prawdą”¹⁹. Tyle żona Jerzego Ficowskiego, tymczasem sprawy miały się zupełnie inaczej. Szykanowany przez NKWD za akowską przeszłość kpr. pchor. Zbigniew Manyś „Kola” nie został przez nikogo zmanipulowany. Przystał do oddziałów Żołnierzy Wyklętych, ponieważ w szeregach ludowego wojska uniemożliwiono mu zdobycie stolicy III Rzeszy („marzył, że stanie z bronią w ręku na gruzach Berlina”²⁰). Przyłączył się do antykomunistycznej partyzantki, gdyż dawała mu cień szansy jeśli nawet nie na zachowanie, to przynajmniej na przedłużenie życia.

¹⁵ J. Ficowski, *Defilada*, cyt. za: *idem*, *Wskazówki...*, s. 177. Duga (duha) to element zaprzęgu – drewniana obręcz zakładana na szyję konia.

¹⁶ *Ibidem*.

¹⁷ Por. przypadek naruszenia przez resort pośmiertnego spoczynku Tadeusza Urbanowicza ps. „Moskito” z V Brygady Wileńskiej AK: M. Solecki, *Wynurzenie z czerwonej rzeki, Łomianki* 2017, s. 224–226.

¹⁸ J. Kandziora, *Tropy akowskie...*, przyp. 23, s. 266.

¹⁹ List E. Ficowskiej do J. Kandziory z 13 VIII 2010 r., cyt. za: J. Kandziora, *Tropy akowskie...*, przyp. 23, s. 266.

²⁰ J. Ficowski, *Słowo o Zbysku...*, k. 38.

POŚMIERTNY DEBIUT

W 1992 r. w Warszawie przyjaciele Zbigniewa Manysia „wydali własną pracę i nakładem”²¹ jego pierwociny literackie: garść liryków zwieńczonych krótką formą epicką. Pozycja nosiła tytuł *Sny nocą. Zielna Genesis. Saga o mocnym Uthere*. Edytorzy w sposób rozczulający dzisiaj, w dobie paninformatyzacji, komunikowali, jak powstała ta unikatowa publikacja: „Na drukarce komputerowej wydrukowano w dwudziestu ręcznie numerowanych egzemplarzach”. Egzemplarz nr 15 dzieła zachował się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej (sygnatura: A 206087 II). Widnieją na nim odręczne podpisy wydawców, a zarazem przyjaciół autora, złożyli je, wymieniając od góry: Stanisław Peliwo, Jerzy Ficowski, Ewa Sroczyńska-Kodelska, Krystyna Ficowska-Niemiatowska. Drugiej osoby z tej listy, zmarłego w 2006 r. pisarza, schulzologa, bliżej nie trzeba przedstawiać. O pozostałych krótko: Stanisław Peliwo (1925–1997) to akowiec, współtwórca samochodów marki Syrena, San, Star, kartograf²²; Ewa Sroczyńska-Kodelska (1925–2009) to uczestniczka Powstania Warszawskiego w szeregach AK, architekt, malarka; Krystyna Ficowska-Niemiatowska (1925–1998) to siostra Jerzego Ficowskiego.

Wyżej wymienieni, życzliwi Zbigniewowi Manysiowi ludzie ogłosili w absolutnie bibliofilskim tomie, pozbawionym ISBN, jego szczupłą twórczość – w sumie 19 utworów: 16 wierszy, 2 miniaturowe poematy, prozę poetycką *Saga o mocnym Uthere*, dając szansę nielicznym czytelnikom (20 ręcznie numerowanych egzemplarzy!) na wyrobienie sobie poglądu, kim by się stał ten początkujący poeta i prozaik, gdyby dane mu było żyć dłużej niż 19 lat. Ponadto zadbali, żeby publikacja tylko im znanego autora zawierała jego zdjęcie (profilowe twarzy – to samo, które zamieścił Jerzy Ślaski w monografii *Żołnierze wyklęci*) i notę biograficzno-edytorską. Oprócz tego, co już wiadomo z cytowanych tu tekstów, rzuca ona snop światła na genezę przerwanej przez śmierć pisarstwa Zbigniewa Manysia. Otóż zrodziło się ono z miłości do 15-letniej Iwony Jankowskiej (zmarła w USA w 1968 r.). To właśnie ta pierwsza i jedyna muza autora wyniosła z palonej przez Niemców po powstaniu Warszawy zeszyt ukochane-

²¹ Z. Manyś, *Sny nocą. Zielna Genesis. Saga o mocnym Uthere*, egzemplarz nr 15 z 20 wydrukowanych na komputerze, ręcznie numerowanych przez przyjaciół autora, nietytułowana nota biograficzno-edytorska, Warszawa 1992, s. 52 [nieliczbowana].

²² Zajmując pisze o nim syn, choć z wtrętem antyeneszetowskim, który idzie po linii programowej medium publikującego tekst. Zob. J. Peliwo, *Mój ojciec brał udział w tworzeniu Syreny...*, <https://wyborcza.pl/AkcjeSpecjalne/7,155762,23718424,moj-ojciec-bral-udzial-w-tworzeniu-syreny-autobusow-san-i-ciezarowek.html> [dostęp: 21 II 2025].

go z 10 napisanymi dla niej ołówkiem wierszami o tytułach: *Marzenie*, *Do Ciebie*, *Ja*, *Wspomnienie*, *Tobie do snu*, *Ukojenie*, *Gdy zasypiasz*, *Pamiętam*, *Ja*, *Piosenka wędrowną* (edytorzy zebrali je w części *Sny nocą*), zawierający również *Sagę o mocnym Uthere*. Brulion ten przywiozła ze Stanów Zjednoczonych do Polski w 1992 r. siostra Iwony Jankowskiej – Jolanta. Wydawcy wątlej spuścizny „Koli” dołożyli do tego materiału literackiego 6 liryków (*Szliśmy ścieżką*, III 1943; *Sad wieczorem*, VI 1943; *Nocna dziewczyna*; *Upał*, IV 1944; *Gwiazdy i ćmy*, IV 1944; *Zielna Genesis*, IV 1944) i 2 niewielkie poematy (***, incipit „W wieczór wiosenny...”, IV 1944; *Pan*, IV 1944), w których byli posiadaniu. Utwory te, z wyjątkiem *Nocnej dziewczyny*, sygnowane datą ukończenia, stanowiły część zamierzonej, niezrealizowanej przez poetę większej całości w ramach cyklu *Zielna Genesis*, podpisanego przez Manysia pseudonimem artystycznym Mikołaj Dobrzelewski²³.

Co da się powiedzieć po lekturze mocno pośmiertnego debiutu o potencjale artystycznym Zbigniewa Manysia? Otóż autor ten to kolejny utalentowany literacko przedstawiciel pokolenia Kolumbów, któremu należy się miejsce w szeregu obok Wacława Bojarskiego, Zdzisława Stroińskiego, Wojciecha Mencla, Krystyny Krahelskiej i całej tej pięknej plejady, której patronuje nazwisko Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Co ciekawe, juwenilna, lecz nieprzynosząca już wstydu twórczość Manysia to poezja wyparcia i/lub azylu – nie ma w niej śladów wojny. W dominujących formalnie klasycznych wierszach „Koli” (strofy, izosylabizm, rym) dokazuje pogański bożek Pan, kipi werwą „Zielna Genesis”, przypominająca bergsonowską *élan vital*, mienia się gwiazdy, hipnotyzują oczy dziewczyny, srebrzy się księżyc, pachną bzy – standardowe motywy utworów wszystkich zaczynających przygodę z liryką, usiłujących dać wyraz pięknu świata ujrzanemu w błysku zakochania. Już wyrazisty poeta spójnie łączy skamandrycki witalizm z leśmianizmami²⁴ („sklejności” – *Do Ciebie*, „rozśmiej” – *Pamiętam*, „ożałobiac” – *Ja*²⁵, „łśniście” – *Gwiazdy i ćmy*), próbuje także sił w poetyce awangardowej: „Bije z dygotów wykrzyknik patetyczny: / Idzie czarno-matowy, wysmukły ksiądz” (*Upał*; „Poeta, / wykrzyknik ulicy!” – J. Przyboś, *Gmachy*, z tomu *Z ponad*, 1930).

²³ Por. nietytułowana nota biograficzno-edytorska, [w:] Z. Manys, *Sny nocą...*, s. 49–50.

²⁴ Leśmianizmy mocno odcisnęły się na stylistyce *Sagi o mocnym Uthere*, jedynej prozy poetyckiej Manysia: „szemrzystość”, „ciszyzna”, „sokolic”, „samotnieć”. Por. *idem*, *Saga o mocnym Uthere*, [w:] *idem*, *Sny nocą...*, s. 33–48.

²⁵ Utwór poprzedzony rzymską trójką.

Szkolenie wojskowe w „Baszcie”, tajna podchorążówka, odwody 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, przymusowe wcielenie do ludowego WP, osadzenie w obozie NKWD w Skrobowie, udana ucieczka, walka z komunistami pod komendą „Orlika”, 19 utworów, 19 lat. Tylko tyle. Aż tyle. Reszta jest milczeniem. Reszta jest tym, z czego kpr. pchor. Zbigniew Manyś „Kola”, poeta z pokolenia Kolumbów, doskonale zdawał sobie sprawę:

I jestem sam ze swoim śpiewem
O szczęściu, nocy i o bzach.
Jestem jak płacz, co płacze w drzewie –
Nie wchłonie mnie ukojna mgła
Ni mroźna cisza nieba.
Choć tobą dusza cała drga,
Już odejść trzeba.

Opuścić trzeba miejsca święte,
Gdziem kochał i gdzie śniłem –
Na tej ulicy, za tym zakrętem
Ciebie widziałem, tobą żyłem.
Tych ulic kamienista gleba
Pojmie te smutki nieobjęte,
Gdy odejść trzeba – odejść trzeba²⁶.

²⁶ Z. Manyś, *Ja* (utwór poprzedzony rzymską dziewiątką), [w:] *idem, Sny nocą...*, s. 15.



Mariusz Solecki (ur. 1975) – nauczyciel języka polskiego w VIII LO w Katowicach. Autor książek: *Literackie portrety żołnierzy wyklętych. Esej o literaturze polskiej lat 1948–2010* (2013); *Historie pisane przez wojnę* (2015); *Wynurzenie z czerwonej rzeki* (2017); *Nie tylko Herbert. Szkice krytyczne i eseje interpretacyjne o poezji polskiej z przełomu tysiącleci* (2018); *Filmowe portrety żołnierzy wyklętych (1947–2017)* (2021); *MP4. Opowieść piłkarska* (2021) i in.



*SAM JEDEN I INNI. WROCŁAWSKIE ODCZYTANIA
TWÓRCZOŚCI JÓZEFA MACKIEWICZA,
RED. MAŁGORZATA MISIAK,
IPN, WARSZAWA 2024, 280 S.*

TOMASZ SZTURO

PRZECIW POTĘDZE ZAMKNIĘTYCH OCZU

RZECZ O JÓZEFIE MACKIEWICZU

„Straszną jest ta potęga zamkniętych oczu” – pisał Józef Mackiewicz i uporczywie wzywał, by oczy otworzyć. Dla wielu ów apel był niewygodny, tak jak kłopotliwy okazywał się jego autor – postać pozostająca w kontrze do wszelkich opiniotwórczych koterii i środowisk. Nie uznawał Mackiewicz jakichkolwiek kompromisów, pozostawał chorobliwie wierny zasadom. Formułował opinie kontrowersyjne, jednoznaczne i zazwyczaj głęboko uzasadnione. Ta kategoryczność kosztowała go dużo: wyrok śmierci, odium zdrajcy, wykluczenie środowiskowe,

marginalizację, metodyczne zapomnienie. Autorytatywne kręgi próbowały wymazać autora *Kontry* – także po roku 1989. Do dziś niektóre z jego sądów i opinii mogą brzmieć kontrowersyjnie, ale nie sposób odmówić im pogłębionych przemyśleń, zazwyczaj też – choć nie zawsze – słuszności.

Instytut Pamięci Narodowej konsekwentnie wydobywa tę postać z niepamięci i przywraca należną pozycję. W roku 2019 wydany został zbiór szkiców o współczesnej polskiej poezji i prozie (*Dzieje najnowsze w literaturze polskiej*), a pośród nich Józefa Mackiewicza „Dro-

ga *donikąd*” – tekst Kazimierza Maciąga, który dwa lata później wydał książkę *Sam jeden. Józef Mackiewicz – pisarz i publicysta* (Warszawa 2021). W listopadzie 2022 r. wrocławski oddział Instytutu Pamięci Narodowej współorganizował międzynarodową konferencję naukową poświęconą osobie i twórczości Józefa Mackiewicza, a w 2024 r. wydany został tom pokonferencyjny z tego wydarzenia: *Sam jeden i inni. Wrocławskie odczytania twórczości Józefa Mackiewicza* pod redakcją prof. Małgorzaty Misiak. Tom zawiera różne ujęcia badawcze; spojrzenie na Mackiewicza z punktu literaturoznawczego, historycznego, nawet językoznawczego i antropologicznego. Z tych różnych perspektyw i metod krytycznych składa się pogłębiony portret postaci wielorakiej, złożonej. A wraz z nim przenikliwe studium czasów, w których żył i które opisywał – z dużym wyczuciem ludzkiej natury i historii. Mackiewicz bowiem to znakomity obserwator i analityk, można go nazwać psychologiem dziejów.

Autor *Lewej wolnej* odmitologizuje naszą tradycję, dekonstruuje mity, „szarga świętości”, bywa nawet brutalny, czasem niesprawiedliwy. Zawsze jednak uczciwy, autentyczny. Jest jak ożywczy impuls, który każe się otrząsnąć z odurzenia – otworzyć oczy. Z drugiej strony kultywuje inne mity, własne arkadie,

jak mit Wielkiego Księstwa Litewskiego (pisze o tym m.in. Adam Fitas z KUL¹, s. 33). Czesław Miłosz twierdził, że powieści Mackiewicza *Droga donikąd* oraz *Nie trzeba głośno mówić* stanowią „eposy końca” tego mitu². Dobrze też autor *Traktatu poetyckiego* scharakteryzował Mackiewicza, opisując go jako sukcesora szlacheckiej szlachty z tą nieustępliwością, zapiekłością i gotowością dochodzenia swoich racji choćby siłą. Stąd te napięte relacje pisarza ze środowiskiem literackim, począwszy od stosunku do brata, Stanisława „Cata” Mackiewicza (o czym pisze m.in. Krzysztof Polechoński z Uniwersytetu Wrocławskiego)³. To następstwo dotkliwej dla Józefa Mackiewicza sprawy, jaką było przypisanie autorstwa jego książki *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów* gen. Władysławowi Andersowi, który był autorem jedynie przedmowy. Józef Mackiewicz prosił o wsparcie swojego brata Stanisława, by ten potwierdził prawdziwe autorstwo książki, co naturalnie wiązało się także

¹ A. Fitas, *Twórczość Józefa Mackiewicza – nowe źródła i nowe perspektywy badawcze*, [w:] *Sam jeden i inni. Wrocławskie odczytania twórczości Józefa Mackiewicza*, Warszawa 2024, s. 33.

² Por. D. Heck, *Antropologia literacka i retoryka prozy Józefa Mackiewicza*, [w:] *Sam jeden i inni...*, s. 104.

³ K. Polechoński, *Józef Mackiewicz i Sergiusz Piasecki – wzajemne relacje, zależności i rozbieżności*, [w:] *Sam jeden i inni...*

z honorarium. Stanisław nie pomógł bratu, a nawet, jak pisał Józef Mackiewicz: „nie tylko nie poparł, ale kręcąc się jak zawsze u tronu wodza, »sprzedał«”, co spowodowało definitywne zerwanie relacji między rodzeństwem⁴.

Co ciekawe, autor *Kontry* pozostawał w cichym, jakby podskórnym konflikcie z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim (zapewne to efekt nadmiernych zbieżności między obu twórcami), o czym wspomina Wacław Lewandowski (UMK w Toruniu)⁵. Z niechęcią patrzył Mackiewicz na świeżo przybyłego na emigrację Marka Hłaskę, nie ceniąc go ani jako pisarza, ani jako osobowości o niepewnym antykomunizmie. Był w tym tradycyjnie odosobniony, bo autor *Pięknych dwudziestoletnich* cieszył się w środowisku emigracyjnym dużymi faworami. Co najmniej równie sceptycznie postrzegał Mackiewicz Witolda Gombrowicza. I co zrozumiałe, czuć też jego dystans do Jerzego Kosińskiego, który nawet odwiedził go w Monachium. Miał również autor *Kontry* niechętny stosunek do Aleksandra Sołżenicyna i innych rosyjskich dysydentów, widząc w ich aktywności na Zachodzie przemyślane działanie Kremla. Nie wierzył bowiem

w żadną ewolucyjną zmianę systemu, postulując jego radykalną destrukcję.

Bezkompromisowość Mackiewicza jest dość utopijna, trudno jednak nie docenić jego doskonałego rozeznania struktury komunizmu, ze zdolnościami adaptacyjnymi tego systemu, łatwością transformacji i kamuflażu⁶. Pozostawał też Mackiewicz powściągliwy wobec „karnawału Solidarności”, z dystansem patrząc na solidarnościową opozycję. Trudno za to nie zgodzić się z jego sceptycyzmem wobec serwilistycznych figur skupionych wokół katolickiego „Znaku”. Przecież także współcześnie owa formacja intelektualna reprezentuje nieoczywiste postawy i światopogląd, zwłaszcza gdy spojrzeć na nie z punktu ewangelicznej uczciwości i jednoznaczności.

Ciekawie za to jawią się relacje Mackiewicza z Miłoszem, postacią, która w wymiarze aksjologicznym wydaje się przynależać do innej galaktyki. O wzajemnym szacunku obu twórców pisze m.in. Irena Fedorowicz (z Uniwersytetu Wileńskiego)⁷. Autor *Doliny Issy* zaznaczał różnice światopoglądowe dzielące go z Mackiewiczem,

⁴ *Ibidem*, s. 118–119.

⁵ W. Lewandowski, *Józefa Mackiewicza marzenie o wojnie*, [w:] *Sam jeden i inni...*, s. 178.

⁶ Por. M. Zybur, *Niemieckie wydanie twórczości Józefa Mackiewicza*, [w:] *Sam jeden i inni...*, s. 61.

⁷ I. Fedorowicz, *Recepcja twórczości Józefa Mackiewicza na Litwie w XX i XXI wieku* [w:] *Sam jeden i inni...*

jednak doceniał artystyczny wymiar jego prozy, wywodząc go z autentyzmu i uczciwości. Podobnie autor *Kontry* miał szanować postawy odmienne od swoich – o ile te wynikały ze szczerości sumienia i poszukiwania prawdy. Tym bardziej afirmatywnie przyjął konwersję Miłosza, który w roku 1951 wybrał emigrację, zrywając relacje z władzami komunistycznej Polski. Mackiewicz zakładał, że tak głośna przemiana wyrządzi szkody komunistycznym władzom⁸. Różnił się tu z Sergiuszem Piaseckim, który zachowywał wobec poety niechętny dystans (dał temu wyraz m.in. tekstem: *Były poputczik Miłosz*). Z autorem *Wielkiej Niedźwiedzicy* łączyły jednak Mackiewicz szczególne relacje, o czym przypomina Krzysztof Polechoński. Autor *Lewej wolnej* podkreślał, że Piasecki dwukrotnie ocalił mu życie. Przede wszystkim mocno oprotestował wyrok, jaki na Mackiewiczza w roku 1943 wydało Polskie Państwo Podziemne, i mimo narosłych wokół tego niejasności i mitów, miał niewątpliwie znaczący wpływ na anulowanie go. Za drugim razem Piasecki w brawurowy sposób wykraść dokumentację, która mogła obciążać Mackiewiczza przed gestapo. Obu pisa-

rzy łączył też radykalny antykomunizm, autor *Kontry* doceniał również walory pisarskie Piaseckiego (m.in. chwalił warsztat *Jabłuszka*).

Wspomniany wyrok śmierci stygmatyzował Mackiewiczza piętnem zdrady na rzecz Niemców, o czym dość obszernie wypowiada się Kazimierz Orłowski, siostrzeniec pisarza. Rozmowa z Orłowskim otwiera cały tom pokonferencyjny i choć sprawia wrażenie jakby pozbawionej literackiego szlif, dowiadujemy się z niej wielu cennych informacji na temat autora *Kontry*⁹. Wśród atakujących pisarza i oskarżających o kolaborację był m.in. Władysław Bartoszewski, nieścisłości, które mogły zostawiać fałszywe wrażenie o postawie Mackiewiczza zawarł także Norman Davies w książce *Powstanie '44*¹⁰. Należy jednak mocno podkreślić, że stawiany pisarzowi zarzut zdrady jest nieuprawniony. Jego podstawą było opublikowanie przez Mackiewiczza kilku artykułów w niemieckiej gazecie „Goniec Codzienny”. Fakt ten wymaga jednak dużej uważności, przede wszystkim należy tu przyjąć perspektywę dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej i ich sowieckiej okupa-

⁸ K. Polechoński, *Józef Mackiewicz i Sergiusz Piasecki...*, s. 132.

⁹ O Józefie Mackiewiczzu okrucy wspomnień. Z Kazimierzem Orłowskim rozmawia Marek Zybura, [w:] *Sam jeden i inni...*

¹⁰ *Ibidem*, s. 20.

cji. Mackiewicz opublikował teksty wyłącznie antysowieckie – nie antypolskie, także nie serwilistyczne wobec Niemców. Co bardzo istotne, artykuły dotyczyły katyńskiego ludobójstwa. A choć autor *Lewej wolnej* był nieprzejednanym wrogiem Sowietów, podkreślał jednocześnie, że stałe zagrożenie dla polskości płynię także ze strony Niemiec.

Orłóś wspomina, jak skromnie i ubogo żył Mackiewicz w Monachium. Był to efekt jego bezkompromisowości i nonkonformizmu, które lokowały go poza głównym nurtem środowiska emigracyjnego. Do tego dochodziła małostkowość Jana Nowaka-Jeziorańskiego wzbraniającego Mackiewiczowi współpracy z Radiem Wolna Europa. A choć pisarz mieszkał w Monachium 30 lat – aż do swojej śmierci – dla niemieckojęzycznego odbiorcy pozostawał twórcą nieznanym, w najlepszym razie niszowym (tego m.in. dotyczą artykuły Hansa-Christiana Treptego¹¹ i Marka Zybury¹²). Paradoksalnie mogło to być skutkiem tego, co wielu krytyków wskazuje jako walor tego pisarstwa, a więc silnie dokumental-

nych, reportażowych tonów. Określa się bowiem Mackiewicz jako „skrajnego” realistę, niefolgującego wyobraźni, za to wrażliwego na detal, bezwzględnie oddanego faktografii. To ta jednoznaczna wierność pisarza prawdzie – w każdym aspekcie; stąd płynie uniwersalny wymiar tej literatury. Przy czym pisał Mackiewicz powieści obszerne, angażujące. Nie sprzyjała ich recepcji także tematyka, Niemcy wcale nie podzielali tak radykalnego antykomunizmu i antysowieckości. Niewielu też interesowały alarmistyczne teksty Mackiewicz o zbrodniach na granicy RFN i NRD, oskarżające Zachód i Kościół katolicki o obojętność¹³. Zresztą wielokrotnie krytykował pisarz Kościół katolicki, a później też Jana Pawła II za zbyt łagodny stosunek do komunizmu. W swoim radykalizmie potrafił Mackiewicz tracić miarę. Gdy więc głosił potrzebę jednoznacznego rozprawiania się z komunizmem, wskazywał na rozwiązanie militarne – ostateczne¹⁴. Dla wielu bulwersujące było orędowanie pisarza za nową wojnę światową (wspomina o tym m.in. Wacław Lewandowski), którą ten uważał za mniejsze zło niż pokój zdominowany przez systemy

¹¹ H.Ch. Trepte, *Józef Mackiewicz z perspektywy niemieckiej. Stłumione prawdy, bezkarne przestępstwa, nowe odkrycia. Twórczość Mackiewicza w aktualnym kontekście niemieckojęzycznym*, [w:] *Sam jeden i inni...*

¹² M. Zybur, *Niemieckie wydania twórczości Józefa Mackiewicza*, [w:] *Sam jeden i inni...*

¹³ H.Ch. Trepte, *Józef Mackiewicz z perspektywy niemieckiej...*, s. 41.

¹⁴ Por. M. Zybur, *Niemieckie wydania twórczości Józefa Mackiewicza...*, s. 59.

komunistyczne. Odrzucał przy tym Mackiewicz argumenty wojny atomowej i nuklearnej apokalipsy, w których widział rodzaj pacyfistycznego tabu narzuconego przez środowiska strzegące powojennego układu – czyli przez kremlofską agenturę¹⁵.

Innym wprawiającym w konsternację poglądem pisarza jest opisany przez Krzysztofa Kawałca (IPN Wrocław) stosunek Mackiewicza do przedrewolucyjnej Rosji¹⁶. Otóż ten bezkompromisowy wróg bolszewizmu i sowieckości (określający swoją narodowość jako „antykomunista”) nie utożsamiał Rosji i komunizmu. Twierdził – zresztą nie bez racji – że ten ostatni jest ponadnarodową plagą, która mogła przyjąć się wszędzie i zagraża całemu światu. Rosja jest po prostu pierwszą ofiarą tej plagi. Co więcej przedbolszewicką Rosję pisarz wręcz idealizuje. Dlatego Miłosz uznał go za „najbardziej rosyjskiego z polskich pisarzy”¹⁷.

Cóż, był Mackiewicz człowiekiem niebywałych kontrastów. Miarą tej nie-

zwykłości jest podwójne nabożeństwo pogrzebowe za duszę pisarza, najpierw w obrządku katolickim (5 lutego 1985 r.), a 5 dni później – prawosławnym (pod koniec lat 30. XX w. Mackiewicz trochę manifestacyjnie miał przejść na prawosławie). Z tą perspektywą koresponduje artykuł Włodzimierza Sulei (z Muzeum Józefa Piłsudskiego)¹⁸, który analizuje krytyczny obraz Piłsudskiego ukazany w *Lewej wolnej*. Pisarz zarzuca Marszałkowi militarną ignorancję, która omal nie ściągnęła na Polskę katastrofy w roku 1920. Nawet, mimo znakomitego zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej, miał Piłsudski zniweczyć dziejową szansę ostatecznego zniszczenia komunizmu, przed czym wstrzymała go jego strategiczna indolencja, a w jeszcze większym stopniu uprzedzenia do carskiej Rosji. Mackiewicz nie chciał przyjąć punktu widzenia Marszałka, który wychodził z założenia, że wzmocnienie „białej” Rosji byłoby szkodliwe dla międzynarodowej sytuacji państwa polskiego. Autor *Lewej wolnej* wydawał się wynosić misję cywilizacyjną ponad racje państwowe. Z drugiej strony, patrząc na jego sądy z perspektywy dołów katyńskich, trudno odmówić mu odrobiny racji.

¹⁵ W. Lewandowski, *Józefa Mackiewicza marzenie o wojnie...*, s. 179.

¹⁶ K. Kawalec, *Józef Mackiewicz – tęsknota za imperium. Kilka refleksji*, [w:] *Sam jeden i inni...*

¹⁷ *Ibidem*, s. 197.

¹⁸ W. Suleja, *Józef Mackiewicz antypiłsudczyk?*, [w:] *Sam jeden i inni...*

Niewkluczone, że istotę tego pisarstwa wydobyła jednak Dorota Heck (z Uniwersytetu Wrocławskiego)¹⁹. Autorka dowodzi, że dominantą twórczości Mackiewicza jest jej głęboko humanistyczny aspekt, pisarza miał interesować przede wszystkim człowiek, a jego uwikłanie w totalitarne systemy odsłania najgłębszą prawdę o nim. Nienawiść pisarza do komunizmu wynika z nihilizmu tego systemu, z jego degradującej siły pozbawiającej człowieka tych wszystkich przymiotów, które czynią go „ludzkim”, a więc: prawdy, wolności, empatii. Co ciekawe, według badaczki humanizm Mackiewicza wpisywał człowieka w świat przyrody, to komunizm degradował ową relację i samą przyrodę²⁰. Zwraca też autorka uwagę na żywioł historyczności u Mackiewicza, jego bohaterowie są zdeterminowani przez historię, to ona ich formuje – nie oni historię. Stąd ów reporterski ton, dokumentaryzm owej literatury.

Z kolei Małgorzata Misiak (z Uniwersytetu Wrocławskiego) skupia się na grozie historii, portretowanej przez Mackiewicza z porażającą szczegółowo-

ścią, porównywalną z wizjami Francisca Goi²¹. Dokumentuje więc pisarz zbrodnie bolszewickie roku 1920, Holocaust, ludobójstwo katyńskie. Przemoc i okrucieństwo wyznaczają rytm dziejów, są ciemną, jednak nieodłączną stroną ludzkiej natury i polityki. Mackiewicz ukazuje ową zgrozę od strony ofiar, odtwarza psychologię cierpienia, przywraca indywidualny wymiar masowych mordów. Nie pozwala zastygnąć im w bezimiennie fakty z niedookreślonej przeszłości²². Przypomina, że to systemy totalitarne – w tym komunizm – odbierają człowieczeństwo, odindywidualizują, zamieniając ludzi w sformatowane masy. Najpierw są to bezmyślne masy ślepych wykonawców. Później jest bezimienna bezkształtna masa trupów, wciśnięta w zasypane wapnem i ziemią jamy. W tym kontekście autorka przeprowadziła frapującą analizę językową słów „rzeź” i „rzeźnia”, z której wyprowadza głębokie wnioski filozoficzne i psychologiczne. Rzeź jest amokiem zbrodni, chaotycznym mordowaniem wymykającym się spod kontroli oprawców. Rzeźnia jest zaplanowanym, systematycznym ludobójstwem, zabijaniem w sposób przemysłowy. Nie sposób

¹⁹ D. Heck, *Antropologia literacka i retoryka prozy Józefa Mackiewicza*, [w:] *Sam jeden i inni...*

²⁰ *Ibidem*, s. 101–103.

²¹ M. Misiak, *Józefa Mackiewicza eksplikacja semantyczna „rzeźni” i „rzezi”*, [w:] *Sam jeden i inni...*, s. 165.

²² *Ibidem*, s. 174–175.

określić, co jest bardziej odrażające, co winno napełniać większym sprzeciwem. Zresztą oba zjawiska zlewają się, przechodzą jedno w drugie – w jednorodne *mysterium iniquitatis*.

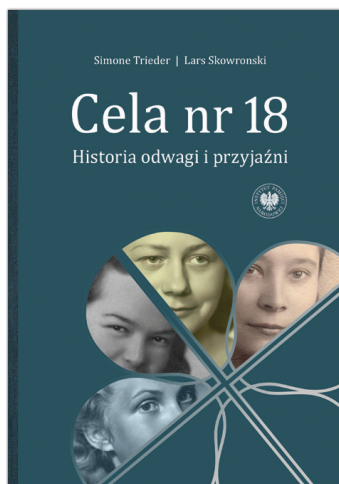
Mackiewicz to przede wszystkim świadek katyńskiego ludobójstwa, z determinacją walczący z milczeniem i obojętnością Zachodu, upominający się o prawdę i sprawiedliwość. Świat jednak nie chciał i nie chce znać tej prawdy, wypiera ją. Jest dla niego niewygodna, uwiera go, nie pasuje do żadnej z geopolitycznych konfiguracji. Katyńska zbrodnia jest więc opieczętowana omer-tą. Dla Mackiewicza walka o prawdę o Katyniu zaczęła się wiosną 1943 r. Jak pisze Tadeusz Wolsza²³, wizyta pisarza w Katyniu miała zostać wmanewrowana w wielką akcję propagandową zorganizowaną przez Niemców, którzy odkryli groby pomordowanych. To oczywiste, że III Rzesza realizowała w ten sposób swoje polityczne cele, ale ujawnione przy tym sowieckie ludobójstwo było faktem. Trzeba też zaznaczyć, że pisarz pojechał do Katynia za zgodą, a nawet dyspozycją Polskiego Państwa Podziemnego.

Przejmujące są katyńskie relacje Mackiewicza, napisane z niezwykłą em-

patią, wrażliwością na szczegóły, odzyskującą pomordowanych z anonimowości. Ofiary sowieckiej zdrady to ludzie z bogactwem intelektualnego życia, z marzeniami, ambicjami, z barwną wizją świata. Zakopaną w bezimiennych grobach. Mackiewicz kreśli subtelny symbolikę opisanych miejsc: oto kwiat polskiej społeczności, jakby dziesięciolecia romantycznej tożsamości i patriotyzmu zasypane przez kałmucką dziczą. Barbarzyństwo i nienawiść z sierpem i młotem.

Zbyt łatwo oswoiliśmy się z katyńskim ludobójstwem, przyjęliśmy je do wiadomości i przeszliśmy nad nim do porządku dziennego. Abstrakcyjny fakt z przeszłości, w której przecież jest tak dużo zbrodni i okropieństw. Nie sposób ciągle o tym myśleć, wciąż się tym zadręczać... Mackiewicz ciągle jednak spoglądał w grozę tych dołów, w te barbarzyńskie groby. One nigdy go nie opuściły, a on nigdy nie wybaczył ich sprawcom. Gdy to zrozumiemy, inaczej będziemy patrzeć na jego radykalizm, na jego zaciętość. Wtedy okaże się, że Mackiewicz nie był fanatykiem, nawet nie awanturnikiem. To my wolimy zamknąć oczy. „Straszna jest ta potęga zamkniętych oczu”.

²³ T. Wolsza, *Józef Mackiewicz i jego świat* – dectwa dotyczące zbrodni katyńskiej. Wątek emigracyjny, [w:] *Sam jeden i inni...*



SIMONE TRIEDER, LARS SKOWRONSKI,
CELA NR 18. HISTORIA ODWAGI I PRZYJAŹNI,
PRZEDMOWA HELGA HIRSCH,
PRZEKŁAD GRAŻYNA WERNER,
IPN, WARSZAWA 2025, 240 S.,
WKŁADKA ZDJĘCIOWA 56 S.

PAWEŁ KOSIŃSKI

OPOWIEŚĆ O PRZYJAŹNI I ODWADZE

Krystyna Wituska miała zaledwie 24 lata, gdy 19 kwietnia 1943 r. za działalność konspiracyjną przeciwko III Rzeszy została skazana na karę śmierci. Wyrok wykonano 26 czerwca 1944 r. w Halle, a ciało przekazano zakładowi anatomii tamtejszego uniwersytetu. Postać Wituskiej odeszłaby zapewne w niepamięć, gdyby nie odnalezienie po jej śmierci liczne listy i więzienne grypsy, stanowiące niezwykle świadectwo procesu dojrzewania i pogodzenia się z losem młodej żołnierki wywiadu Armii Krajowej.



ela nr 18 autorstwa Simone Trieder (pisarka ur. w 1959 r.) i Larsa Skowronskiego (historyk i politolog ur. w 1977 r.)

jest przejmującą opowieścią o 4 kobietach, które los zetknął podczas II wojny światowej. Krystyna Wituska (lat 23),

Maria Kacprzyk (lat 21) i Lena (Helena) Dobrzycka (lat 23) były bojowniczkami polskiego podziemia, a Helga Grimpe (lat 16) – córka niemieckiej strażniczki więziennej – należała do organizacji Bund Deutscher Mädel (żeńskie sekcji Hitlerjugend). Do powstania tej

dobrze udokumentowanej źródłowo, ale też przystępnie i zajmująco napisanej książki, posłużyły liczne archiwalia oraz wywiady z uczestnikami wydarzeń bądź ich krewnymi. Wśród wykorzystanych dokumentów archiwalnych decydujące znaczenie miał cenny zbiór listów (grypsów) Wituskiej, Kacprzyk i Dobrzyckiej pisanych z więzienia Alt-Moabit do Grimpe. Działo się to od sierpnia do grudnia 1943 r. Co ciekawe, listy zebrane przez adresatkę w ozdobnym segregatorze, zwanym przez nią „Mein Kleeblatt” (mój liść koniczyzny), zostały przekazane jeszcze Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich za pośrednictwem Ambasady PRL w Bułgarii i są przechowywane w Archiwum IPN (AIPN GK, 165/334, t. 1 i 2). 60 lat później posłużyły Simone Trieder i Larsowi Skowronskiemu do napisania książki *Zelle Nr. 18. Eine Geschichte von Mut und Freundschaft* (*Cela nr 18. Historia odwagi i przyjaźni*), odtwarzającej koleje niezwyklej przyjaźni 3 osadzonych młodych Polek i nastoletniej córki strażniczki więziennej. Niemieckie wydanie zostało opublikowane przez wydawnictwo Be.bra-Verlag oraz Federalną Centralę Edukacji Politycznej.

Trzy polskie bohaterki zostały skazane wyrokami Sądu Wojennego

Rzeszy, którego główne siedziby znajdowały się w Berlinie-Charlottenburgu i Torgau. Lena Dobrzycka 8 stycznia 1943 r. skazana na karę śmierci, po ponownym rozpatrzeniu sprawy 3 kwietnia 1944 r. – na 4 miesiące obozu karnego (sąd uznał, że kara została odbyta w aresztach do momentu ostatniej rozprawy). Krystyna Wituska 19 kwietnia 1943 r. została skazana na karę śmierci za „szpiegostwo, sprzyjanie wrogowi i przygotowywanie zdrady stanu”. O najwyższym wymiarze kary zadecydowało przyznanie się podsądnej do działalności konspiracyjnej. Adolf Hitler, do którego wpłynęła prośba o ulaskawienie, odrzucił ten wniosek i wyrok został wykonany 26 czerwca 1944 r. w Halle. Maria Kacprzyk, sądzona razem z Wituską, otrzymała wyrok 8 lat obozu karnego, ponieważ przed sądem twierdziła, że była dopiero szkolona do pracy w wywiadzie i jeszcze nie zdążyła pozyskać żadnych istotnych informacji.

Po uprawomocnieniu się wyroku Krystyna Wituska ponownie została przewieziona do więzienia Alt-Moabit i trafiła do jednej celi z Marią Kacprzyk i Leną Dobrzycką. W lecie 1943 r. skazana trójka z celi nr 18 nawiązała regularną korespondencję z Helgą Grimpe, córką strażniczki Hedwig Grimpe.

Helga była zafascynowana solidarnością osadzonych młodych kobiet, ich pogodą ducha i pogodzeniem z losem. W swoich listach nazywała je „Kleeblatt” (koniczynki). Dzięki nawiązanemu kontaktowi polskie więźniarki otrzymywały za pośrednictwem Hedwig Grimpe, nazywanej przez nie „Sonnenschein” (promień słońca), lekarstwa, papierosy i jabłka, które organizowała dla nich Helga. Listy przychodzące do więzienia osadzone kobiety niszczyły każdorazowo w toalecie. Listy, które otrzymywała Helga, były przez nią starannie przechowywane. Oprócz prośb o konkretne produkty pojawiały się w nich przede wszystkim słowa wdzięczności za okazaną pomoc.

Krystyna, więźniarka nr 1695/42 i starsza celi, nie doczekała lepszej przyszłości, na którą liczyła. Była jedną z osób zamordowanych w Halle w latach 1942–1945 na mocy wyroków

Sądu Wojennego Rzeszy. Simone Trieder i Larsowi Skowronskiemu udało się napisać wielowarstwową powieść dokumentalną, która w całościowy sposób łączy historie życia poszczególnych kobiet. To z gruntu popularne – w najlepszym tego słowa znaczeniu – dzieło imponuje ze względu na dogłębne badania naukowe, prowadzone przez autorów w wielu archiwach przez dobrych kilka lat. Trieder i Skowronski pracując nad książką nawiązali kontakt z ocalałymi ofiarami Sądu Wojennego Rzeszy i ich potomkami, co pozwoliło nie tylko rzucić nowe światło na czas uwięzienia, lecz także prześledzić jego następstwa aż do dnia dzisiejszego. Niezwykła odwaga i wyjątkowa przyjaźń Polek oraz wsparcie uzyskane przez nie od niemieckiej strażniczki więziennej i jej córki są ostatecznie tym, co z pewnością zainspiruje czytelnika do refleksji.

PRENUMERATA

GWARANCJĄ REGULARNEGO OTRZYMYWANIA „BIULETYNU IPN”

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

KURTYKI 1 02 - 6 7 6 WARSZAWA

7 1 1 0 1 0 1 0 1 0 0 0 9 2 9 2 2 2 3 1 0 0 0 0 0 0

PLN 30

W

P

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

PRZY PRZELEWIE
- SWÓJ NUMER
KONTA
PRZY WPLĄCIE
GOTÓWKĄ
- KWOTA
SŁOWNIE

DANE OSOBY,
DLA KTÓREJ
ZAMAWIANA JEST
PRENUMERATA:
IMIĘ NAZWISKO
DOKŁADNY
ADRES

PRENUMERATA BIULETYNU IPN

OD NR. 7-8 / 2025 DO NR. 12 / 2025

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

KURTYKI 1 02 - 6 7 6 WARSZAWA

7 1 1 0 1 0 1 0 1 0 0 0 9 2 9 2 2 2 3 1 0 0 0 0 0 0

PLN 30

W

P

odcinek dla zleceniodawcy

PRZY PRZELEWIE
- SWÓJ NUMER
KONTA
PRZY WPLĄCIE
GOTÓWKĄ
- KWOTA
SŁOWNIE

DANE OSOBY,
DLA KTÓREJ
ZAMAWIANA JEST
PRENUMERATA:
IMIĘ NAZWISKO
DOKŁADNY
ADRES

PRENUMERATA BIULETYNU IPN

OD NR. 7-8 / 2025 DO NR. 12 / 2025

ZAMÓW „BIULETYN IPN” BEZPOŚREDNIO DO DOMU!



Koszt prenumeraty

od nr. 7–8 do nr. 12 2025 wynosi **30 zł.**

Otrzymają Państwo 5 kolejnych numerów pisma

(w tym cztery po 160 stron i jeden podwójny o objętości 200 stron).

Zamówienie prenumeraty można składać za pomocą blankietu
płatniczego zamieszczonego na poprzedniej stronie.

Prosimy o przesłanie informacji o wpłacie

- mailem pod adresem: prenumerata@ipn.gov.pl

- lub pocztą: Instytut Pamięci Narodowej – Księgarnia IPN, ul. Kurtyki 1, 02-676 Warszawa

Wszelkie informacje, w tym także o wysyłce zagranicznej, pod numerem: (22) 544-57-19.

Informacje związane z ochroną danych osobowych: <https://ipn.gov.pl/pl/o-ipn/ochrona-danych-osobowyc>

**W PRENUMERACIE TANIEJ
I BEZ DOLICZANIA
KOSZTÓW PRZESYŁKI**